

PAMIĘTNIKI POLSKIE

zebrane

przez

KSAWEREGO BRONIKOWSKIEGO.

— ❖ — TOM II. — ❖ —

Wydawca: Adam Kaczurba.

PRZEMYŚL.

CZCIONKAMI S. F. PIĄTKIEWICZA.

1884.

PAMIĘTNIKI

powstania powiatu Oszmiańskiego

ś. p. Józefa Zienkowicza.

1831.



POWSTANIE POWIATU OSZMIAŃSKIEGO.

PAMIĘTNIK

ś. p. Józefa Zienkowicza

1831.



ROZDZIAŁ I.



Kiedy trzy żmudzkie i litewskie powiaty podniosły chorągiew wolności, utrudzona komunikacya rządowi i wojskom rosyjskim otwartą jeszcze miała, dogodną przez Oszmianę, trudniejszą przez Święcany drogę.

Najważniejszą więc na ówczas dla sprawy polskiej było powstanie Oszmiany.

Komitet centralny w Wilnie, powierzył kierunek powstania w powiecie oszmiańskim hrabiemu Józefowi Tyszkiewiczowi, marszałkowi tego powiatu.

Czekano skutku działań tego marszałka, lecz ten dla rozmaitych przyczyn nie śmiał początkować, lękał się nawet wspierać powstanie.

Przewidywano tę jego lękliwość i to dało powód, że trokliwsi o los powstania członkowie kierujący niem w Wilnie, wysłali do Oszmiany Ignacego Klukowskiego i Józefa Zienkowicza dla powzięcia w tym przedmiocie stanowczych wiadomości.

Przybyli oni do Oszmiany 30. Marca.

Niepewna Tyszkiewicza odpowiedź, wątpliwą także czyniła działań jego nadzieję.

Z tą wiadomością wrócili obadwa wysłańcy do Wilna.

Wszakże powstanie Oszmiany stawało się coraz potrzebniejsze i konieczniejsze, wysłano więc dnia 1. Kwietnia inną osobę . . . w nadziei, że może ten będzie szczęśliwszy do nakłonicenia marszałka, ale odpowiedź jego była również jak tamtych, niepomyślną.

Uwiadomiony o tem, nie przez osoby powstaniem rządzące, ale prywatnie, Józef Zienkowicz pożegnał się dnia 2. Kwietnia ze swoimi przyjaciółmi, wziął on błogosławieństwo i odjeżdżając zaręczył ich, że jeśli pierw albo powieszonym, albo rozstrzelanym nie będzie, najdalej we 24 godzin po przybyciu do Oszmiany, zrobi tam powstanie.

O godzinie 6 po południu opuścił Wilno i z bronią w rękę przedarłszy się przez strone góry w okolicy Wilna, dostał się na drogę pocztową.

Obowiązek nakazywał mu wstąpić do ojca już od kilku miesięcy chorego, który ze świtaniem ranka o przyczynie nagłego jego z Wilna odjazdu uwiadomiony, pobłogosławił zamiarom syna i przypominając, że honor i miłość ojczyzny nade wszystko sercu Polaka drogiemi być powinny, pożegnał się z nim po raz ostatni, nazajutrz bowiem w pięć godzin po dopełnieniu powstaniu, Bogu oddał ducha.

O godzinie 7 z rana stanął Zienkowicz w Oszmianie.

Przyrzeczenie jego w Wilnie przed odjazdem, nadawało mu odwagę mówienia każdemu, w jakim celu przybył.

Zastał tam już Klukowskiego i Justyna Polla, przysłanych od potajemnego rządu wileńskiego.

Od nich dowiedział się, że jeszcze nic nie zrobiono, że dopiero wszystko robić się zaczyna i że żadnego jeszcze stanowczego nie wzięto postanowienia.

Zienkowicz powiedział im, do czego się w Wilnie zobowiązał i od tej chwili zaczęło się czynne, prawdziwe działanie w powiecie oszmiańskim.

Nie tracąc ani chwili czasu, udał się Zienkowicz do Tyszkiewicza, któremu wystawił całą rzecz w sposobie przekonywającym i tę od niego pamiętną otrzymał odpowiedź:

— Poczekaj dwie godziny; zrobimy sesję i tym sposobem wszystko porządniej da się spełnić.

Współdziałacze jego uradowali się, kiedy o takiej odpowiedzi ich uwiadomił.

Ale w chwili kiedy Zienkowicz odchodził, przybył do Tyszkiewicza Stanisław Świętorzecki, który usposobienie to zupełnie przerobił.

Nie upływa i godzina, aż Tyszkiewicz przybywa i temi Zienkowicza wita słowy:

— Zapaleniec jesteś, rób sobie co chcesz, ja się do tego nie mogę mięszać, od wszystkiego ręce unywam.

Po tak naglej zdania marszałka zmianie, wywracającej zamysł powstania, złożyliśmy w kilku młodych ludzi naradę, a dowiedziawszy się, że żołnierze z Wielkołuckiego pułku, stojący w Oszmianie, otrzymali rozkaz wyjścia do Wilna i i uznawszy niepodobieństwo wzięcia ich natychmiast, postanowiono, aby Klukowski z strzelcami Hryniewskiego zrobił na nich wyprawę w Kamiennymrogu o półtrzeciej mili od Oszmiany, dla ułatwienia czego Zienkowicz dał list do brata, aby z ludźmi dopomógł Klukowskiemu.

Kiedy Klukowski udał się na przeznaczone miejsce, dowiedziano się o mylności doniesienia; Zienkowicz więc napisał list do niego, aby powrócił do Oszmiany, a sam postanowił wystawić jeszcze raz Tyszkiewiczowi konieczną potrzebę łączenia się z powstaniem.

Zaczęła się więc zwawa między nimi rozmowa, brał

w niej udział Świętorzecki, a świadkami jej, oprócz żony Tyszkiewicza, byli sekretarz jego Jakubowski i archiwista Rudkowski.

Rozmowa ta trwała bez przerwy przeszło dwie godziny.

Zienkowicz wystawił najprzód Tyszkiewiczowi obowiązek względem ojczyzny i dowodził, że w wykonaniu dzieła nie ma niepodobieństwa.

Świętorzecki zaprzeczał wszystkiemu, wystawiał nieszczerliwe skutki, w czym zwracał uwagę jedynie na przeważającą szalą materyalnych korzyści i słowa jego broniły zawsze ich sprawy.

Tyszkiewicz w niepewności między dwoma zdaniem walcząc z sobą.

Nareszcie rozmowa przerwana została; Świętorzecki odprowadził Tyszkiewicza na stronę, a żona jego i obecni, nie taili, że z dwóch zdań, zupełnie sobie przeciwnych, zdanie Zienkowicza ma za sobą i prawdę i sprawiedliwość.

Rozeszli się wszyscy, najmniejsze zastanowienie się nad rozmową, dostatecznie przekonywało, że Świętorzecki największą był przeszkodą i że jego należało się pozbyć.

Rutkowski podał myśl zastraszenia Świętorzeckiego i podjął się ją wypełnić.

Udał się więc do niego z przyjacielskim przedłożeniem, aby Tyszkiewicza od powstania nie odwoził i uwiadomieniem poufałem, że Zienkowicz, uważając go za główną sprężynę, działającą na upór Tyszkiewicza, ma zamiar kazać go tej nocy powiesić. Spełnienie takiego zamiaru, jakkolwiek teraz dla postrachu tylko powiedzianego, mogło być w powstaniu narodowym sprawiedliwą, i konieczną karą za odejmowanie środków sprawie, która ich tyle potrzebowała.

Znał to dobrze Świętorzecki i dla tego nie chciał dowierzać łagodności współobywatelskiej.

W czasie kiedy Zienkowicz udał się do Soroki, Świętorzecki oddał wizytę pożegnalną Tyszkiewiczowi i w obec Jakubowskiego i Rutkowskiego, jeszcze raz wystawił mu zgubność projektów Zienkowicza, popierając swoje zdanie tem, iż przekonał się, że Zienkowicz ma pomieszanie zmysłów i w tem

obląkaniu wyobraża sobie konieczność działania i pomyślność skutku, że nakoniec, cokolwiek by niebaczni robili, w to mięsząc się naturalny rozsądek zabrania Tyszkiewiczowi, marszałkowi, hrabiemu, synowi ojca, mężowi, ojcu dzieci. Potem wszystkim, wieczorem odjechał.

Wrócił Zienkowicz od Soroki do swojego mieszkania, gdzie na niego czekali Jakubowski i Rutkowski, opowiedział im rozmowę z Soroką, najgotowszym do poświęcenia się w podeszłym wieku swoim sprawie ojczystej, *) a od nich dowiedział się i o niewczesnej Świętorzeckiego wymowie i o jego odjeździe.

Znowu zabłysła nadzieja nakłonienia Tyszkiewicza do powstania.

Jego wpływ, jako zamożnego obywatela, był bardzo potrzebny. Miał Tyszkiewicz tę słabą stronę, że się dał powodować radom Świętorzeckiego i Raczkiewicza.

Jednego już się pozbyto, chciano działać przez drugiego; posłano więc natychmiast po niego, inne bowiem o tym człowieku, niż o Świętorzeckim wszystkich było przekonanie.

Aby zaś nie tracić czasu, udał się Zienkowicz do Tyszkiewicza, gdzie natychmiast Jakubowski i Rutkowski przybyli. Lecz Tyszkiewicz wyszedł już był do Niekraszewicza, zwolna więc toczyć się z panią Tyszkiewiczową zaczęła rozmowa.

Czuła na głos cierpiącej ojczyzny, wierzyła wszystkim Zienkowicza opowiadaniom, wierzyła, że Dybicz i Wielki książę Konstanty nie żyją, że Tol jest wzięty przez Dwernickiego w niewolę, że wojsko rosyjskie pobite i rozprószone w najsmutniejszym zostaje położeniu.**)

Ta jej wiara w dobrą sprawę ośmieliła Zienkowicza do

*) Jerzy Soroka, były podkomorzy powiatu oszmiańskiego, starzec 80-letni, gorliwie popierał sprawę powstania; zakończył życie w więzieniu.

***) Pogłoski te wówczas w obieg puszczono, w części nieco później się spełniły.

uczynienia jej kilku zapytań, na które z mężem, prawdziwej Polki sercem, pamiętną dała mu odpowiedź:

— Nie ja jedna na świecie jestem żoną, matką. . . . Nie pierwszy mąż mój, jest mężem i ojcem!

Jeśli więc cios okrutny dla mnie przeznaczony, łatwiej go zniosę, gdy mąż mój będzie dla ojczyzny ofiarą, niż gdy zimnych osób radą zatrużony, nie stanie w świętej sprawie. I gdyby nawet skutek zawiódł nadzieje, w ówczas, gdy wszystkie żony i dzieci dotknie los smutny, mnie jednej przystałoby się cieszyć?

Nie!

Taka przyszłość godna wzdargy. Taki los, nie byłby szczęściem, ale najokropniejszą dla mnie karą!

Nie jest w mojej mocy, nie jest w mocy żadnego języka, wydać wyraz uczuć, jakie się malowały na twarzy tej Polki, kiedy słowa te wymawiała; było to jakieś natchnienie nadludzkie, które obecnym nakazywało największe uwielbienie.

Zaledwie mówić przestała, zaledwie wyraz wzniesłego uczucia z twarzy jej zniknął i miejsce spokojniejszym rysom zostawiać zaczął, przybył mąż jej w chwili właśnie uroczystego mileżenia naszego.

— Cokolwiek będzie, cokolwiek zrobicie — rzekł — uwiadomiam, że jeśli to ma być teraz, ja nie przystąpię, bo widzę wyraźne niepodobieństwo.

Ze sposobu, jakim te słowa były wymówione, widać było, że pochodziły z głębokiego przekonania.

Ale nie mogły one obudzić wiary w Zienkowiczu, inaczej przekonany.

— Jeśli więc — przemówił do niego Zienkowicz — jeśli więc już nadzieja, abyś był na czele powstania, straconą zostaje, muszę ci hrabio wszystko powiedzieć:

Powstanie dziś a najdalej jutro będzie.

Posłaliśmy po Raszkiewicza i zaczekamy godzinę na jego przybycie: jeżeli i ten odmówi mi pomocy, jeśli nawet wszyscy pójdą za twoim przykładem, bądź pewny hrabio, że i wtenczas słowo dotrzymać potrafię i jutro najdalej zrobię powstanie.

Pojadę natychmiast do majątku mojej matki a wzięwszy z niego 300 ludzi, udam się do Szwykowskich, oni się pewnie ze mną zgodzą i jutro od Smorgoni rozpoczną powstanie, a prawem rozkazu desperata, do niego innych zmuszę.

Obojętnym okiem patrzę na los, jakikolwiek mnie czeka.

Nie Moskal, nie ukazy sądzić nas będą, ale historia będzie sędzią moich uczynków.

Jeśli mi wypadnie śmierć wymierzać, nie wiem, komu w tem dzieje przypiszą winę, czy mnie który nie chcąc rządzić do rządzenia zmuszony zostałem, czy temu, kto przez obawę o siebie dał powód do ostateczności i stał się ofiarą przyczyną.

Lecz znam cię hrabio i dla tego nie posadzam cię, iżbyś osobistym ulegał względom.

Widzę uwagę twoją zwróconą na to, że jesteś synem, mężem, ojcem i marszałkiem.

Jako syn hrabio, pomnij, że w takiej sprawie, jeden tylko Bóg jest twoim ojcem, a matką twoją ojczyzna. Jako mąż, zapytaj żony, na czem ona szczęście zakłada.

Jako ojciec, wyobraź sobie najsmutniejszy koniec tych działań i wszelkie nieszczęśliwe następstwa, postaw się w położeniu twoich dzieci dorosłych i rozważ, czy zmniejszeniu skarbów, czy zupełne nawet ich poświęcenie, nieprzyjemniejszym i zgodniejszym narzekania będzie, jak gdybyś nie należąc do powstania z nami, przypuszczam najniepomyślniejszego, zachował dla dzieci swoich najogromniejsze bogactwa i razem ślad w dziejach, że gdy naród o swoją niepodległość się dobijał, tyś łącząc się z nim nie chciał, a może oporem twoim próżnych ofiar i zguby sprawy polskiej był przyczyną.

Jako marszałek nakoniec, weź na uwagę, że powstało królestwo polskie, że broń podniosły trzy żmudzkie, trzy litewskie powiaty.

Czy chcemy czekać nagród i przywilejów w razie, jeśli się poszczęści orężowi despoty i czy nie ośmielimy się podzielać losu reszty naszej gubernii?

I możemyż się wahać dłużej, kiedy już u tylu braci naszych powiewa sztandar polski?

Spóźniliśmy się i tak; czekać dłużej niepodobna. Gdyby

powiat oszmiański przed dwoma dniami był powstał, nie byłby przeszedł kuryer z doniesieniem nieprzyjacielowi o powstaniu żmudzkiem.

Trzeba więc nagradzać szkody i straty, nie nowych stawać się przyczyną.

Teraz ostatniego twego hrabio oczekuję słowa. Wymów, bo już się oddalam.

Tyszkiewicz mocno był wzruszony, a pamiętając, że po Raczkiewicza posłano, żądał najusilniej po kilkakroć tylko tego od Zienkowicza, aby się wstrzymać do jego przybycia. Godzina czasu nie wiele znaczyła, już była wprawdzie siódma, czekano więc Raczkiewicza przyjazdu.

Lecz zaledwo upłynęło pół godziny, przybył z Wilna Eustachy Januszkiewicz w tymże samym celu.

Uwiadomiony o tem Zienkowicz, idzie do niego i zastaje go, mówiącego na osobności z Tyszkiewiczem. Tyszkiewicz przedstawia Zienkowicza, jako zapaleńca, który mu nie daje chwili do wytchnienia.

Januszkiewicz mówił krótko, ale słowa jego zimno, z pewną rezygnacją wymówione, tak były stanowcze, że gdy dla będących z nim jednej myśli przynosiły radość, dla osób słabej wiary bojaźń o siebie rodzić mogły.

Tyszkiewicz czekał na przyjazd Raczkiewicza i wtedy dopiero miał dać ostateczną odpowiedź.

Jego udział byłby zawsze korzystny, ale wszystko było już zdecydowane.

W kilka godzin miało się rozpocząć powstanie, choćby nawet Tyszkiewicz do niego nie chciał być należec. Januszkiewicz opowiedział, że się widział z Ważyńskim Porfiry i Klukowskim, doniósł, że Ważyński o godzinie 11 w nocy zdejmie obiedwie poczty, utrzymujące komunikację Wilna z Oszmianą i z Klukowskim w nocy przybędzie. Potrzeba więc już tylko było zaczynać powstanie i przygotować wszystko do następnego działania.

Aby dać lepiej poznać, z jaką rozważą przygotowano to powstanie, nie od rzeczy będzie wspomnieć w tem miejscu nieco o położeniu Oszmiany.

Miasto Oszmiana o mil 7 od Wilna leży na tracie pocztowym przez Mińsk do Petersburgu idącym.

Powiat oszmiański otoczony powiatami wileńskim, zawiłęjskim, lidzkim, nowogrodzkim, wilejskim i mińskim, nie miał żadnego punktu oparcia, bo w żadnym z tych powiatów nie było jeszcze powstania, a w każdym znajdowała się jakkolwiek nie wielka część wojska.

Wilno zaś, z powodu większej liczby wojska, było dla Oszmiany najgroźniejszym punktem.

Wszakże te wszystkie niebezpieczeństwa mało zajmowały uwagę powstających w Oszmianie. Podobnie nie chcieli oni czynić przygotowań do następnego działania, zostawiając to na potem, gdy się już zrobi powstanie, aby tym sposobem uniknąć niewczesnych sporów, przeciwnych zdań, albowiem nie przybyli tu rozważać i rozprawiać, ale działać.

Zaczęto więc układać projekt tylko do samego początkowego powstania.

W tem uwiadomiono ich, że kilka pojazdów na pocztę przybyło; chciano się dowiedzieć, czy to nie uciekający Nowosilcow albo Pelikan, ale pokazało się, że to obywatel z rodziną jadący z Wilna.

Nie długo potem przybył kuryer; tu się zdania powstańców różniły: Januszkiewicz, Zienkowicz i Poll chcieli natychmiast wziąć go i krokiem tym rozpocząć powstanie.

Inni byli przeciwnego zdania; w końcu zgodzono się, żeby go zabrać za miastem.

Zienkowicz z Pollem biorą to na siebie i kiedy już mają siadać na czekające na nich konie, znowu rozważania, próśby nawet lękliwych osób i powtórna decyzja, aby dzisiaj nie rozpoczynać.

Tak więc kuryer z depeşami został przepuszczony.

Zgromadzona w celu rozpoczęcia powstania w jednym domu młodzież, uzbroiwszy się w pistolety, fuzye, szable, składała szczupłe grono, lubo na rejestrze było do rozpoczynania tego dzieła pięćdziesiąt zapisanych osób.

Upływały godziny, nikt nie spał, wszyscy czuwali, lecz liczba się nie zwiększyła.

O północy przybyli Ważyński i Klukowski z doniesieniem, że już stacye pocztowe zdjęte.

Przybył wreszcie i Raczkiewicz; zimne jego rady działały na Tyszkiewicza, lecz już nie zważano na to, czekano tylko poranka.

Już było po godzinie czwartej z rana dnia czwartego kwietnia, kiedy rozpoczęto w Oszmianie powstanie. Aresztowano najprzód wszystkich oficerów w trzech domach i wszystkich do domu powstańców przeprowadzono.

Odnaczył się w tem szczególniej adwokat Napoleon Szuniewicz; wziął on był oficera z Wielkołuckiego pułku i gdy go prowadził, sierżant zaszedł mu drogę przynosząc oficerowi swemu raport, że mocno czuwać potrzeba, bo ma być rozruch z rana.

Wiadomość tę otrzymał od żydów. Na wezwanie aby się poddał, ujął ręką za pałasz, lecz Szuniewicz ugodził go natychmiast w prawą rękę, sierżant wy dobył pałasz lewą ręką i chciał przebić Szuniewicza, kiedy tenże tak silnie w głowę go uderzył, że sierżant upadł na ziemię.

Na krzyk Moskala, zaczęli się zbiegać żołnierze, sierżant leżąc na ziemi wskazywał im stronę, w którą oficera wprowadzono, rozbiegli się szukać go, ale go nie poznali, bo Szuniewicz płaszcz swój na niego zarzucił i tym sposobem do domu go wprowadził.

Około godziny piątej z rana wszyscy początkowi powstańcy wypadli na ulicę, każdy z bronią jaką miał.

Nie wielka ich była liczba, można zatem nazwiska ich przytoczyć: Eustachy Januskiewicz, Ignacy Klukowski, Antoni Czechowicz, Wacław Jankowski, Wincenty Buttler, Justyn Poll, Kajetan Lenartowicz, Napoleon Szuniewicz i Józef Zienkiewicz.

Oto była cała masa początkowych powstańców oszmiańskich.

Dwóch z nich Szuniewicz i Buttler pilnowali jeszcze więzionych oficerów tak, iż tylko w siedmiu uderzono na arsenał załogi.

Ale jakież było ich zdziwienie, kiedy oprócz czterech sztuk starej broni, nic w nim nie znaleziono.

Wiedzano jednak, że broń gdzieś jest złożona, zapytano się o kapitana Kryczyńskiego, komendanta garnizonu, który ich w końcu zaprowadził do Ostrogu, gdzie było 45 karabinów i 4000 ładunków.

Ale pod rządem moskiewskim noszenie broni tak jest rzeczą odstraszącą, tak się bauo działać samodzielnie, tak się przyzwyczajono robić wszystko za rozkazem, że przechodzących ulicą zdolnych do noszenia broni ludzi, do rozbierania tej broni i tych ładunków zmuszać trzeba było.

Wszakże uzbrojono tym sposobem natychmiast trzydziestu ludzi, którzy w szyku bojowym, przy odgłosie bębnow przez miasto przeciw uszykowanym do boju żołnierzom z pułku wielkołuckiego postępowali.

Prowadził ich na czele idący Zienkiewicz, a Ważyński na koniu i inni powstańcy towarzyszyli pieszo temu oddziałowi.

Za zbliżeniem się do rynku, ksiądz Dominikan Jasiński z chorągwią kościelną stawając na czele. w imie Boga za wiarę walczyć, lud zwołuje i na głos ten zbiera się garstka ciekawego ludu, który z oddziałem uzbrojonym zmierza wprost do uszykowanych do boju żołnierzy.

Ale w miarę zbliżania się i ta garstka się zmniejsza.

Któż wie ilu byłoby zostało, gdyby żołnierze byli dali ognia, ale zaczęto się parlamentarstwo z oddziałem wojska, którego oficer był wzięty, i którego sierżant zastępował; bój byłby mógł zniszczyć nadzieje powstańców, parlamentarze ułatwili zwycięstwo i po dwóch godzinnych układach, z płaczem oddali broń żołnierzom; zawarowano im życie i własność osobistą.

Poddanie się żołnierzy o godzinie 8 z rana, dało powstańcom 650 sztuk nowych karabinów, 140,080 ładunków, dwie beczki kul, beczkę prochu, kilkadziesiąt postawów sukna, mnóstwo lederwerków i sprzętów wojennych.

Te były trofea dziewięciu młodzieńców, ta nagroda ich poświęcenia się.

Święcie dotrzymano warunków umowy z żołnierzami i

nie tknięto ich prywatnej własności. Mieszkańcy zdawali się być o przyszłość spokojni.

Po tak szczęśliwym początkowym działaniu obojętni zaczęli nabierać ducha i być powstaniu pomocnymi, lud zaczął się gromadzić.

Dzwony wezwały na mszę świętą dla podziękowania Panu Bogu za pomyślne rozpoczęcie powstania.

Ksiądz Kundziez celebrował; trzeba było widzieć, jak się gorąco młodzież modliła o dalsze powodzenie zaczętego dzieła.

Po mszy ś. Jakubowski przeczytał manifest Polaków, odpowiedź Litwy, odezwy i akt pospolitego ruszenia.

Porfiry Ważyński ogłoszony został naczelnikiem powstania powiatu oszmiańskiego.

Nastąpiło wykonanie przysięgi; Zienkowiczowi powierzono jej przyjmowanie.

Przeszło 300 osób wykonało ją naówczas ochoczo.

Ważyński oddalił się dla czynienia dalszych rozporządzeń,

Młodzież przypominała trójkolorowe, albo dwukolorowe kokardy, duch polski wznosił się nad Oszmianą, uroczystą była ta chwila.

Samo słońce, pomimo że jeszcze śniegi zalegały ziemię, błogo przyświecało działaniom dnia tego.

Tu się spełniły słowa: kto uwierzył w świętość sprawy, a poszedł, dokonał niewiedomie olbrzymie trudności.

Otwierały się z łatwością grobowe więzienia, pękały pojedyncze zapory.

Blask światła, niepojęty dla straży, olśnił ją i złożyła broń na ziemię; nikt nie zginął, bo tak wysoka jest opieka światła, że kto zaufał, nie doznał zawodu.

Wschodzić zaczęła jutrzeńka wolności narodowej, oświecała grobowe matki więzienia.

Wszakże okuta w kajdany, jeszcze z niewoli wyrwaną być nie mogła, do zniszczenia bowiem kajdan słabe jeszcze były usiłowania.

Nie wszyscy, niestety nie wszyscy złączyli się do tego działania! Tu się spełniło, że kto przedsięwziął rwać kajdany i jął się tego działania, przed tym uchylił się oręż nieprzyja-

ciela, pierzchnął przed nim wróg nieprzyjazny. On i sam zdobył i braciom pozyskał oręż, a gdyby wszyscy lepiej byli poznali swą sprawę i wszyscy byli się złączyli, wywalczone byłyby nasze prawa, skruszone ojczyzny kajdany, odzyskane zostały kraje, tak długo jęczące w niewoli.

Była godzina jedenasta, kiedy zaczęto z utworzonym sekretne komitetem zastanawiać się nad nowem położeniem i i użyciem środków. jakie możność pozwalała. a konieczność radziła.

Powiat oszmiański liczył około 40.000 dusz męzkich: z tej więc liczby postawiono częściej piątą, czyli 8000 mieć natychmiast w szeregach wojskowych w broń palną, kosy lub piki uzbrojonych, a drugą taką samą część trzymać w pogotowiu na przypadek ostatniej potrzeby.

Ta druga część miała pozostać przy zatrudnieniach rolniczych i na wzór zaprowadzonych po miastach gwardyj narodowych, wyobrażać je na wsiach.

Na utrzymanie tego wojska postanowiono brać żywność od obywateli z tak zwanych włościańskich magazynów, które właściciele teraz rząd sobie przywłaszczył i dostarczać dla wojska rosyjskiego kazał.

Na początkowe umundurowanie miały służyć zabrane 72 postawy sukna, a na początkowe uzbrojenie zdobyta broń i amunicja: postawiono dokupywać wszelką broń palną i pałasze. Wolność całemu w ogóle ludowi nadano, szlachtę od lat 15 do 60 bez wyjątku w przeciągu trzech dni pod karą śmierci do powstania wezwano.

Do Tatarów dołączenia się uczyniono odezwę.

Żydów do wspólnego działania powołano.

Zamierzono sprowadzić male dwie armatki, a z rud i hamerni w majątku Chreptowicza Wiszniewie, liczbę dział powiększyć postanowiono.

Księży wezwano głosić z ambon narodowe powstanie, a dla prędszego wypełnienia tej decyzji oddano parafie pod główne zarządzenie wyznaczonych do tego powstania osób.

Powiat oszmiański liczył 33 parafij.

Na prędcę zatem siadm główniejszych od granicy gubernij

mińskiej parafii Zienkowiczowi, dwie od granicy gubernii grodzieńskiej księdzu Jasińskiemu oddano; do innych posłano wprost rozkazy z instrukcjami.

Pierwszemu z tych Zienkowiczowi nadano moc zupełną do działania wszystkiego, co uzna za potrzebne; drugiemu polecono zrobić powstanie w parafiach mu wskazanych i zabrać konie u Wołka; trzeciemu także powstanie zrobić i starego Tyszkiewicza do niego skłonić, lub ofiary od niego otrzymać, a strzelców tak od niego, jak od księcia Radziwiłła z majątku Nalibok, natychmiast do Oszmiany wyprowadzić polecono.

Nim jednak kancelarya z całego miasta zebrana, pospieszyła rozpisać odezwy, rozkazy do duchownych wszystkich parafij i przepisy aktu pospolitego ruszenia, tymczasem wyszły około godziny dwunastej rozkazy mianujące Onufrego Pławskiego adwokata, komendantem miasta Oszmiany, Szuniewicza kapitanem pierwszej kompanii piechoty, Wacława Jankowskiego kapitanem kawalerii, jakie się najprzód utworzą, Kaźmierza Jankowskiego ogólnym magazynierem, asesora sądu niższego od korony, pełniącego obowiązek sprawnika kapitanem sztabu, a Klukowskiego porucznikiem sztabu.

Około godziny czwartej po południu Zienkowicz zważając ważność danego sobie poruczenia i rozkaz naczelnika, aby jak najprędzej wracali żądał dodania sobie dwóch pomocników, na co się zgodzono; wybrał więc Zienkowicz i którzy chętnie tego obowiązku się podjęli i natychmiast wydano im rozkaz, aby mu towarzyszyli.

Było godzina piąta, kiedy odjeżdżającego wielu obecnych żegnało.

W tem umyślny posłaniec wręczył Zienkowiczowi list od brata, donoszący o zejściu przed trzema godzinami ojca i wzywający go do dopełnienia ostatniej posługi.

Zienkowicz prosił, aby który z obecnych odpisał.

— Co do mnie, rzekł, chcę wypełniać, co mi polecał, dając błogosławieństwo.

Spełniły się nasze zamiary; widać że za tyle szczęścia, trzeba było za to Bogu ofiary, powołał więc ojca mego.

Niech brat mój sam się zajmie ostatnią posługą, niech

uwiadomi matkę; ja pamiętny jego słów ostatnich, abym ojczyźnie wszystko poświęcił, nawet smutek jej poświęcam, szczęśliwy że za ojca drogą pozyskałem matkę.

Tego tylko w mem życiu żądałem.

Żegnaj was!

O półtóry mili od Oszmiany, w miasteczku Żuprany zwołał Zienkowicz księdza, kluczwójta i pisarza poczty.

Księdzu wręczył instrukcją i powstanie z ambony głosić polecił, konie pocztowe pisarzowi i kluczwójtowi do Oszmiany posłać kazał.

Ztamtąd w nocy, przez zasy śniegu zjechał z drogi i jeszcze przed północą stanął u obywateli , którzy niby radzi, ze strachu drżeli; wszystko wprawdzie obywatel przyrzekł, bo odmawiać na ówczas trudna była pora.

Dnia 5. Kwietnia, chcąc jak najprędzej rozszerzyć powstanie, Zienkowicz dał rozkaz jednemu ze swoich pomocników, aby w tej stronie pozostał i ze wsi do wsi jeżdżąc powstanie narodowe, to, co się w Oszmianie stało głosił i wszędzie rewersa brał dla zapewnienia się, że rozkazy w instrukcyi wyszczególnione, wiernie będą spełnione, sam zaś z drugim pomocnikiem ruszył przed świtem do miasteczka Smorgoń, jako najważniejszego punktu w powiecie oszmiańskim pod względem komunikacyi między Mińskiem a Wilnem.

W podróży tej rozbroił trzech żołnierzy pojedynczo wracających, następnie spotkano dwóch bezbronnych, którzy uwiadomili o nadchodzących dwunastu lejbgwardyjskich Kozakach dońskich, i czterech inwalidach eskortujących pięciu zabiegostwo okutych żołnierzy.

Zienkowicz postanowił rozbroić i zabrać ich i w tym celu dojechał do pobliskiej wioski i z karczmy wysłał karczmarza, aby zwołał ludzi jak najwięcej z siekierami i kosami.

Lecz czas upływał, ludzi nie było, karczmarz nawet nie wracał, a w tem pokazała się nadchodząca komenda, która nie wiedzieć z jakiego powodu na trzy rozdzieliła się części; w pierwszym oddziale było tylko pięciu okutych żołnierzy i czterech prowadzących ich inwalidów, którzy Zienkowiczowi łatwo rozbroić się dali.

Pięciu okutych żołnierzy natychmiast rozkuto i dano im wolność.

Zapytani żołnierze ci, czy wspólną siłą będziemy mogli wzięść nadchodzących Kozaków, odpowiedzieli, że się na to nie odważą, bo Kozacy ci są dobrze uzbrojeni.

W tem też spostrzeżono z daleka zbliżających się dziewięciu tylko Kozaków.

Natychmiast więc rozbrojonych inwalidów i rozkutych żołnierzy zaproszono na wódkę do izdebki w tyle karczmy i tam nieznacznie ich zamknięto zostawiwszy im trunku podobostkiem.

Tymczasem dziewięciu Kozaków już się zbliża do karczmy.

Zienkowicz mija ich spieszenie, a gdy ominął, w cwał konie, mimo najgorszej drogi puścić kazał.

Może o pół wiorsty spotkano pozostałych trzech Kozaków, leżących na furmankach, na których się broń znajdowała.

Pomocnik Zienkowicza wyskakuje natychmiast z bryczki i z odwiedzionymi pistoletami przemawia skutecznie do wieśniaków powożących fury.

Ale zaledwie zdołano zabrać dziesięć pałaszy i cztery karabinki konne, kiedy krzyk Kozaków i zapewne wiadomość w karczynie o nas powzięta, tamtych dziewięciu ku nam zwróciły.

Trzeba było już wtenczas ratować tylko zdobytą broń i życie, zacięto więc konie i ujeżdżano dalej; jeden z trzech Kozaków puścił się za bryczką i w pędzie konie wstrzymał; Zienkowicz wy dobył przeciw niemu pistolet, a w tem też woźnica tak silnie batem za uszy Kozaka skrobnał, że natychmiast upadł.

Pędzono, co tylko konie wyskoczyć mogły i lubo Kozacy i pieszo z dobytymi pałaszami i na furmankach gonili, potrafiono uciec i w takim stanie wjechano do Smorgoń.

Uderzenie we dzwony i ogłoszenie powstania zgromadziły nieco ludu.

Żydzi patrzali nieprzyjaźnie.

Zienkowicz wydał natychmiast rozkaz miejscowemu klucz-

wójtowi zebrać ochotników i stanąć przy wjeździe do miasteczka, aby rozbroić i ująć owych Kozaków, jeśli się pokazali.

Nie upłynęło pół godziny, kiedy kluczwójt wiernie wypełnił ten rozkaz i tak Kozaków, jak uwolnionych zbiegów z ich strażą dostawił.

Dwóch podoficerów przybyło z nim do Zienkowicza; przyniesiono dwa pałasze, siedm nabitych pistoletów, jedną pikę i trzydzieści sześć ładunków.

Broń zatrzymano, zostawiono im ich własność prywatną i muudury, zaręczono bezpieczeństwo życia i oddano ich pod główną straż tego, który ich wziął i przyprowadził.

Ksiądz miejscowy wypełniając polecony sobie obowiązek, przy odgłosie dzwonów odprawił natychmiast mszę świętą i ogłosił ludowi akt powstania.

Od tej chwili mieszkańcy miasteczka już tylko zaopatrywaniem się w broń byli zajęci.

Nieprzyjazne żydostwo po otrzymaniu odezwy powołującej je do wspólnego działania, prosiło o zwłokę dla porozumienia się z oszmiańską swoją starszyzną, czego im nie odmówiono.

Spokojność panowała w miasteczku, nie dopuszczano się żadnego nadużycia.

Wieczorem i w nocy rozesłano rozkazy do przyległych wsi.

Zaledwie nadszedł ranek dnia 6. Kwietnia, audytor dywizji w randze majora, za nim w godzinę kapitan i nakoniec dwaj porucznicy, wjechali do Smorgoń od strony Mińska.

Natychmiast rozbrojeni z całą własnością pod strażą do Oszmiany odesłani zostali.

Odesłano tam także w innych oddziałach, uwolnionych zbiegów i ich straż, oraz dwunastu wspomnianych Kozaków.

W tem uwiadomiono Zienkowicza o przyjeździe Przeździeckiego.

Po ukończeniu nagłych czynności udał się do niego.

Wiedział już Przeździecki jadąc z Nowogródka przez Oszmianę o bytności Zienkowicza w Smorgoniach, spieszył więc sam do swojego majątku.

Uwiadomiony o rozporządzeniach Zienkowicza przez swego komisarza, z wzorową dla przykładu drugich uległością, poddawał się tych rozrządzeń skutkom, tylko o zostawienie pocztowych koni, które miały być odesłane do Oszmiany, dla tego prosił, że chciał je umontować i dostawić dla kawaleryi z jego majątku przypadającej.

Zienkowicz przedstawił naczelnikowi żądanie Przeździeckiego.

W ciągu rozmowy z Przeździeckim uwiadomiono Zienkowicza o przybyciu nowego oficera rosyjskiego.

Na usilne prośby Przeździeckiego, aby go nie aresztować w Smorgoniach, dla tego, iż brakuje potrzebnej straży do jego przesłania, zezwolił na to Zienkowicz, tem bardziej, iż od naczelnika i o położeniu Oszmiany chciał mieć jaką wiadomość; wyprawił więc drugiego dodanego sobie pomocnika, z poleceniem, aby oficera tego w Żupranach aresztował i ztamtąd do Oszmiany go posłał, sam zaś, żeby do Oszmiany dojechał i z wiadomościami od naczelnika, tego samego dnia wracał.

Oficer ten był w istocie w Żupranach aresztowany, ale pomocnik wysłany zachorował w drodze i Zienkowicz ani od niego, ani od naczelnika, nie otrzymał żadnej wiadomości.

Po chwili przyszedł do Przeździeckiego żydzi z zapytaniem, co robić i jak uważać mają Zienkowicza i jego rozkazy.

Wyjaśniło się później, dla czego się go o to pytali: chcieli Zienkowicza rządowi do Wilna dostawić.

Przeździecki odpowiedział im, że rozkazy Zienkowicza przed wszystkimi innymi powinny być wykonane i ta odpowiedź wstrzymała żydów od spełnienia zamachu wymierzonego przeciw Zienkowiczowi.

Sami zeznali to potem przed Moskalami na inkwizycjach.

Na wezwanie Zienkowicza kazał Przeździecki zająć się pomimo święta rzemieślnikom rozmaitemi robotami i spełniono wszystkie z tym większą ochotą, że właściciel Smorgoń hojnie robotę ich opłacał.

Bliskie położenie majątku Daniuszewa do matki Zienkowicza w powiecie Zawilejskim należącego, chęć, aby wieść o powstaniu oszmiańskim obudziła powiat Zawilejski, wreszcie

potrzeba zaopatrzenia się w konie i ochotników, skłoniły Zienkowicza że tam pojechał.

Po odesłaniu odezów w rozmaite strony, uwiadomiony o trudnościach, jakie nazajutrz mogły go być spotkać w przybyciu Wilii, tego samego dnia wrócił do Smorgoń z trzynastu własnymi końmi i siedmdziesięciu ludźmi.

Przerażony nieporządkiem, w jakim zastał straż nocną, odesłał ją na spoczynek, rozstawił swoich ludzi w punktach komunikacye z miasteczkiem i głównymi drogami mających i sam na poczcie przy drodze z Mińska idącej, jako w najważniejszym punkcie, obrał dla siebie miejsce na główną kwartę.

Dnia 7. Kwietnia po uczynionych rozporządzeniach i przesłanych do wielu obywateli rozkazach o dostawienie stosownie do instrukcyi wypadającej na każdego ilości uzbrojonego ludu, wyjechał Zienkowicz przed godziną 10 z rana przez miasteczko Zaszkievicze przy samej granicy gubernii Mińskiej do majątku Bienicy.

Zastał tam młode małżeństwo i chorego na piersi młodszego brata Stanisława Szwykowskiego, który uwiadomiony o przyczynie Zienkowicza przyjazdu, odzyskał niejako zdrowie, czyli raczej przestał zważać na swoją chorobę, tak wielką jest albowiem ku ojczyźnie miłości potęga, że przejęty takim uczuciem, nigdy siebie nie uważa w takim stanie, iżby nie mógł nieść potrzebnej dla ojczyzny pomocy. Są w Bienicy kościół O.O. Bernardynów i cerkiew unicka.

Zienkowicz zaprosił natychmiast do siebie i Bernardyna i popa.

Przybył Bernardyn, przyjął instrukcyę i chcąc w jednym czasie z unitą wypełnić rozkaz, czekał na jego przybycie; lecz gdy ten nie przychodził, zalecono Bernardynowi, aby natychmiast ogłosił mieszkańcom wiadomość o powstaniu, co też przy odgłosie dzwonów nastąpiło.

Co zaś do popa, uwiadomiono Zienkowicza, że ten przstraszył mieszkańców miasteczka, głosząc, iż 40.000 Moskalów przyszło do Zaszkievicz i że po drodze wszystko palą, radził im więc, aby uciekali do lasów.

Zienkowiec posłał natychmiast do jego żony rozkaz, aby się stawił najdalej w przeciagu dwóch godzin, jeżeli chce się ocalić i otrzymać przebaczenie.

Rozkaz ten musiał trafić do jego przekonania, bo nie upłynęło pół godziny, kiedy stawił się przed Zienkowiczem ksiądz Andruszkiewicz, blady jak trup i ze strachu ani słowa nie mogąc przemówić, tylko ciągle się kłaniając.

Zienkowiec przemówił do niego w krótkich wyrazach, wręczył mu instrukcyę i nakazał pierwszych jej punktów w pół godziny spełnienie.

Krótką tą przemową musiała zrobić na księdzu unickim wrażenie, bo jeszcze przed upływem wyznaczonego mu czasu, zatętnił w kościele unickim dzwon wolności i słowa prawdy rozeszły się pomiędzy ludem w cerkwi zgromadzonym.



ROZDZIAŁ II.



Jeszcze krótki czas zabawił Zienkowiec w Bienicy, zatrudniony rozsyłaniem rozkazów na piśmie do przyległych parafij.

Po południu wracał do Smorgoń z chorym niedawno, a już zdrowym Stanisławem Szwykowskim, po drodze zajeżdżając do niektórych wsi i dworów.

Tu tylko wspomnieć mu wolno, że w tej drodze czytał list jednej mężatki, pełen ducha patryotycznego i zapału.

Zacna ta Polka cieszyła się z powstania, zachęcała, aby wszystkie mężatki wyprawiały mężów na obronę ojczyzny, wystawiała, iż żadna przyszłość nie otwierałaby smutniejszego dla żon do zniesienia ciosu, jak gdyby ich mężowie, tchórzów lub niełączących się w takiej sprawie, zyskali dla siebie nazwanie.

Późno już w nocy dnia tego przybył Zienkowiec do obranej w Smorgoniach na pocztę głównej kwatery. Urządzenie pikiet, straży nocnej, rozmaite rozkazy i raporta, zajęły mu resztę nocy.

Dnia 8. kwietnia za ledwie światło poranka zablysło, przybył Przeździecki na pocztę.

Pisał jeszcze Zienkowiec a po skończeniu razem ze Szwykowskim, poszli oglądać rzemieślników prace.

Okolo godziny 9 aresztowany i odesłany przez Zienkowicza przed dwoma dniami pod strażą do Oszmiany, major, audytor dywizyi, wraca na powrót do Mińska, stawia się przed Zienkowiczem i okazuje pozwolenie do wolnego przejazdu od naczelnika Ważyńskiego.

Zdziwił się wprawdzie Zienkowicz, że Ważyński tak postępuje.

Jeszcze w samej kolebce było powstanie. Przestraszyć tylko i odgłos, czyniły to powstanie groźnem; uwalniając zaś jawnego nieprzyjaciela swego, człowieka z bystrem pojęciem i naczelnego świadka, można było łatwo ten zaród powstania zniszczyć i wielu oprócz tego indywidualnie narazić.

Mimo należne naczelnikowi posłuszeństwo, a ztąd i wypełnienie jego woli, Zienkowicz jednak widocznie przez samo utrudzanie okazał, iż zamyśla majorowi wzbronić przejazdu.

Poznał to audytor, kłaniał się niezmiernie nisko Przeździeckiemu prosząc go o protekcję; ale Przeździecki odpowiedział, że nie jest w stanie zrobić, ponieważ tu rządzi Zienkowicz.

Wstawić się więc tylko do niego i przelożyć prośbę obcał, co też dopełnił w obec audytora.

Zienkowicz nie opierał się, lecz biletu na wyjazd nie dawał, mówiąc że da audytorowi przewodnika do granicy powiatu aby go swobodnie przeprowadził, a rzeczywiście miał zamiar go zatrzymać i wstrzymał kilkanaście godzin lecz w końcu przez uległość naczelnikowi i dozwolił temu oficerowi wyjazdu.

Tu się wykazała potrzeba zmiany naczelnika; żadnej nie dawał on Zienkowiczowi na raporta i zapytania na piśmie odpowiedzi, ustnie tylko za wszystkie działania przychodziły pochwały.

Nie tych, lecz dobrego działania Zienkowicz żądając, mówił Przeździeckiemu, że skoro przyjedzie do Oszmiany, na naczelnika go poda.

Opierał się Przeździecki przyjęciu najwyższej władzy i dowodził, że największą dla sprawy byłoby korzyścią, gdyby władza Józefowi Tyszkiewiczowi była powierzona, dodając że

on z chęcią przyjmie naówczas wydział, jaki mu będzie poruczony i dopełni obowiązku, jak syn ojczyzny dopełnić go powinien.

W oczekiwaniu, że wkrótce dostarczą ludzi zbrojnych sąsiadujący obywatele, trzeba było myśleć, podobnie jak dla oka ludu o przybraniu wojskowości barwy, a że powstanie w Oszmianie odbyło się prawdziwie desperackim sposobem, że napad na lejbkozaków podobnie był desperacki, i że nadal wszelkie działania powstańców powinny być również desperackie, bo kto powstał, przebaczenia dla siebie od Rosyi ani żądać, ani myśleć o niem nie powinien, to wszystko nastęczyło myśl utworzenia odpowiedniego munduru i taki mundur pod nazwauiem Desperacki Zienkowiez sobie dnia tego robić kazał, co i Szwykowski również uczynił.

Raporta od obywateli, że danie ludowi wolności, zrobiło go nieposłusznym dla dworów i z tego powodu niepodobna jest stósownie do rozkładu dostarczyć uzbrojonych żołnierzy, zmusiły Zienkowicza do wydania nowych rozkazów, a między innymi, aby na dzień jutrzejszy z miejsc polskich lud się zebrał na nabożeństwo do smorgońskiego kościoła.

Było to dnia 9. kwietnia, kiedy lud zebrany po mszy św. otrzymał objaśnienie warunku wolności.

W kościele do ludu przemawiał Zienkowicz wykazując, że o tę wolność walczyć, tej wolności dobijać się jeszcze potrzeba, każdy więc dym włościański, który jednego z pośród siebie członka poświęci na tę dla ojczyzny posługę, wolnym z całą w nim obojej płci ludnością, na zawsze zostanie.

Zrozumieli tę przemowę starcy.

Łzy radości okrywały ich twarze.

Nastąpiło potem odbieranie przysięgi; poprzedziła ją stosowna duchowna nauka i ochocza przeszło 200 ludzi przysięgło.

Pomiędzy tą liczbą włościan byli mieszczanie i szlachta.

Wykonali naówczas przysięgę pomiędzy innymi Stanisław Szykowski i Konstanty Jankowski, który uwiadomiony o tworzącym się oddziale desperatów i o poświęcenia się warunkach,

żądał podobnie być desperatem; brakowało mu tylko munduru i konia.

Jedno i drugie od Przeździeckiego otrzymał.

Zebraną na przedce kawalerią uczył mustry Stanisław Szwykowski.

Zienkowicz wydał rozkaz do wojska aby Szwykowskiego porucznikiem nazywali, a jemu dał poruczenie, aby się zajmowano organizacją kawalerii, nim od władzy wyższej otrzyma dla siebie upoważnienie i tytuł.

Liczba zbrojnego ludu coraz się zwiększała i Szwykowski nad nim pracował.

W tem od marszałka powiatu Józefa Tyszkiewicza na konwokacją na dzień 11. kwietnia otrzymane wezwanie zmusiło Przeździeckiego i Zienkowicza do udania się do Oszmiany.

Tegoż dnia jeszcze otrzymał Zienkowicz sekretnie doniesienie, że arendarz miasteczka Smorgoń, żyd Dawid wrócił z Wilna od dwóch dni, lecz się kryje, dla tego że radzi żydom przeciwnymi być w naszej sprawie, nie dostarczać nam żądanych artykułów, szpiegować i donosić nas i ile możności wszystko nam utrudzać.

W rzeczy samej, fakta popierały te dooiesienia; wszelka robota przez żydów spełniana, szła opieszale, nie od nich otrzymać nie można było, z największą trudnością, zrobione mundury ogromnie kosztowały.

To wszystko upewniało o niesprzyjaniu żydów naszym działaniom, tem bardziej, że podług odezwy ażeby z pośród siebie tworzyli wojskowe hufce, bynajmniej o nich już słyszeć nie chcieli.

Cała pomoc, jaką oświadczały z swej strony była, że będą modlili się za sprawę naszą.

Należy tu także jeszcze dodać, że gdy Zienkowicz do miasteczka Suorgonie, mającego kupców wielkimi masami zboża handlujących, kazał przywieźć z matki swojej majątku trzydzieści beczek owsa i żyta na sprzedaż, ani jednej sprzedać nie mógł.

Żydzi oświadczyli, że zboża nie potrzebują, chociaż o owies wszędzie się starano i Zienkowicz zmuszony został ode-

śłać na powrót nie sprzedane zboże, zostawiając tylko dziesięć beczek owsa dla wojska swego użyto.

Mając więc tyle dowodów ich nieprzychylności, należało użyć przeciw nim skuteczniejszych środków — i te może byłyby nastąpiły, gdyby arendarz Dawid został był wynaleziony, on albowiem i żydami smorgońskiem i drugimi nawet przyległych miasteczek kahałami rządził, lecz gdy wynalezienie jego okazało się niepodobnem, odłożono więc operacye z żydami, do ogólnego na konwokacyi postanowienia.

Dnia 10. kwietnia z zebraniem ludem wojskowym słuchali mszy św. powstańcy, nastąpiło po niej błogosławieństwo wyprawy, przez kapłana i o południu po wydaniu stosownych rozporządzeń na czele 320 kawalerii i piechoty wyruszył Zienkowicz z Szwykowskim do Oszmiany.

Jankowskiemu zaś poruczył, aby z resztą zebranej już kawalerii, której umuntowanie jeszcze dnia jednego potrzebowało, nazajutrz do Oszmiany przybywał.

Blotnista droga, regularność marszu i spóźniona pora, zatrzymały powstańców na nocleg o półtóry mili.

Łzy przeprowadzających te świeże hufce kobiet, rozbrajały odwagę ludu, wszyscy płakali.

Na widok nadchodzących, nawet na pogłoskę że się zbliżają, uciekali ze wsi wieśniacy.

Nastąpił więc rozkaz, aby nazajutrz równo z początkiem dnia kobiety wóciły do domu.

Stało się podług tego i sami powstańcy byli ucieszeni z tego kobiet oddalenia.

Dnia 11. kwietnia ledwo promyk światła zabłysnął na niebie, już w marszu byli powstańcy; z początku nudni, nieśmiali, przybierać zaczęli później wesołą minę.

Śpiewy, a śpiewy narodowe napępniały powietrze, radość była powszechna i taką koleją zbliżano się pod miasteczko Żuprany.

Szalewicz Adolf jadący z gubernii mińskiej do Oszmiany powiada Zienkowiczowi o majorze, którego spotkał przedwczoraj z Smorgoń jadącego:

Przywitał on Szalewicza temi słowy :

— Gdzie jedziesz młodzieńcze ? Tam bunt, rozboje, ledwie się ztamtąd wyrwałem. Wracaj, jeśli ci życie i spokojność miłe.

I gdy przeciwną tym uwagom otrzymał odpowiedź, pożegnał go mówiąc :

— Jedź więc, łącz się z nimi, a wkrótce jak oni wisieć, lub łeb wygolony mieć będziesz.

Był to audytor dywizyi, ten sam, którego Ważyński uwolnić rozkazał, któremu nie prócz broni nie zabrano i jeszcze z kasy powstańców Ważyński dał mu na drogę 75 rub. ass., a którego Zienkowicz przez obawę tylko, aby za nieposłuszeństwo rozkazom naczelnika jako w czasie rewolucyjnym, własnej dla przykładu drugim nie utracił głowy, po różnych utrudzeniach w końcu jednakże przypuścił.

Żądał Szalewicza być także w oddziale desperatów. Przedstawiono mu warunki, przystał na nie, został więc także Desperatem.

Już wiadano w Żupranach o zbliżaniu się Zienkowicza i że tam odpoczynek będzie, albowiem kilku godzinami pierwej przybył tam wysłany od niego kwatermistrz.

Poblizcy więc obywatele zebrali się dla widzenia powstańców ; mnóstwo kobiet i w małej liczbie obywatele, szlachta i lud zebrani witali w kolumny uszykowane z radośnemi śpiewami wojsko wchodzące.

W ciągu odpoczynku dowiedział się Zienkowicz, że przed dwoma dniami gdy wieziono do Oszmiany złapanego na wsi szpiega, otwartego nieprzyjaciela młodzieży uniwersyteckiej, wszystkim znanego policyanta uniwersytetu Piaseckiego, ten po użyciu trucizny w miasteczku Żupranach żyć przestał ; że obywatel Waleryan S młody i mogący czynnie działać w powstaniu, otrzymał rozkaz zajęcia się obowiązkami parafialnego kapitana w Żupranach, *) że podobnie B Józef został

*) Parafialnego kapitana obowiązkiem było : przeznaczonych w zdaniu ostatniej potrzeby rolników, na obronę przeciw nieprzyjacielowi

do Smorgoń na takiego kapitana przeznaczony ; bolało to desperata, że w takiej sprawie tak mało było energii, że zdrowa i mogąca działać młodzież zajmowała starców obowiązki.

Jako w przyjaźni dawniej z S wymawiał mu to Zienkowicz.

Wprawdzie, od tego momentu przyjaźń ich znacznie się zmieniła, i więcej już się nie wiedzieli ; miał S pięknych dwadzieścia na stajni koni, żadnego przecież dla sprawy ojczyzny nie dał.

Smutku z takich widoków nie pocieszały, lecz tylko rozrywały go, radości okrzyki, mnóstwo błogostawieństw i życzeń szczęścia. a to wszystko przez zebrane w tem miasteczku obywateli.

Wojsko stało na miejscu wskazanem na biwakach, nikt się nie oddalił z miejsca bez pozwolenia.

Kilka wozów żywności z majątku Zienkowskiego stanowiło tego wojska obóz i cokolwiek brano w tem miasteczku za wszystko płacił Zienkowicz, lud zbrojny spokojnie czekał na wszystko, uczył się karności wojskowej i znając sposób marszu w piechocie i robienie lanca w kawaleryi miał podobieństwo do regularnego żołnierza.

W tym czasie pocztą przyjechał Przeździecki ; krótkie już było z nim widzenie się, krótka rozmowa.

Pospieszając on na konwokacyą i chcąc być świadkiem Zienkowicza wjazdu, najprzód do Oszmiany pojechał.

Nie długo potem rozkaz do marszu ruszył z miejsca lud uzbrojony ; kolumny uszykowane wyszły z miasta i znowu śpiewy radośne uprzyjemniały pochód.

Błotnista droga nie pozwalała pośpieszać i zaledwie po trzeciej godzinie zbliżono się do karczmy zwanej Krakówka o pięć wiorst od Oszmiany odległej.

Po odpoczynku o samej 4 ruszono dalej przez błota coraz obfitsze.

co niedzielę lustrować i jeśli by rozkaz był dany, mosty zrzucić lub drogi z tym ludem zawałać.

Wiedzieli już wszyscy od kilku godzin w Oszmianie o zbliżaniu się Zienkowicza, nie wiadomo tylko o jego mundurze; czekali na niego na konfederacyjną sesję, lecz spóźniona już była pora; nastąpił więc bez niego akt konfederacji przez wielu obywateli podpisany.

Delegowany Mateusz Rutkowski, jako naówczas placomendant miasta spotkał o dwie wiorsty Zienkowicza.

Okolo godziny 6 wieczorem wchodziło do Oszmiany wojsko liczące trzysta dwadzieścia kawaleryi i piechoty.

Spiew uzbrojonego ludu napelniał radością to miasto, które chociaż po tygodniowym powstaniu do dnia tego barwę posepną jednak nosiło.

Przeszło dwieście obywateli i szlachty, tłum kobiet i cokolwiek ludu przy mieszkaniu naczelnika wraz z nim, marszałkiem i Przeździeckim czekało już od długiego czasu, spoglądając zdaleka na zbliżających się obrońców wolności i drogiej wszystkim ojczyzny.

Na czele tego wojska jechał Zienkowicz; z nim byli Rutkowski i Szwykowski.

Ubiór przedstawiał wszystkim w powstaniu powinność, przedstawiał najwidzialniej środki, jakie tylko najlepsze, najpożyteczniejsze, wyteżona dyplomatyka wynaleść jest zdolna.

Krótki czarny surdut spięty na haftki z stojącym kołnierzem, dwie białe z kośćcami na nim trupie główki, na lewej piersi podobnież jedna i na rękawach po jednej, na obu piersiach naszyte białe żebra, na głowie kask czarny okrągły z trupa blaszaną główką, pas biały z pistoletami i szabla przy boku, to był naówczas cały ubiór, który wskazywał, że tylko przekonanie, pierwej umrzeć lub zwyciężyć, może zwycięzcami uczynić.

Chcąc formę wojskowości Zienkowicz zachować, spiął konia ostrogami i ruszył najprzód dla zdania krótkiego naczelnikowi raportu o przyprowadzonej zbrojnej sile; lecz w tym momencie koń jego ulęknioty bijącą go po boku odpasaną szablą wśród tłumu widzów unosi Zienkowicza.

Widok konia przywiązanego do parkanu zmusza kierować na niego aby się powstrzymać, lecz na próżno.

Koń ten, o którego oprzeć się chciano, w pędzie wyrwcony i wszyscy uciekają.

Unoszący Zienkowicza koń przeskoczył przez dziecko i w końcu w małej odległości skierowany między dom i parkan, nareszcie się zatrzymał.

Zienkowicz wrócił się do omiętego już o kilkanaście kroków naczelnika i stosowną zdawał sprawę.

Wśród raportu tlamne okrzyki, pochwały wreszcie że doskonale jeździ na koniu, że teraz dosiedział i wstrzymał konia, obijały się o jego uszy, a wyznać prawdę potrzeba że Zienkowicz dla słabości zdrowia od lat 6 nie jeździł już konno, w młodości doskonałość w tej sztuce daleką od niego była, jeździł więc, jak się potem okazało, trochę lepiej niż po łacinie.

Wjeżdżał następnie z wojskiem; wszyscy je oglądali, wszyscy się dziwili, że lud świeżo zebrany już znał mustrę, że kawalerya zwroty niektóre i lancą robić umiała.

Była to praca Szwykowskiego, którego Zienkowicz przedstawiając opowiedział jego gorliwość i zdolność.

Zapytanie przez W. R. uczynione czemu sobie Zienkowicz dla różnicy srebrem lub galonami trupich główek ponaszywać nie kazał, w obec wszystkich tę otrzymało odpowiedź: Że dziś niema powodu do różnicy w ubiorze, a każdy ktokolwiek będzie należał do desperatów, będzie się różnił liczbą naszytych kości, które w bitwach z Moskałami z położonych trupów dostanie.

Przygotowane kwatery natychmiast w porządku zajęte zostały.

Zienkowicz z Szwykowskim przybyli do naczelnika.

Akt konfederacji przeczytali i podpisali.

Słabość zdrowia Szwykowskiego zagnęła go bo odpoczynku; pozostał więc tylko Zienkowicz pośród mnóstwa zebranych naówczas obywateli.

Pierwsze chwile zeszyły na wspomnianiu o wzięciu Kozaków, na rozmowie o całej jego czynności, o mundurze, o wyjeździe.

Wreszcie niektórzy uważali, iż szkoda, że wszystkich

przez siebie wziętych oficerów i Kozaków przy wjeździe nie kazał za sobą prowadzić. Byłby to blask jak gdyby tryumfalnego wjazdu.

Oburzył się Zienkowiec na myśl tak próżną i przypominając sobie w tej chwili niepojęty postęp z majorem audytorem rzekł:

— Nie byłbym mógł wszystkich jeńców za sobą przyprowadzić, bo jeden z nich i to najważniejszy major audytor dywizji został uwolniony z wyższego rozkazu i zaledwie minął granicę oszmiańskiego powiatu, szubienicą lub wygoleniem głowy, odważył się odgrażać spieszącym do powstania.

Odpowiedź ta sprawiła na obecnych wielkie wrażenie i niewiele już trzeba było dodać do wykazania słabości naczelnika.

Możeby natychmiast o tem zaczęto rozprawiać, gdyby obywatel z Mińskiej gubernii . . . wchodząc, nie był prosił naczelnika Ważyńskiego o zarekomendowanie go Zienkowiczowi.

Chciał on go, jak mówił, dla tego widzieć i poznać, iż wszelkie rozkazy i pisma Zienkowicza śmiało i wyraźnie były podpisane, gdy tymczasem wszelkie inne, które się mu widzieć zdarzyło, jaki miały podpis, wyczytać nigdy nie mógł.

Śmiano się z tej ostrożności innych, a wśród tego Zienkowiec prosił, aby go uwiadomiono, co zrobili wysłani z Oszmiany do innych parafii, Jakubowski, Jasiński i inni, oraz co działo się w samej Oszmianie podczas jego nieobecności.

Gdy Jakubowski od Tyszkiewicza nie wyjednać nie mógł, skończył swoją misję sprowadzeniem dwudziestu strzelców z Nalibok.

Ksiądz Jasiński nie znalazł ani Wolka, ani koni, wręczył tylko kapłanom instrukcje, które mu był dał naczelnik i oprócz zagrzewania naukami duchownymi do brania za broń, nic więcej nie mógł zrobić.

Pol Justyn złożył przywiezioną przez siebie broń.

W innych parafiach wręczono księżom instrukcje.

Tyle zrobiono w powiecie oszmiańskim; w samem Oszmia-

nie tracono zupełnie ducha i trwożono się ciągle, że początkowe prace zniweczone zostaną.

Przybycie jednak do Oszmiany powstania smorgońskiego, znacznie upadającego ducha podniosło, nowej mu siły i nadziei nadało.

Okoliczność następująca również pokrzepiła odwagę powstańców oszmiańskich: Rząd moskiewski przesyłał przez Oszmianę 80.000 zł. polskich i pieniądze te dnia 8. kwietnia na poczcie przytrzymane, powiększyły kasę powstańców; był to znaczny zasilek, bo w pierwszym dniu powstania, zabrane z eksacyi skarbowej (kaznaczejstwa) pieniądze, wynosiły zaledwie tysiąc złotych.

Było już w Oszmianie blisko siedmset ludzi uzbrojonych a organizował ich najprzód obywatel . . . , a później oficer dymisywany artylerji polskiej, Wincenty Jaźwiński,

Pomnażało się wśród tych rozmów grono obywateli ciekawych.

Była to sposobność zwrócenia ich uwagi na działania przysze.

Wszyscy wiele obiecywali, można było mieć nadzieję; ale skutek pokazał, że nie wszystkie obietnice były dotrzymane.

Należy tu powiedzieć, że w całym powiecie oszmiańskim powstało czynnie tylko ośmiu obywateli, mających ziemską posiadłość i swoich ludzi.

Tymi obywatelami byli: Przeździecki, Ważyński, Soroka, Wańkowiec, Wituński, Klukowski, Rutkowski i Zienkowiec.

Dostarczyli wprawdzie ludu zbrojnego i drudzy obywatele, lecz sami łączyć się do działania nie mieli śmiałości, spełniali tylko powstańców rozkazy.

Kiedy zebrani obywatele akt konfederacji uznali i podpisali, żądali także, aby Józef Tyszkiewicz podpisał.

Ten odpowiedział, że wówczas podpisze, skoro ujrzy pierwszej podpis Raczkiewicza.

Obadwa te podpisy nastąpiły, i nastąpić musiały, bo zwłoka w takich zdarzeniach, w takiej sprawie, po podpisaniu się już kilkudziesięciu obywateli była niebezpieczną.

Dalsze wahanie się byłoby wystawiło chwiejących się na skutki najnieprzyjemniejsze, najsromotniejsze.

Już była godzina jedenasta, kiedy w nie wielkiej liczbie zaczęto się naradzać nad środkami, jakich użycie mogłoby sprawę powstania coraz dalej w działaniu korzystnym posuwać.

Wspomniano znowu, że emisaryusze z gubernii mińskiej uwiadomili, że skoro Tyszkiewicz będzie na czele powstania Oszmiany, cała gubernia mińska od końca do końca powstanie.

Oto dowód, jak reprezentacya osoby w kraju, gdzie szczególne zamiarów patriotycznych nie mogą dochodzić do wiadomości obywateli, działa wiele na zjednoczenie sił, jak się przyczynia do ich wzrostu i wybuchu.

Osoba posiadająca bogactwa, rozum, poczciwość, stawając na czele jakiego dzieła, w odległych stronach łączy pojedyncze usiłowania nieznanym nawet naczelnikowi, ale dopięcia celu pragnących obywateli.

Proszono więc jeszcze raz Tyszkiewicza, aby przyjął najwyższą władzę, a gdy jej przyjąć nie mógł, jak mówił dla braku znajomości sztuki rządzenia i sztuki wojennej, zaproszono jednomyślnie na wodza siły zbrojnej Karola hrabiego Przeździeckiego, byłego pułkownika wojsk polskich, a do zarządu spraw cywilno-wojskowych utworzono komitet, złożony z Ważyńskiego, Soroki i Wańkowieza.

Tu się zaczyna epoka postępu powstania.

Dnia 12. kwietnia ledwie dzień zaświtał, odjechał Tyszkiewicz do ojca.

Czynny Przeździecki kazał natychmiast wojsku stanąć pod broń i licząc na spodziewane zawsze przybycie nakazanych parafiom ludzi, taki wojska powiatu oszmiańskiego uczynił podział:

1. Pułk strzelców pieszych pod dowództwem Vietinghoffa;
2. Pułk piechoty pod dowództwem Tyszkiewicza;
3. Pułk jazdy strzelców, nazwany Ważyńskiego;
4. Pułk jazdy ułanów, nazwany Przeździeckiego;
5. Pułk jazdy desperatów Zienkowieza.

Pułki piechoty miały się składać z pięciu kompanij, a w każdej miało być trzysta ludzi.

Pułki jazdy miały zawierać po pięć szwadronów, a każdy szwadron miał obejmować sto ludzi.

Do pułku strzelców pieszych z powodu nieobecności pułkownika, naznaczono majora, pięciu kapitanów, pięciu podporuczników. Formowanie pułku drugiego piechoty zostawiono jego pułkownikowi po zapełnieniu pułku strzelców pieszych.

Do pułku strzelców konnych pod dowództwem Ważyńskiego przeznaczono dwóch kapitanów i czterech podporuczników.

Do pułku ułanów przeznaczono kapitanem Szwykowskiego, który także otrzymał rozkaz być organizatorem, instruktorem i dowódcą pułku. Dodano mu czterech poruczników.

Mianowany na dowódcę pułku desperatów, Zienkiewicz nie chciał przyjąć wyższej, jak podoficera rangi; ale wódz wystawił mu, że przez żaden sposób podoficer dowódcą pułku być nie może i że ten obowiązek przynajmniej kapitan sprawować powinien; mianował go zatem kapitanem i dodał mu dwóch poruczników Kajetana Lenartowicza i Michała Chodźkę,

Na szefa sztabu powstania oszmiańskiego wezwał Przeździecki byłego oficera artylerji konnej polskiej Wincentego Jaźwińskiego, adjunktem sztabu mianował Ignacego Klukowskiego. Przybrał także dwóch adjutantów, kasyera, komisyonera i przeznaczył osoby do władz porządkowych.

Pułk strzelców pieszych, pułki jazdy Ważyńskiego i Przeździeckiego, formowane były z przybywającego ludu; pułk desperatów tworzył się tylko z ochotników dworskich i rzemieślników oraz akademików i młodzieży obywatelskiej.

Zaraz na początku tej organizacyi przeznaczony do pułku Ważyńskiego na porucznika Buttler, oświadczył chęć służenia raczej prostym żołnierzem w pułku desperatów; było to wsparcie upomnienia, danego Ważyńskiemu nieco pierwej.

Wnet potem kilku przybyłych z Wilna akademików, którychby przyjęto z łatwością na oficerów do innych pułków, poszło za jego przykładem i weszło do pułku desperatów na prostych żołnierzy.

Miał Zienkiewicz przyprowadzone z domu konie, rozdał je

akademikom i niektórych w broń opatrzył, bo inni własną swoją mieli.

W liczbie tych akademików między innymi byli Jakób Puzinowski, K . . . i Ignacy Kuczyński, o których działaniach w swoim miejscu się powie. Tegoż samego dnia przybył z Wilna Edward Mokrzecki, miał on wtenczas zaledwie lat szesnaście.

Młodzieniec ten, rozpatrzywszy się w pułkach, oświadczył Zienkiewiczowi chęć policzenia się do desperatów, a gdy mu Zienkiewicz przekładał trudne na jego wiek warunki, pod jakimi do pułku przyjmuje, kiedy mu powiedział, że zostający desperatem ani żądać pardonu, ani żywy oddać się w niewolę nigdy nie powinien, tem bardziej młodzian ten należeć do desperatów zapragnął i aby go Zienkiewicz przyjął nalegał.

Opowiedział Zienkiewicz Przeździeckiemu piękne Mokrzeckiego chęci nadmienając, że dla powstańca tak młodego lżejszą byłaby służba przy boku generała.

Przeździecki mianował go natychmiast swoim adiutantem.

Wkrótce dano znać Przeździeckiemu, że Wilamowski na stacyę weronowską napadł, konie zabrał i przyprowadził.

Przeździecki poszedł oglądać tę zdobycz i podział nastąpił taki: 10 koni do pułku Ważyńskiego, 12 do pułku Przeździeckiego i 8 do desperatów.

Każdy z dowódców myślał o ubraniu przyzwoitem swego pułku; każdy więc starał się aby robota, mundurów szła prędko.

Sukna zabranego w pierwszym dniu powstania było dosyć, krawców wiele, ale roboty jeszcze więcej, ztąd wynikała wielka trudność nagłego umundurowania wojska.

Cóżkolwiek bądź wykonywało się wszystko ze znacznym pospiechem.

Rada wojskowa, do której Przeździecki zawsze wzywał Jaźwińskiego, Ważyńskiego i Zienkiewicza uznała potrzebę rozszerzyć powstanie, przedewszystkiem zaś w Wilejce i Święcanach.

Wybór osób, którym to powierzone być miało zostawiła generałowi.

Z wysłaniem oddziału powstańców do Nowogródka, dla tego się wstrzymano, że Ważyński zapewnił, iż tam już pojechał w tym celu Eustachy Januszkiewicz.

Przeździecki postanowił zatem wysłać do Wilejki pluton jazdy z pułku jego nazwiska, dowodzony przez Jurkowskiego z dodanymi mu do urzędzenia powstania polecenie mającymi Michałem Chodźką i Ignacym Odachowskim.

Nie miał pierwaj czasu Zienkiewicz pomówić szczegółowie z przybyłym Chodźką, bo ciągle z generałem zatrudnienia, chwilową tylko zawsze czyniły rozmowę.

W tej chwili, kiedy Chodźko polecenie to otrzymywał, nastęrczyła się Zienkiewiczowi sposobność do dłuższego z nim mówienia.

Po tak długim niewidzeniu się przypomnieli sobie obadwa stosunki przyjacielskie w Wilnie i z radością widzieli się znowu zbliżonych w pracowaniu do jednego ojczystego celu. Miał być zamiar Michał Chodźko zostawić w Oszmianie brata swego Stanisława, z którym przybył, a sam udać się do Wilna, ale zobaczenie się z Zienkiewiczem przypomniło mu dawniejsze stosunki i umyślił także w Oszmianie pozostać, zapisując się z bratem do Desperatów.

Teraz nastęrczała mu się czynność odpowiednia, powołaniu Desperata i nie wahał się jej przyjąć.

Wyprawę do Wilejki uważał za największą w życiu przyjemność.

Żądał tylko munduru desperata a gdy mu go zrobiono, zostawiwszy brata w Oszmianie. z Odachowskim i 25 ułanami do Wilejki pospieszył.

Okolo godziny 3 po południu przysłał Jankowski Konstanty raport o zbliżaniu się swojem z oddziałem jazdy Smorgońskiej.

Szzykowski jako organizator tej jazdy, powinien był ją do Oszmiany wprowadzać, ale słabość nie pozwoliła mu dnia tego wsiąść na konia.

Wyjechał więc Zienkowiec na spotkanie jazdy smorgońskiej i on też przedstawiał ją generałowi. Było jej 48 koni.

Jazda z pułku Przeździeckiego była wtenczas wysłana na patrolę, a piechota zajęta była mustrą, a zatem tylko pułk Ważyńskiego i zawiązek Desperatów wystąpiły na przyjęcie braci Smorgońskich.

Ważyńskiego pułk liczył dwa niekompletne szwadrony pod dowództwem Jankowskiego Wacława i Stelnickiego Desperatów zaś było 26 kompletnie umontowanych.

Na sesji wieczornej dnia tego postanowiono wysłać we dwa miejsca emisaryuszów, z powodu otrzymanych wiadomości o zbliżaniu się wojska rosyjskiego od Widz i od Drui, a dla zrobienia powstania w Święcanach postanowiono wysłać sekretnie Wincentego Jakubowskiego.

Wszystko to dopełnione zostało dnia 19. kwietnia; tegoż dnia wyjechał i Chodźko z Odachowskim do Wilejki.

Przybywało dnia tego z parafi tyle ludu zbrojnego, że nie było można zdążyć zapisywać ludzi do kontroli.

Zajmowano się tem od rana do wieczora. Od rana także do wieczora trwające mustry przekształcały lud wieśniaczy na żołnierzy.

W tem przybył emisaryusz Michałowski od powstańców wileńskiego powiatu i doniósł, że Bilewicz stanął na ich czele.

Potwierdził on także pierwaj już otrzymaną wiadomość o potyczce Łabanowskiego z generałem Bezobrazowem, o nieroztropnym postępku Łabanowskiego, który wziętego do niewoli generała uwolnił, za co niewdzięcznik Łabanowskiego okuć i do Wilna zawieść kazał.

Uwiadomił nakoniec, że Bilewicz z garstką powstańców, generała tego pod samo Wilno ścigał, 87 ludzi mu zabił, a sam jednego tylko stracił człowieka.

Przybywający z Wilna akademicy zapewniali, że naówczas wielki był postrach w Wilnie pomiędzy Moskalami, że ścigani, jeszcze w Wilnie przez most Zielony uciekając, krzyczeli:

— Polacy idą i biją!

Wspomniany emisaryusz miał także wiadomość z Tork od generała Ogińskiego o zbliżaniu się do Kalwaryi z wojskiem polskim generała Krukowieckiego.

Te wszystkie wiadomości zgromadzonemu wojsku przez rozkaz dzienny zostały odczytane.

Dnia tego na długiej sesji zastanawiano się nad potrzebą przerwania komunikacji Wilna z Lidą, aby tym sposobem ułatwić w Lidzie powstanie.

Postanowiono więc wysłać Stelnickiego z 50 końmi i 150 ludzi piechoty dla zdjęcia jednej z następnych nocy czterech poczt, utrzymujących komunikację Wilna z Lidą.

Dano więc Stelnickiemu potrzebne na tę wyprawę dla wojska pieniądze, a szef sztabu wygotował dla niego stosowną instrukcyę, poczem Strzelnicki natychmiast wyruszył. Lecz zaledwie dwie mile uszedł, powziął wiadomość o pochodzie Moskalów ku Oszmianie.

Niedaleko więc od Kamienego rogu zбочzył z drogi dla otrzymania pewnych o pochodzie nieprzyjaciela wiadomości.

Było to z rana dnia 14. kwietnia, kiedy dano znać w Oszmianie o zbliżaniu się Moskalów.

Na rozkaz uszykowania się do boju i marszu, bezprzykładnie do ataku, nie widząc nieprzyjaciela, leciało całe wojsko.

Próżno wołał Przeździecki, aby się wstrzymano: Kawalerya ciągle naprzód klusowała i już więcej mili oddalono się od Oszmiany, kiedy obok starej budowli, mocno promieniami słońca oświeconej, wszyscy prawie zdawali się spostrzegać uszykowane kolumny Kozaków, gotowe do odcięcia powstańców konnych, od piechoty daleko dosyć za nimi pozostałej.

Na widok ten kawalerya prędko się zwracając, wnet złączyła się z piechotą i teraz dopiero spostrzeżono, że wzrok jej był tylko złudzony.

Marsz dalszy prowadzono w należytem porządku, a w drodze złączył się także Stelnicki z wojskiem.

O dwie mili od Oszmiany we wsi Kownopolu otrzymał Przeździecki od żydów wiadomość, że Moskale powstańcom tył zająć mają zamiar i z tej przyczyny na czarny trakt przechodzą.

Wskutek tego doniesienia nakazał Przeździecki odwrót, a dla wszelkiego porządku i bezpieczeństwa, o 5 wiorst od Oszmiany w Ukropiszkach, dwie kompanie w lasku na górze przed mostem zostawił, sam zaś ze wszystkimi siłami cofnął się ku Oszmianie i wojsko tak uszykowało, iżby do przyjęcia boju było gotowe.

Lecz po północy dnia 15. kwietnia otrzymał od naocznego świadka na piśmie wiadomość, że zbliżając się do Oszmiany siły moskiewskie składają się z 500 Kozaków i Czerkiesów, z pięciu batalionów piechoty i sześciu dział.

Powstańcy mieli około 2500 ludzi, pomiędzy którymi było 150 Ważyńskiego, 100 Przeździeckiego i 38 Zienkowieza konnych, posiadali także dwie armatki, ale mieli najgorszą do obrony w Oszmianie pozycję.

O godzinie drugiej po północy Przeździecki kazał wojsku wyjść z Oszmiany na drogę do Żupran i sam z kilku oficerami naprzód się udał, a za nim pojechał i kasyer.

Szef sztabu rozkazał wywożenie z Oszmiany amunicji i potrzeb wojennych, zostawiając dla uskutecznienia tego, kompanię piechoty i 40 ludzi konnych, sam zaś z częścią wojska wyruszył ku karczmi Krakówki, gdzie miał czekać reszty wojska.

Już dwie kompanie, zostawione pod Ukropiszkami, wskutek rozkazu minęły Oszmianę i zbliżyły się do jednego punktu, kiedy Zienkowiec ze swoim oddziałem jazdy i piechoty z miasta wychodził.

Było to po godzinie 6 z rana; zwolna maszerując, spodziewał się zostawić za sobą w nie wielkiej odległości, zatrzymaną w Oszmianie, jak mówiono dla wywożenia sprzętów wojennych, eskortę.

Kiedy przy Krakówce, wojsko bez Przeździeckiego odpoczywało, przybył Zienkowiec ze swoim oddziałem.

Szef sztabu zdziwił się widząc go, gdyż woła było Przeździeckiego, aby oddział desperatów awangardę odwrotu, a tym sposobem. jakoby świętę wodza stanowił.

Odpowiedział dowódca desperatów, że po otrzymaniu podobnym rozkazie, prosił jenerała o pozwolenie zabrania wszy-

stkich do jego oddziału należących sprzętów wojskowych i żywności, a nim to uskutecznił, już wojska nie było i tym sposobem oddział jego zamienił się w aryergardę.

Ze swojej strony przełożył Zienkowiec szefowi sztabu dogodność trzymania się w obranej przy Krakówce pozycji, na co szef sztabu zdawał się zezwalać.

Kiedy w dalszej rozmowie o sprzętach wojskowych, w Oszmianie pozostałych, mówiono, pokazało się, że i amunicję wywieść zapomniano.

Wysłano natychmiast pięciu ludzi z rozkazem przywiezienia jej, a tym czasem około godziny 8 złożono radę wojenną, która była tym potrzebniejszą, że wódz trocha prędko i za daleko od wojska odjechał.

Rada ta postanowiła zdążyć za wodzem do Żupran.

Ale zaledwie połowę tego pochodu zrobiono, huk dział zapowiadał wkroczenie Moskalów do Oszmiany.

Nie było widać ani amunicji, ani eskorty, a coraz większy huk dział napełniał powietrze.

I natura ma swoje prawa; nie dziw więc, że z całego wojska, które po raz pierwszy bliskie było boju, na odgłos dział, kilku młodzieńców od braci swoich się odłączyło.

Naliczono 78 wystrzałów, przy odgłosie których wojsko coraz spieszniej ku Żupranom maszerowało.

Za przybyciem do Żupran już tam Przeździeckiego nie było, już był dalej.

Zboczono więc z drogi na prawo i po zrzuconiu za sobą mostów, co oddział piechoty nadzwyczaj spiesznie zrobił, zatrzymano się w lesie dla zrobienia stanowczej narady.

Pięciu ludzi wysłanych po amunicję, połączyło się w tym pochodzie z wojskiem, nie doszedłszy już Oszmiany.

Podług doniesień tych ludzi, Strzelnicki w brew rozkazom miał się w Oszmianie zbyt długo zabawić i tylko z sukmem i częścią sprzętów wojskowych był w drodze dla połączenia się z wojskiem.

Strudzone spiesznym marszem wojsko, pokładło się w lesie się na ziemię i chłodziło się, całami garściami śnieg polykając.

Tymczasem zebrani dowódcy bez wodza i Ważyńskiego

tylko z szefem sztabu zrobili naradę i wkrótce usłuchano zdania B który radził iść do Wiszniewa, dokąd sam podjął się być wojska przewodnikiem.

Szef sztabu wydał zaraz rozkaz do marszu, ale nim zmorowane wojsko z miejsc się ruszyło, już przewodnik, drózkami spieszenie idąc, z szefem sztabu, K S i Z nadto pręko stracili z oczu wojsko, a później nadzieję nawet jego widzenia.

Po ich zniknięciu, na głos Zienkowicza, ruszyło wojsko w kierunku, w którym i ci przewodnicy ruszyli, ale gdy w końcu żadnej drożyny nie było widać, nawet ślad ich stracono.

Podporucznik C . . . z pułku Ważyńskiego i B . . . z oddziału desperatów, zachęcali wojsko do zrzucenia dowódców, którzy się oddalili i udania się w inną zupełnie stronę.

Wśród takich głośno powtarzanych zachęcań, zatrzymało się biedne wojsko niepewne, w którą ma iść stronę; wyniknęły ztąd spory, które się do dwóch godzin przedłużały i rozstrajały odwagę wojska.

Chcąc im Zienkowicz koniec położyć, zachęcał do jednomyślności i przedstawiał obowiązek udania się do Wiszniewa, jako punktu przez radę oznaczonego i w ostatku, z zdobytymi pistoletami, zwracając mowę do słów B . . . , zawołał:

— Jeśli jeszcze dłużej wojsko bałamucić macie, strzelcie mi raczej w łeb, albo przysięgam, że jeśli jeszcze słowo podobne usłyszę, ja wam w łeb wypalę.

Zagrożenie takie ostatecznym środkiem, położyły koniec sporom.

Lecz nie były one bez znacznej straty: Przeszło 300 oficerów i żołnierzy opuściło pojedynczo szeregi i adjutant Przędzieckiego . . . widząc taką niezgodę, broń swoją Zienkowiczowi w darze dla wojska złożył, przyrzekając poświęcenie się, jak tylko do tego pomysłniejszą znajdzie porę.

Przebrany odszedł szukać schronienia.

Kiedy to się działo, dały się słyszeć głosy:

— Pójdziemy za Zienkowiczem; niech nas sam prowadzi!

Dał Zienkowicz rozkaz do marszu i sam jechał na czele,

nie wiedząc drogi, znając tylko położenie Wiszniewa; szło za nim całe wojsko, lecz nigdzie B . . . i tych, których poprowadził, nie było.

Nigdzie też w marszu o nich się nie dowiedziano.

Po przejściu przez dwa zaścianki, nawet nadzieję złączenia się z niemi stracono.

Wojsko było strudzone, od nocy nie jadło, trzeba było spocząć.

Uczyniono to obok zaścianka z trzech chat złożonego.

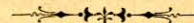
Kompanie i szwadrony zajęły przeznaczone sobie miejsca, a furgon Zienkowicza dostarczył żywności.

W chatach zakupiono także chleb i kartofle.

Z nowego obliczenia pokazało się, że było jeszcze 1682 żołnierzy.

Podczas kiedy Zienkowicz potrzebami wojska był zajęty, ogłoszono go wodzem tych powstańców, a on nie znając wojskowości, najboleśniej czuć zaczął, swoje i wojska swego położenie. . . .

(Na tem kończy się pamiętnik ś. p. Józefa Zienkowicza. Ciężka choroba i przedwczesny zgon w emigracyi, nie pozwoliły mu dokończyć opisu dalszych działań powstańców oszmiańskich, a przynajmniej znaleźliśmy go niedokończony w powierzonych nam jego papierach.)



PAMIĘTNIKI

F. . . . S. . . .

Pamiętniki niniejsze zaczęte od roku 1808 kontynuowane będą aż po koniec roku 1844.



PAMIĘTNIKI

F..... S.....

Pamiętniki niniejsze zaczęte od r. 1808 kontynuowane będą aż po koniec r. 1844.

ROZDZIAŁ I.

Urodziłem się pod panowaniem austriackim w Galicyi zachodniej.

Ojciec mój był adwokatem sądu apelacyjnego krakowskiego, utrzymywał sprawy książąt Sapiehów, Sanguszków i licznych hrabiów a szczególnie hrabi Antoniego Ledóchowskiego dziedzica Klimontowa i szambelana Jego Cesarsko-Apostolskiej Mości.

Nie miano wówczas myśli, nie miano żadnej nadziei, o przywróceniu Polski; przekształcano nas na Niemców, a w celu zrobienia kariery szlachta starała się nadskakiwać dworowi austriackiemu.

Hrabia Antoni Ledóchowski miał wielką wziętość u cesarza i był nawet w łaskach, w skutek czego umieścił synowca

swego Ledóchowskiego dzisiaj posła Jędrzejowskiego w Tere-
sianum w Wiedniu.

Była to szkoła politechniczna austriacka.

Aby być do niej przyjętym, trzeba było przejść przez
s z t i f t, szkołę kadetów, w Sandomierzu.

Ojciec mój chcąc zapewnić mi karierę, za protekcją
hrabiego Ledóchowskiego, otrzymał dla mnie pozwolenie umie-
szczenia w s z t i f c i e.

Przygotowywany do przyjęcia, w szkołach normalnych
w Sandomierzu, umieszczony na stancyi u profesora Niemca,
bywałem ledwie raz w miesiąc w domu, zapomniałem mowy
rodzinnej i nawet z matką i ojcem trudno mi się było roz-
mówić.

Sztyft umieszczony był w gmachu Pojezuickim.

Liczono w nim 500 synów wojskowych zasłużonych i kilku
synów obywateli polskich.

Kapitan wojsk austriackich, a może i wyższego stopnia
oficer, którego nazywaliśmy H e r r H a u p t m a n n, był na-
czelnikiem, kilku Niemców było w nim profesorami, a kilku
nastu unteroficerów dozorcami.

Po polsku ani po węgiersku nie wolno było mówić ani
słowa pod karą kija; (była w nim połowa uczniów z narodu
węgierskiego) a więc już zniemczony formowałem się na
Niemca.

Żywiono nas chlebem komiśnym (razowym) wasser- lub
kimel-supą, kaszą jęczmienną lub tatarczaną, grochem, bobem,
kartoflami, kapustą; trzy razy w tydzień dawano nam $\frac{1}{4}$ funta
mięsa, a w uroczystości cesarskie i w wielkie święta po bułce
pszennej za krajcar.

Ubiór nasz składał się z fraka niebieskiego, spodni ta-
kichże, opiętych wyszywanych żółtymi sznurkami, ciżmów wę-
gierskich sznurowanych i kapelusza trójrogatego, jaki noszą
księża francuzcy.

Starsi nosili pałasz na czarnej przepasce i kij czyli trzcini-
kę jako oznakę honoru.

Łóżka drewniane czyli tapczany, siennikiem wypchanym,

poduszką z siana, prześcieradłem i kołdrą wełnianą służyły
do sypiania, po dwóch na jednym.

Trzeba było wstawać w lecie o czwartej rano, a w zimie
o piątej na rozkaz psiej skóry, a w pięć minut po obębnienu
dozorca rewidowali sale i leniwszych trzcinią do obowiązku
nakłaniali.

Na korytarzach zimnych każdy sobie czyścił suknie i
trzewiki, mył się, czesał łeb ostrzyżony krótko, obrzynał pa-
znokcie i ubierał się, na co kwadrans był przeznaczony.

Potem na rozkaz bębna stawano w szereg; kapitan lub
profesor robił przegląd, a nie dopełniający obowiązku pilnie,
skazany na pięć, dziesięć lub piętnaście kijów w plecy, otrzy-
mywał karę natychmiast; nie wolno było płakać i stać trzeba
było spokojnie z założonemi na krzyż rękami, gdy dozorca
wyliczał razy na plecy; w razie przeciwnym zwiększano karę,
zamykano w ławce i 25 po cesarsku na tyłek wyliczano.

Nauki były: język niemiecki, arytmetyka, historia i jeo-
grafia, mniej pilni otrzymywali napomnienie kijmi, a starsi za
niezdatnych uznani, odesłani byli do regimentów w kaprale,
unteroficery, a czasem feldfebla.

Jeżeli który wodą zlał łóżko, słomę wyrzucano z siennika
i okrywano płótnem winowajcę i tak na spacer przez miasto
prowadzono, lub w czasie rekreacyi stać kazano.

Jeżeli między dwoma winowajcę trudno było rozróżnić,
obydwa solidarnie karze ulegali, lub lepiej uczący się, choć
winny na drugiego winę zwał.

Rodzicom nie wolno było brać dzieci do domu, a odwie-
dzający mogli je widzieć w stancyi kapitana.

Tam prezentowano się militarnie, a na rozkaz jego poca-
łowano w rękę ojca lub matkę, ci nawzajem pocałowali i bez
żadnej rozmowy wyjść trzeba było; czasem kieliszek wina i
biszkokt osładzał te odwiedziny. *)

*) Tu dodać muszę, że kiedy puszczano przez różgi dezertarów lub
ich rozstrzelano, nasz Sztift musiał być obecny egzekucyji i za szeregiem
żołnierzy tak byliśmy rozstawieni, abyśmy takową dokładnie widzieć mogli,
poczem jak w uroczystości dawano nam po bułce pszennej.

Przy końcu r. 1808 przybyli inżynierowie austriacycy w celu fortyfikowania Sandomierza.

Kapitan Hilf im przewodził, a między nimi był Męciszewski później, generał wojsk polskich, zabity 29. listopada 1830.

Jednocześnie ojciec mój otrzymał zapytanie z gubernium: Czyli życzy sobie, aby syn jego pozostał w sztyfcie, który przeniesiony zostaje do Budy w Węgrzech, lub go chce odebrać?

Ojciec mój przełożył ostatnie i ja wróciłem do domu, pozbywszy się tytułu ciarapary austriackiego.

Kolegów moich więcej nad lat 15 mających wcielono do regimentu. Dawidowicza a resztę na fury węgierskie pokryte płótnem, jak cieleta we Francyi, wypakowano i do Budy wywieziono.

Gmach sztyftu zajęty został na kancelaryą inżynieryi, komisaryata wojskowe, skład magazynów i lazaret; zaczęto fortyfikować Sandomierz, brakujące mury obwodu miasta zastąpiono grubemi i wysokimi palisadami z drzewa, pokopano podwójne rowy, usypano szańce na wzgórzach miasto otaczających, zrzucono przeszło sto domów ispiczry na przedmieściach, a właściciele wynagrodzono bonami do dziś dnia nie zapłaconemi; mnie zaś ojciec oddał do szkoły normalnej i z przyczyną że mój znał doskonale język niemiecki, mając tylko lat ośm przyjęty zostałem do trzeciej klasy.

Na początku 1809. roku, arcyksiążę Ferdynand d'Est, przybył do Sandomierza w celu obejrzenia prac fortyfikacyjnych; zwiedził także i szkoły, ja miałem do niego szuwną mowę napisaną przez mego profesora, mówiłem ją śmiało, był ze mnie kontent, zapytał o nazwisko, a gdy mu odpowiedziano że Polak, uszczypnął mnie w policzek i powiedział: *E s i s e c h t e r K n a b e.*

Był to człowiek wysoki, pięknej postawy, czarno zarastał, młody i bardzo przyjemny; nadto że był pobożny, przekonałem się z tego, że gdy go kapituła kolegiaty przyjęła w kościele, nie przyjął przygotowanego dla miejsca i skromnie klęcząc na gradusach marmurowych wielkiego ołtarza, mszy słuchał.

Rozdał wiele jałmużny, szczególnie biednym mieszkańcom, których zubożono zabranieniem gruntów i zburzeniem domów na fortyfikacye.

Słyszałem rozmawiających o nim oficerów austriackich w domu ojca mego; dając o nim swoją opinię, tak się wyrażali: *Er sollte ein Priester lieber sein als ein Heldmann.* (Raczej byłby księdzem niż rycerzem.)

Z wiosną 1809 r. rozeszła się pogłoska, że wojna z Polakami w księstwie warszawskiem, spędzono do 10.000 włościan do dokończenia fortyfikacyi, zwożono beczkami suchary, piekarnie wojskowe dostarczały ich mnóstwo, założono po kościołach magazyny pekelflejszu, mąki, wódki, oliwy, octu i t. p. oraz amunicyi, przywieziono naprzód działa przeznaczone do Zamościa, a między nimi dwa egromne moździerze; pamiętam, w nich siedząc, wygodnieśmy się bawili, bo stały kilka dni na placu przed naszym domem.

Wkrótce potem przywieziono 48 dział wałowych, i te rozstawiono na szańcach; przybyła i artylerya.

Regiment Dawidowicza wyszedł ku Radomiowi, a do Sandomierza przybyło kilka batalionów rekrutów Polaków, dwie kompanie Kroatów i dwa szwadrony huzarów węgierskich, i to stauowiło załogę twierdzy pod dowództwem generała Jaegermanna.

Przybył w ów czas do Sandomierza z krakowskiego ze wsi Słupowa Franciszek Dmochowski, przyjaciel ojca mego a wuj Męciszewskiego unterlieutnanta inżynierów austriackich; byłem raz przytomny rozmowie ich kiedy pan Dmochowski mówiąc o wieściach, że wojna się rozpoczyna z Polakami rzekł do Męciszewskiego;

— Słuchaj panie poruczniku; to są bracia twoi, to są Polacy, powinien byś pamiętać, żeś edukacją pobierał w korpusie kadetów kosztem rzeczywoskolitej polskiej, na co tenże odpowiedział:

— To jest garstka rabusiów, a nie Polacy, nie masz Polski, i nie znam innego pana tylko Najjaśniejszego cesarza niemieckiego; dodał potem:

— Gdybym wiedział, że jedna kropla krwi polskiej w żyłę której płynie, kazałbym ją sobie wypruć.

Czas późniejszy okazał, że rabusiom służył, ale i to prawda, że ani kropli krwi polskiej nie miał.

Wprzód zniemczony, potem się zmoskalił; nie służył ojczyźnie tylko interesowi własnemu,

W miesiącu kwietniu r. 1809, magistrat miasta Sandomierza z rozkazu komendanta twierdzy ogłosił: aby się mieszkańcy na trzy miesiące w żywność zaopatrzyli, ci zaś którzy nie chcą pozostać otrzymują paszport; nakoniec, aby nocy następującej od godziny 6 wieczór do 8 rano nikt nie ważył się z domu wychodzić pod jakim bądź pozorem, ani oknem parzyć, ani mieć światła od ulicy, a drzwi i okienice mają być pozamykane. Przekraczający przez warty będą skarzeni kulami,

O czwartej porozstawiano warty co dziesięć kroków na ulicach i w rynku i kazano im broń nabijać, aby mieszkańcy widzieli.

Jaki był powód tych ostrożności, poniżej wykażę, tu tylko nadmienię, że dom mego ojca jest przy drodze od Wisły prowadzącej, i całą noc słyszeliśmy ziemię jęczącą pod ciężarem bryk, które pod oknami przechodziły.

Nim przystąpię do dalszych wypadków wojennych, uważam za potrzebne dać krótki rys historii miasta Sandomierza jako nieodzownej do ich zrozumienia.

Miasto to znane w historii za Leszka Białego, który był jego księżciem, musiało być znaczne w czasie napadu Tatarów za Bolesława Wstydlwego, kiedy w zamku królewskim Krępa starosta sandomierski zamknął się z 15.000 obrońców i stawiał opór hordom najezdniczym.

Męstwo jego wstrzymało potok barbarzyńców przez czas długi i nie sztuka wojenna, ale zdrada hana posiadała zamek, gdzie wszystkich w pień wycięto.

Przekonać się można z opisów ówczesnych, że kościół księży Dominikanów fundowany przez Adelajdę siostrę Kazimierza sprawiedliwego dziś na przedmieściu za zamkiem położony, w którym znajduje się grobowiec tej księżny, musiał być w obrębie zamku, kiedy Tatarzy z mordowani rzezią całodzienną,

wyprawę na zakonników do naza utrzą odłożyli i tychże w liczbie 40 wraz z Sadokiem ich przełożonym w czasie rannych pacierzy, śpiewających *Salve Regina* wycięli *)

*) Zakonnicy ci w poczet błogosławionych są policzeni i niejako są patronami miasta. Czytałem i miałem w mojem posiadaniu protokół przygotowawczy do ich kanonizacji bardzo ciekawy, spisany przez delegacyę od św. Ojca zesłaną za panowania Jana Kazimierza. Co pamiętam o cudach tym męczennikom przyznawanych pokrótce przytoczę.

Pierwszy świadek był stajenny królowej żony Władysława IV., który tak zeznawał:

— Kiedym jechał od królowej Jejmości do jej siostry królowej węgierskiej z listami bardzo pilnymi, przejeżdżając przez miasto Sandomierz z rynku do zamku około kościoła ojców Dominikanów, ujrzałem światło w kościele i usłyszałem śpiew licznych zakonników, a światło było tak wielkie, że mi się zdawało, jakoby kościół gorzał.

Obudziłem piekarza mieszkającego naprzeciw kościoła, bo to było około drugiej po północy i on je widział także, ale wkrótce zgasło i nabożeństwo ustało, a że było tylko trzech zakonników w klasztorze, nie kto inny tylko 40 męczenników ma tu linas odprawiali.

Drugi świadek zeznawał:

— Służyłem za pastuszką u pani Gembickiej w Kobiernikach, zle duchy opanowały cały folwark. Pani nasza dała na mszę do św. Męczenników, po której odprawionej, ks. przeor z ks. kaznodzieją przybyli na folwark i eksecerowali, poczem w powietrzu wielki szum i wicher powstał i słychać było głosy przeraźliwe: Ci to męczennicy ztąd nas wypędzili.

Pani Gembicka kazała mi odwiedzić ojców do klasztoru kolasą, jechałem rzeško a przybywszy na podwórze spostrzegłem, że tylko przyjechałem z przednią, bo kolasy nie było.

W ten moment braciszek ze mną wrócił w trop i z wielkim naszym podziwem ujrzeliśmy kolasę nad brzegiem przepaści i ojców spokojnie śpiących, sworznią nie mogliśmy znaleźć, bo go bies porwał a więc ojców obudzono, udali się do klasztoru, a ja kolasę narządziwszy wróciłem do domu.

— *No t a n d u m*: Ojcowie nie byli pijani, bo skromny tylko obiad zjedli u pani Gembickiej.

Trzeci świadek szafarczyk zakonny tak zeznawał:

— Po zdobyciu i wysadzeniu zamku przez Szwedów, komendant zajął klasztor ojców Dominikanów i sam stanął w celi prowincyańskiej, z której okno jest do kościoła; w nocy jasno się zrobiło w celi i usłyszał śpiewanie, wyjrzał oknem, świece były pozapalane na ołtarzu i ułeczył 49 zakonników w chórze.

O ćwierć mili od murów dzisiejszego miasta leży kościół św. Pawła parafialny dla przedmieść, dawniej miał być w rynku samego miasta.

Niedaleko od niego są rury, któremi wodę sprowadzono, a w polach często wyorują pieniądze a nawet fundamenta i sklepienia. **)

Że zaś w klasztorze było tylko pięciu, rano przywołał przeora i zapytał gdzie resztę mnichów przechowuje? Przeor zaklął się, że niema ich więcej jak pięciu a gdy oficer opowiedział widzenie przeor nawzajem historią męczehstwa św. zakonników, tak został komendant tem przerażony, że z komendą natychmiast klasztor opuścił i niekazał żadnej krzywdy robić ani w klasztorze, ani we wsiach do ojców należących.

Czwarty świadek przedmieszczanin ze Strachocic tak zeznawał:

— Ojciec mój powiadał, że raz wyjechałszy w pole orać o godzinie dziewiątej, usłyszał dzwonięcie na zwykłą wotywę w kościele OO. Dominikanów przed ołtarzem św. Męczenników, zostawiwszy woły poszedł na nią a za powrotem ujrzał, że woły ryły litery rogami na górze, doniósł o tem Ojcom, którzy przyszli obejrzeć to, ale jakież cud ujrzeli: Oto woły wyrzyły na górze te wyrazy:

— Salve Regina.

Ojcowie przyszli z procesyą i poświęcili górę, którą im mój ojciec odstąpił.

Autor niniejszego pamiętnika widział naocznie to wyrzycie, którego ani zmiany czasu, ani dawność nie zatarły, a duchowieństwo i mieszkańcy Sandomierza co rok w oktawie święta Niepokalanego Poczęcia Panny Maryi (8. grudnia) odbywają z miasta uroczystą procesyą na tę górę śpiewając psalm Salve Regina.

Inni świadkowie przyznawali cudowne uzdrowienia i t. p. Proces się skończył, ale dla braku funduszów kanonizacya nie nastąpiła, tylko beatyfikacya i święto ich kościół polski obchodzi dnia 10. marca.

**) Kościół ten pokryty jest miedzią, ciekawy szczegół tego wypadku. Niejaki Jackowski szlachcic polski za rządu austriackiego prowadził obszerny handel pszenicy i był bogaty, a żyjąc w przyjaźni z księdzem Jasińskim proboszczem kościoła św. Pawła dał mu w depozyt 5.000 cz. zł.; przez lat kilka nie upominał się o takowy a ks. Jasiński użył tych pieniędzy na pokrycie kościoła, nareszcie Jackowski potrzebując pieniędzy przychodzi do ks. Proboszcza, zaczyna się rozmowa i parę flaszek wina ją ubarwia, wychodzą potem na cmentarz, chodzą rozmawiając, aż nareszcie Jackowski zapytuje:

To wszystko dowodzi, że miasto Sandomierz było znakomite i dzisiejsze miasto było tylko Wawelem krakowskim, w obrębie swym mieszczącym zamek książęcy, kolegiatę fundacyi Kazimierza Sprawiedliwego, kilkanaście domów i kilka kościołów.

W archiwach tego miasta napotykamy przywilej dla niego wydany przez Leszka Czarnego w r. 1260, fundujący czyli re-staurujący miasto na 300 łanach frankońskich z wielkimi przywilejami w nagrodę klęsk wojennych.

Kazimierz Wielki budując wiele miast polskich, odbudował i zamek królewski w Sandomierzu, a struktura jego lubo wiekami i wojnami sponiewierana dziś jeszcze dowodzi i znajomości architektury i gustu połączonego z okazałością, a sama kuchnia przekonywa o obszerności ówczasowego dworu królewskiego.

Kazimierz otoczył cytadelę zamku murem szerokim, z czterema bramami wspaniałej architektury, których krużganki z ciosowego kamienia sztucznie i misternie wyrabiane dowodzą, że już wówczas architektura nie była obcą Polakom.

Ten wielki monarcha przebywał często w Sandomierzu, a dowodem tego jest, że proboszcza z Samborca, do którego należała dziesięcina ze Złoty do dóbr królewskich należącej, w przerębli utopił rozkazał za to, że się upornie o dziesięcinę mu przynależną a przez króla zaprzeczaną, upominał.

Miejsce to dziś nazywa się Zajezierze, a Kazimierz fundacyą szpitala św. Hieronima pod zamkiem, zbrodnię tę odpokutować usiłował.

Tak Kazimierz jako i jego następcy miasto Sandomierz obdarzali licznymi przywilejami i mieszkańcy jego bogacili.

— A gdzie moje pieniądze?

— Nie widzisz ich wpan na kościele — odpowiada proboszcz.

— To wejdźmy.

— A na co się zdało, wszak je waszeć ztąd widziesz.

Domyślił się Jackowski, bo ks. Jasiński był ubogi i dobroczynny tak wielkich wydatków czynić nie mógł i rzekł: Niech będzie na chwałę Panu Bogu a wróciwszy na plebanię przy flaszy wina pakt z proboszczem ułożyli śmiejąc się serdecznie z dowcipu przyjaciela.

Skład wina z Węgier przez Zmigrod, skład śledzi z Gdańska do prowincyi małopolskich był monopoliczny dla jego mieszkańców.

Przywileje miasta tego i jego okazałość okazują się ztąd, że mieszkańcy jego byli bardzo bogaci.

Szperając w aktach jego dotyczących przekonałem się, że miasto Sandomierz rządziło się prawem magdeburskiem, i w administracyi były trzy następujące władze nakształt rzeczypospolitej rzymskiej:

1. *Consules*, czyli rada miejska z wybranym na jej czele i przez nią prezydentem, której sekretarz był *Secretarius natus* Jego królewskiej mości i tego tytułu w aktach urzędowych używał.

2. *Scabini* czyli ławica z naczelnikiem mającym tytuł wójta.

3. *Viri populi*, czyli 23 wybranych z ludu dla jego reprezentowania z naczelnikiem mającym tytuł *Tribunus plebejus*; ostatnim z nich był przy upadku rzeczypospolitej w r. 1794 niejaki Rejtan malarz obrazów kościelnych i nie zły artysta.

Co do sądownictwa mieszczanie należeli pod władzę konsularną, jej wyroki były pisane po łacinie, i apelacya należała do sądów asesorsko-królewskich do Warszawy.

Sprawy między włościanami, lub nimi i mieszczanami, (włościanie bowiem wsi wiejskich nie byli niewolnikami, i tylko do folwarków miejskich odrabiali 7 i pół dni pańszczyzny rocznie z glemięzga roli, to jest siedmiu i pół zagonów od granicy do granicy wioski, prócz tego dawali kury i jaja w dani i obowiązani byli dla ratusza zwozić drzewo na jego potrzebę bezpłatnie i zamiatać miasto, co szarwarkiem od dawna zwano. Mieli domy własne i grunta, ale propinacya była miejska i dochód z młynów, a tę ich pańszczyznę zwano *jus decreti dominii*), apelacyę miały do sądów konsularnych miejskich a powtórną do sądów zadwornych, i w języku polskim odbywało się ich sądownictwo.

Nakoniec plebejusze byli kontrolorami dochodów miejskich, im rada (*Consules*) zdawała roczne rachunki, oni wybierali

osoby konsularne i wójtowskie, a *veto* trybuna było przeważne, i był to naczelnik miasta z jednodniową powagą.

Jak rzekłem wyżej przeglądając akta miasta Sandomierza w r. 1460 za panowania Kazimierza Jagiellończyka znalazłem ciekawy proces, którego tu treść zamieszczam.

Księżę biskup krakowski (Sandomierz należał do jego dycecezyi) nakazał czterdziesto-godzinne nabożeństwo, za powożenie księcia Jana Albrechta na wyprawie przeciw Tatarom.

W czasie odbywania się takowego, mieszczanin Szczuka wyprawił wesele z trąbami i bębnami, napomniany za tę nieprzyzwoitość przez magistrat sandomierski, paszkwil przeciwko urzędnikom miasta (*consulatns*) napisać i na ratuszu przykleić kazał.

Wezwany przed sąd kryminalny przecuwając, co go czeka nie stawił się, i *per contumatiam* był sądzony na wnioski instygatora publicznego. Sąd zastosował do niego *Crimen læsæ majestatis*, powołał się na kodeks Justyniana i *Novelæ* Justyna i asymilując do siebie powagę konsularnych osób w Rzymie, w motywowanym wyroku skazał Szczukę na śmierć a majątek jego na kofiskatę.

W akcie 1480 czytałem że matka Szczuki umierając, testamentem zapisała cały swój majątek księżom Dominikanom, nie wiedząc gdzie się syn jej podział.

Czytałem oprócz tego w tychże aktach, proces przeciwko piwowarowi Czechowi obwinionemu o zabójstwo księdza proboszcza z Chobrzan, na którego miał podejrzenie zazdrości z powodu żony i zabójca na śmierć skazany został.

Inny proces wytoczony został mydlarzowi, który pijany lój topiąc był przyczyną pożaru domu swego i sąsiednich; skazano go na spalenie żywcem, a majątek jego zabrano na odbudowanie wież miejskich zgorzałych z przyczyny tego pożaru.

Kobieta zdybana na uczestnictwie ze psem i przekonana o występku, skazana została na zaszcycie z nim w worze skórzanym i utopienie w Wiśle.

Dwie radczynie, z których jedna drugiej powiedziała wyraz nieprzyzwoity k . . . procesowały się przez lat 10, wyroków

było ze dwadzieścia sprzecznych jedne drugim tak w sądzie radzieckim jako i asesoryi koronnej; śmierć jednej ze stron ukończyła spór ostatecznie nierozstrzygniony.

Ostatni wyrok kary śmierci nastąpił wkrótce po ogłoszeniu konstytucyi trzeciego maja na szlachcica Zambrzyckiego obwinionego o zadanie trucizny w kawie księciu de Daszko Korybutowi Daszkiewiczowi dziedzicowi dóbr Strupice; pierwszy jako szlachcic nie na rynku publicznym, ale w sieni ratuszowej ścięty został.

Miasto Sandomierz miało swojego kata, który miał mieszkanie w bramie opatowskiej, a w kasie miejskiej pokazywano za ciekawość trzy miecze, które służyły jako narzędzie do egzekucyi, a szubienicę sprzedano na publicznej licytacji w r. 1817 z polecenia komisji województwa sandomierskiego. *)

Były i szczególne zwyczaje miejskie.

I tak dziewczyna, skoro uległa słabości, wystawiono ją na szafocie w kaftanie drewnianym i włosy jej kat obcinał.

Jeżeli winowajcy na śmierć skazanemu dziewczyna zaszła drogę i przysięgła że nie naumyślnie, oraz zdeklarowała: że chce być jego żoną, winowajca od kary uwolniony odzyskiwał wolność.

Pomiędzy zaś przywilejami ten był szczególny, że prezydent miasta był szlachcicem i otrzymywał listy królewskie, równie jak rejent miasta był sekretarzem J. K. M.

W mieście szlachta miała kamienice własne z herbami, ztąd między nią a mieszczanami, dworzanami szlachty a sługami miejskimi, kłótnie, bijatyki i zabójstwa, za skutki których szlachta i ich dworzanie odpowiadali przed sądem grodzkim a mieszczanie i sługi przed sądem radzieckim.

Lecz czas wrócić do historii miasta.

*) Miasto Klimontów o trzy mile odległe od Sandomierza miało także jus gladii. Niejaki Kowalski za krzywoprzysięstwo, porubstwo i kradzież także skazany został na śmierć, a że Klimontów nie miało własnej szubienicy, prosiło o pożyczanie takowej i kata prezydenta Sandomierza, który w tych wyrazach odpowiedział:

— My mamy kata i szubienicę dla wygody własnych obywateli.

Królowie dynastyi Jagiellońskiej obdarowywali miasto Sandomierz licznymi przywilejami na prośby deputowanych, których miasto miało prawo wysyłać na asystencyą przy koronacyi monarchów.

Mieszczanie mieli prawo wrębu w lasach królewskich na opał i na budowlę.

Wzrastało przeto miasto i w potęgę się wzbijało tak dalece, że kiedy Zygmunt III. w wojnie ze Szwedami doznał braku rysztyunku wojennego, pisał list z pod Przytyka do magistratu i wiernych poddanych umiłowanego przezeń miasta, aby mu armat i amunicyi z cekauzu swego pożyczili, a po ukończonej wojnie, ponieważ skarb rzeczypospolitej był próżny nie mogąc uiścić się z długu, nadał miasu Sandomierzowi w nagrodę przywilej bicia monety, która kurs miała przymuszony we wszystkich posiadłościach rzeczypospolitej.

Miasto zubożało z przyczyn jak niżej wykażemy, nie mogło korzystać z tego przywileju, ale takowy jako pamiątkę wraz z wyż rzezonym listom królewskim, każdy zwiedzający archiwa miasta oglądać może.

Upadająca rzeczpospolita Polski pociągnęła do upadku miasto Sandomierz.

Mieszczanie poświęciwszy na potrzeby Zygmunta III. amunicye i armaty, nie mieli czem dać odporu napadowi Szwedów za panowania Jana Kazimierza, miasto przez Szadów zostało wzięte, zrabowane i spalone, a obrońcy zamku królewskiego w ostatniej rozpaczey wysadzili połowę jego większą w powietrze, gdzie obrońcy ojczyzny i wrogi grób wspólny znaleźli.

Kiedy w r. 1823 zamek pozostały restaurowano i przerabiano na więzienia, na stóp kilka pod gruzami znajdowano szyszaki, pałasze i chełmy rycerskie, kości trupów i pieniądze srebrne i miedziane z owej epoki.

Rozbiór pierwszy Polski zadał cios okropny miastu Sandomierzowi; połowa województwa sandomierskiego odpadła do Austrii.

Wręb w lasach królewskich na prawym brzegu Wisły położonych ustał, równie jak i największa ilość wiosek własno-

ścią miasta będących, na tymże brzegu położonych tudzież przedmieście Nabrzeże, od miasta odpadły.

W roku 1794 Kozactwo zrabowało Sandomierz i przedmieścia miasta spaliło, a ostatni rozbiór Polski przeniósł go pod panowanie austriackie.

Rząd austriacki miasto Sandomierz przeznaczył na stolicę cyrkulu, ale z powodu, że było na granicy krejsamtu, przeniósł takowy do Radomia i tylko Sąd główny kryminalny pozostawił, zamek monarchów polskich na więzienia przeistoczywszy.



ROZDZIAŁ II.



Nadeszła epoka r. 1809 wyżej wymieniona, do której powracamy.

Magistrat miasta Sandomierza z polecenia rządu austriackiego przy odgłosie bębna ogłaszał zwycięstwo pod Raszynem, wzięcie Warszawy i oblężenie Torunia, aż tu zjawił się nagle korpus polski, zamknięto komunikacje i parlamentarz przybył do generała Jaegermana wzywając go o kapitulację twierdzy. *)

Pierwszy to był oficer polski od lat 15 nie widziany w murach starożytnego miasta, a nim był książę Marcei Lubomirski.

Z zawiązanymi oczyma wprowadzono go przez bramę opatowską i do kwatery generała Jaegermana w kamienicy żyda Tanchona Friedmann wprowadzono, gdzie przedstawił swoje poselstwo, a po odrzuceniu takowego prosił o pozwolenie wypicia kieliszka wina.

Generał austriacki zezwolił na to i z inżynierami austriackimi oraz kilku wyższymi oficerami udał się do handlu win-

*) Autor niniejszych Pamiętników pisząc bez żadnych dokumentów nie umieszcza dat i tylko zasada swe opowiadania na pamięci.

nego Jerzego Saulewicza Dżordży Greka, a tam zastawiono stoł butelkami starego wina węgierskiego.

Książę rozmawiał po polsku z panem Męciszewskim, zapłacił za wino dukatami i z zawiązanymi oczyma odprowadzony do bramy Opatowskiej pożegnał się z nimi uściśnięciem ręki wyrazami: *z um widersehen, do zobaczenia*.

Przypuszczono szturm tego dnia od Zawichosta, książę Lubomirski szedł na czele i nie patrząc czy za nim wojownicy dążą, wpadł na baterią, położoną przy folwarku Zmigród na górze Zawichostką zwanej a do mego ojca należącej, tam zabił kanoniera, chcącego do niego wystrzelić z działa; żołdacy austriacy Polacy nie śmieli strzelać do niego, ale żyd polski w wojsku nieprzyjacielskiem będący strzelił do niego przyłożwszy mu lufę do boku.

Tak zginął kwiat młodzieńczy, nadzieja Polski odradzającej się.

Ale nie został zabity na śmierć i nie skonał jeszcze, kanonierzy austriacy przynieśli go w tryumfie do bramy Zawichostkiej i obdrzeć go usiłowali, tam odzyskał zmysły i obdzierającego go kanoniera zabił i potem ducha oddał Przedwiecznemu.

Nazajutrz przy odgłosie bębnow oprowadzano Żyda rzezonego w tryumfie po mieście i krzyż mu jakiś przypięto.

Następnego dnia 18. maja, zdaje mi się, na prawym brzegu Wisły atakowali Polacy szaniec przedmostowy na nadbrzeżu; tam bój był krwawy, bo załoga jego składała się z samych Kroatów.

Polacy z bagnietem w rękę uderzyli, nieprzyjaciel się cofnął działa swoje uwożąc, ale nie mogąc spieszenie uchodzić działa w Wiśle zatopiono i most na Wiśle spalono.

W parę dni potem generał Sokolnicki przysłał parlamentarza o poddanie się twierdzy, a gdy tego odmówiono, przypuścił szturm o godzinie 8 w wieczór ze strony Opatowa.

W czasie takowego zgorzał kościół św. Wojciecha, gdzie był magazyn siana i klasztor z kościołem OO. Reformatów, lecz twierdza nie została wzięta.

Nazajutrz powtórnie wezwał do poddania się tenże generał dowódcę twierdzy, który uważając niebieskiego ducha w załodze twierdzy, złożonej z rekrutów polskich, (bo Kroaci wyginęli) przyjął kapitulacją pod następującymi warunkami:

— Że załogę opuści miasto z wojskowemi honorami i uwiezie działa wałowe i amunicye wojenne z miasta, ale jeżeli w 48 godzin po opuszczeniu miasta dowódca austriacki nie będzie mógł uwieść takowych, własnymi lub wynajętymi końmi, działa zostaną własnością Polaków i te ani zagwożdżone ani uwożone być nie mogą.

Wojsko Austriackie opuściło twierdzę i wywiozło działa i część amunicyi na krakowskie przedmieście a dowódca austriacki wysłał oficerów po wsiach okolicznych za kupnem lub najmem koni, ale patriotyzm obywatelski odmówił ich dostarczenia i po upływie terminu kapitan od artylerji polskiej Chmielewski wprowadził działa do twierdzy i na baterje je rozlokował.

Kiedy zaś Austriacy wychodzili z miasta w obec uszykowanych szeregów polskich rekruci Polscy z bronią w rękę z szeregów austriackich przeszli w wielkiej liczbie na ich stronę, za którymi Austriacy dali kilka razy ognia.

Z tych to uformowano kilka kompanij i to pomnożyły siły polskie.

Polacy panami twierdzy będąc, wezwali włóścian okolicznych wsi do sypania nowych szańców i umocnienia jej. Ci się licznie zeszli, zwłaszcza, że im rozdawano obfitą żywność z magazynów po Austriakach pozostałą.

Zajęto się natychmiast przenoszeniem amunicyi z kościoła Pojezuickiego św. Piotra, do dawnej prochowni miejskiej zbudowanej pod ziemią, suchej wygodnej i przerabianiem ładunków karabinowych, gdyż Polacy mieli broń kalibru francuzkiego.

W kilka dni przybył generał Pelletier z Zamościa z kapitanem Rudnickim i innymi oficerami artylerji i objął dowództwo artylerji a twierdzą dowodził generał Sokolnicki.

Książę Józef otoczony Guidami zwiedził Sandomierz i obejrzał fortyfikacje.

Z oficerów pamiętam pułkownika Sierakowskiego, podpuł-

kownika Zółtowskiego, pułkownika Kamińskiego z nogą drewnianą, szefa Suchodolskiego i z artylerji poruczników Działkowskiego, Reklewskiego i Radziszewskiego, oraz podpułkownika Bontemps, który ani słowa po polsku nie umiał.

Stali oni na kwaterze u mojego ojca i razem jadal, a na stół dostarczano mięsa i legumin z magazynu, tudzież wyborne suchary.

Major Bogusławski był komendantem placu.

Pamiętam, że kiedy raz bawiono się po południu, nagle wpadł do domu naszego pies kapitana Hilfa, inżyniera Austriackiego, poznała go matka moja i powiedziała: Pan jego musi być niedaleko; w parę dni pokazali się austriacy od strony krakowskiego przedmieścia i atakowali z nie-nacka Polaków kąpiących się w Wisłęce.

Zostali odparci, ale zginął podpułkownik polski Eisenbach.

Austriaków naprowadził parobek ks. proboszcza św. Ducha Janowskiego; przekonany o szpiegostwo został rozstrzelany, mało się i proboszczowi knła nie dostała, ale go tylko uwięziono i w areszcie czekał powrotu Austriaków.

Austriacy ścisnęli twierdzą i atakowali częściowo, wtenczas oficerowie musieli być na bateriach, i tam im jeść noszono.

Mnie także dostał się ten udział i kiedy razu jednego zanosłem obiad generałowi Pelletier, który komenderował baterją za zamkiem, Austriacy nagle go zaatakowali; a generał mnie schronił do prochowni pod baterją, żeby mnie kula nie zabiła.

Drugi raz, gdym nosił jeść porucznikowi Działkowskiemu, który dowodził baterją św. Pawła, zaatakowali go Austriacy od wawozu ze strony żupy solnej i od Opatowa i gdyby nie odsiecz z miasta nadeszła, byłiby wzięli baterją.

Odparci, tak spieszenie uciekali, że opuścili dwie armaty, które powiększyły obronę tej baterji.

Baterja ta była ważna, bo jest w takim położeniu, że z niej a szczególnie z kościoła całą twierdzą jak na stole obejrzeć można i po wzięciu jej, miasto się obronić nie może.

Nareszcie, zdaje mi się w połowie czerwca nastąpił atak główny.

Arcyksiążę Ferdynand miał główną kwaterę w Gozlicach, gdzie gościł u pana hrabi Antoniego Ledóchowskiego.

Austriacy postanowili uderzyć na wszystkie punkta, a z za Wisły działami niepokoili miasto, usiłując zapalić kościół św. Piotra, gdzie był za ich czasów magazyn prochu, a nie wiedzieli że był przeniesiony.

Trzy granaty zapaliły dom, stajnie i budowle mego ojca przy tym kościele będące, a w czasie najwawszego ataku ogień się rozszerzył do sąsiadów i cała ulica (przeszło 40 domów) spaliła się i pożar ugaszono dopiero o 6 rano.

Przed atakiem arcyksiążę Ferdynand rozkazał przyjść do siebie trzem młodym oficerom z regimentu Dawidowicza Sandomierzanom.

Byli to: Kiszelka, syn prezydenta miasta Sandomierza, Eigner, syn inspektora tabaki i Wajsfogel, syn asesora kryminalnego i zaproponował im dowodzenie trzema oddziałami przebranymi w polskie mundury i komenderowanie po polsku. Znali oni wszelkie przejścia i mogli być bardzo pożyteczni.

Eigner i Wajsfogel przyjęli misją, ale Kiszelka, wiedząc że skoro miasto będzie wzięte, na ukaranie mieszkańców za przychylność Polakom i za naigrawanie się z Niemców przy poprzednim wyjściu z twierdzy, dano rozkaz w pień ich wyciąć, oświadczył arcyksiężciu, że to nie zgadzało się z honorem oficera używać podstępny przeciwno miejscu rodzinnemu.

Arcyksiążę pochwalił jego uczucia i uwolnił go dnia tego od służby.

Pan A L był obecny wszystkim rozkazom, a żołnierzom idącym do szturmów dał na zachętę, każdemu po reńskiemu i do dwie butelki wódki.

Dla tego też po przywróceniu do księstwa Galicyi nie-nawidzony od współobywateli, dobra między synów podzielił,

a sam u misjonarzy warszawskich wszedł na braciszka i życia na pokucie dokonał.

Pochowany w snkience, nie wiem czy był od Pana Boga poznany.

Pierwsza kolumna, która atakowała uporczywie kościół św. Pawła, dobywała go do białego dnia ale bezskutecznie i z wielką stratą.

Druga kolumna baterią pod zamkiem zabierała i była z niej wypierana.

Trzecia kolumna pod kościołem O.O. Reformatów zdobyła baterią i w niej ciężko ranny kapitan artylerii Chmielewski; umarł on z rany nazajutrz o 9 godzinie w kamienicy Dułkiewiczów i oddał pierścionek z palca, aby matce jego do Torunia był przesłany.

Walka w tym punkcie była zacięta, bito się na bagnety w kościele i klasztorze Zakonników, ztamtąd Austriacy opanowali karczmę Borucha i z niej wystrzelowali kanonierów na na szanicach zewnętrznych, dla czego musieli Polacy zniszczyć ją i zburzyć kulami działowemi.

Czwarta kolumna, która obeszła klasztor Benedyktynek, była pod dowództwem Eignera; przednia jej część w mundurach polskich, komenderowana po polsku odstrzeliwała się tylnej części Austryaków ślepemi ładunkami, a że tu była bateria na górze do ojca mego należącej i przystęp czyli droga na nią prowadząca, była od miasta przez folwark Zmigród, Eigner znający położenie, obszedł go prostą drogą i niby broniąc się, wchodził na baterią.

Oszukani Polacy nie wiedząc o podstępie, nie strzelali w myśli że to swoi, lecz przy świetle łuny domów palących się w mieście, oficer komenderujący powziął podejrzenie i w sam czas krzyknął *hasło!* Eigner nieznał hasła i wtenczas zakomenderował po niemiecku: *na bagnety!* ale żywy o-

gień kartaczowy zasłał trupem wawóz, i przymusił nieprzyjaciela do odwrotu.

Ejgner ranny śmiertelnie, został na pobojowisku, dożył dnia następującego i prosił, aby mógł ojca widzieć. Przyniesiono go do miasta i w oczach ojca rzewne łzy lejącego, skoła. Tak zdrajcom bywa!

Kolumna ta odparta nie mogła cofnąć się w tył, musiała schronić się w ogrody klasztoru Panien Benedyktynek, zajęła kościół i klasztor, a Kroaci z dzwonicy wystrzelali kanonierów tak dalece, że mieszkańcy zastąpić ich musieli; nad ranem ogień działowy wyparował ich z dzwonicy. Walka rozpoczęła się w kościele bagnietami, wielu ich wykluto a do 200 wzięto w niewolą.

Pamiętka tego dnia istnieje w furcie klasztoru Panien Benedyktynek, w której murze kula 48-funtowa zrobiła wylom przeszło na łokieć głębokości; zostawiono ją w miejscu, obmurowano i tablicę zawieszono z wierszami następującymi księdza Józefa Kozubskiego profesora.

Wszystko niszczący los wojny
Zamięszał klasztor spokojny,
Rozpędził zgromadzenie *)
Dziewięć w grobowe cienie.
Zapędził żywe. **)
Boże przywróć czas spokojny,
Odwróć od nas klęski wojny,

*) Klasztor Panien Benedyktynek w Sandomierzu jest jedna z najpiękniejszych fundacji z Granowskich Sieniawskiej, liczył do 50 zakonnic i tyleż pensyonarek; z powodu bliskiego położenia pod ogniem działowym na przedstawienie jenerała Sokolnickiego muiszki i pensyonarki opuściły go i udały się za Wisłę u przyjaciół szukając schronienia.

**) Aluzya do dziewięciu mniszek, które nie chciały opuścić klasztoru i w czasie ataku w grobach kościelnych szukały schronienia.

Prosimy cię, a od ludu,
Oddal z dobroci cudu,
Wyroki mściwe.

Walcząc za wolność wszędzie w wielkiej miana cenie
Chlubne dla mnie w tych murach znalazłem schronienie.

Dnia 19. czerwca 1809 r.



ROZDZIAŁ III.



Piąta kolumna pod dowództwem Wajsfogla obeszła baterią zawichostką i od Kamienia plebańskiego szła na baterią od Wisły, komenderowana po polsku, odstrzeliwała się niby nieprzyjacielowi ślepemi ładunkami, i tak blisko przystąpiła z za browarów, że ją na pół wystrzału kartaczowego zaledwie za pomocą światła palących się domów w mieście dostrzeżono; ale odkryta, kartaczami przywitana, przecięta na pół przez polskich żołnierzy, schroniła się w spichrzu drewnianym mojego ojca i tam wyklutą przez Polaków została.

Chowając trupów obywatele poznali Wajsfogla, i ojcu ciało do pochowania oddali.

Ta kolumna miała być wspieraną przez kolumnę szóstą, która z Zawiszełcza przez piaski obeszła baterią przy krakowskiej bramie, ale odsłonięta ogniem palącego się miasta, dostała się w krzyżowy ogień tej baterii i baterii św. Piotra, wiele też ucierpiała od własnej artylerii z za Wisły do niej ognia dającej.

Plan ataku był Hilfa kapitana, który fortyfikował Sandomierz i gdyby nie ogień przypadkowy, miasto byłoby niezawodnie wzięte.

Jak dzień odsłonił stan nieprzyjaciela, tenże przerażony swą stratą cofnął się zaczął, ale jeszcze rano sapery austriackie bramę opatowską zaczęły wyrębywać.

Pulkownik Kamiński widząc że w tej stronie brakło ładunków, przybył w rynek i wezwał na ochotnika dziesięciu żołnierzy.

Wstąpił z nimi do kamienicy Jerzego Kojzera i zażądał wódki, a że jej nie było, więc przyniesiono konewkę śliwownicy i drugą wina, kazał to zmieszać i po parę szklanek napili się ochotnicy dla przywrócenia sił, poczem udał się z nimi do bramy opatowskiej i kazał ją otworzyć.

Natychmiast ochotnicy w fosę skoczyli z bagnetem w rękę i saperów austriackich wykluli.

Część trzeciej kolumny wyparta z karczmy Borucha, obesza kierkut żydowski i udała się ku baterii św. Pawła ale oficer z dwunastu ludźmi zabłąkał się i wszedł w wąwoz pod murami miasta, a coraz dalej się posuwając i nie spotykając oporu, wszedł furtką dominikańską do wycieczki przeznaczoną, (której po wyjściu wojska polskiego zapomniano zamknąć) w miasto i uplacował się w klasztorze ojców Dominikanów *intra muros*.

Kiedy rano wszystko się uspokoiło, widząc że odkryty, wyszedł z niego, wszedł w rynek miasta i przed odwachem kazał żołnierzom broń złożyć, sam pałasz odpasał, ale mu go oficerowie polscy wrócili i na śniadanie do Filipa Boja zaprosili.

Niewolnika zabierano nad ranem w bardzo znacznej ilości i kościół św. Ducha był nim napelniony; przestrach był tak wielki, że polscy żołnierze po dziesięciu i dwudziestu Austriaków zabierali.

Noc tylko dodawała odwagi żołnierzom austriackim; pomagała im także gorzałka, którą byli upojeni.

Ale przetrzeźwieni uciekali w nieporządku; trudno przecie było ich gonić, raz dla braku żołnierzy z których wielu było rannych, drugi raz że Polacy byli znużeni bojem nocnym, tak dalece, że kawalerya zostawiwszy konie w rynku i po ulicach, na szanice pójść i lancami nieprzyjaciół na nie jak było włączających, spychać musiała.

Nazajutrz przed wieczorem przybył parlamentarz żądając kapitulacyi.

Znał to dobrze generał Sokolnicki, że świeży żołnierz austriacki zbliża się pod twierdzę, bo arcyksiążę austriacki postanowił wzięść Sandomierz, choćby go to cały jego korpus kosztowało, a wojsko polskie było szczupłe, zmordowane i brak był ładunków karabinowych, a robić ich nie było czasu.

Postanowił więc otrzymać honorową kapitulację i taką zawarł pod warunkami: że wojsko polskie wyjdzie z honorami, ciężko ranni pozostali w lazaretach będą opatrywani i wygodnie utrzymywani, że wojsko polskie zabierze swój rynsztunek wojenny i pod eskortą odprowadzone aż do Pilicy nie będzie mogło być użyte do tego czasu przeciw Austrii, że mieszkańcom przebaczone udział w obronie twierdzy.

Po przyjęciu przez arcyksięcia kapitulacyi, nazajutrz wojsko polskie przy odgłosie muzyki wyszło z miasta i przedefilowało traktem między dwoma rzędami armii austriackiej wynoszącej do 18.000, a Węgrzy widząc tę garstkę walecznych rycerzy, którzy im skórę wytrzepali, zgrzytali zębami i teremtowali, że ich wódz nie zgniół Polaków i tak ich z honorami wypuścił.

Było naszych niespełna 1200 ludzi i młodzieży cywilnej kilkudziesiąt, którzy nie chcieli w mieście zostać; do eskorty tej załogi przeznaczono dwa szwadrony huzarów węgierskich.

Wojsko austriackie przeszło miasto i rozłożyło się na trakcie krakowskim.

Arcyksiążę objechał miasto i do niego nie raczył wstąpić, a główną kwaterę założył w dworku małej wioski Koćmirzowa.

Magistrat ogłosił, aby się nikt z mieszkańców nie ważył przez trzy dni pokazać na ulicach.

Strach był wielki między mieszkańcami, bo się rozeszła wieść rozsiana przez Niemców osiadłych a wynoszących się z miasta, że miasto będzie w pień wycięte i zburzone i w istocie generał Gœxing propozycję tę czynił arcyksięciu, lecz ten nie chciał ubliżyć kapitulacyi i prawu narodów i na postrachu poprzestał.

Przez te trzy dni deszcz padał ulewny, psy wyły, kobiety w domach płakały, był to dzień prawie sądny.

Kiedy dnia czwartego zaczęto wychodzić, jaki widok! Ze dwieście ciaraparów roznosiło po domach owies i siano do sprzedania, a że każdy bał się kupować, więc owies po ulicach rozsypywali a siano na placach palili.

Palisady powyjmowane i w pół popalone, szańce w większej części rozrzucone, magazyny ewakuowane i poniszczone, armaty wywiezione, amunicya potopiona w Wiśle, słowem wszystko zniszczone, wyjąwszy majątków obywatelskich; później żołnierze polscy w lazarecie będący, którego okna są na Wisłę, opowiadali, że prawie cały korpus do tej roboty użyty był, topiono prochy beczkami, granatniki i kule z góry rzucono, topiono mięso solone, suchary w beczkach i to wszystko co trudne było do uwiezienia.

Może kto sądzi, że arcyksiążę Ferdynand dla tego wziął Sandomierz, aby tylko zburzyć fortyfikacye, które Austriacy zrobili.

Miał on ważniejsze do tego powody. Powiedziałem, że magistrat zakazał wychodzić noc jedną na ulicę; otóż dla czego, tutaj objaśnię.

Lubo Węgry wezwane przez Napoleona do wolności nie odpowiedziały jego życzeniom i pozostały wiernymi cesarzowi Austrii, jednak nie ufał im ich monarcha a nie będąc pewny osiedzieć w Wiedniu i nie lękając się niczego ze strony księstwa warszawskiego, tem bardziej, że w Galicyach pod dowództwem arcyksięcia Ferdynanda i arcyksięcia Jana były dwa korpusy 72.000 wynoszące; jako przezorny kazał wszystkie swoje skarby z Budy i z Wiednia przewieźć do Sandomierza jako miejsca bezpiecznego i dla tego go kazał ufortyfikować.

Ale o składzie tak drogim nawet generał Jaegermann nie wiedział, tylko trzy osoby przypuszczono do tej tajemnicy to jest: kapitana Hilf, ksiądz Janowski proboszcz św. Ducha i Walenty Sroczyński mularz, użyty do zamurowania skarbów w szkarpie wydrążonej w zamku królów polskich, a zasłoniętej obrazem w kaplicy.

Bryki, które je przywiozły i złożyły, zabrały z sobą,

ludzi użytych do ich złożenia i natychmiast w nocy wróciły do Węgier.

Biegała pogłoska o ukrytych skarbach, sondowano zamek, ale do nich nie trafiono a Sroczyński i ksiądz byli w mieście.

Jak tylko te skarby wydobył arcyksiążę Ferdynand, oddawszy komendę generałowi austriackiemu, udał się z niemi do Węgier, drogę obierając przez Galicyą Moskalami zajęta,

Sroczyński i ksiądz Janowski mieli za księstwa warszawskiego płaconą przez cesarza Anstryi pensyę dożywotnią za wierność w dochowaniu tajemnicy, a wdowa po Sroczyńskim jeszcze ją pobierała.

Ciarapary pozostałe w Sandomierzu opuściły miasto za przybyciem kilkunastu Kozaków z Ulanowa a następnie wszedł do Sandomierza pułk huzarów moskiewskich w tabaczkowych mundurach.

Ci sprzymierzeńcy księstwa warszawskiego pod pozorem, że się znajdują w kraju nieprzyjacielskim (Galicya była austriacka) postępowali jak w takim kraju.

Ogłosili miasto w stanie oblężenia, oprowadzali parole po ulicach co 10 kroków, ogień o 8 wieczorem gasić kazali.

Rekwizycye i kontrybucye nakładano, prócz tego żołdactwo kradło bezkarnie.

Huzarów wezwano do Tarnowa a na ich miejsce przybyła piechota pod dowództwem pułkownika Józefowicza.

Zbiór złodziei pod dowództwem rabusia.

Pułkownik ten pod pozorem, że drukarnia pojezuicka, której Austriacy nie tknęli i która nie drukowała, jest własnością rządu nieprzyjacielskiego, kazał ją zabrać i sprzedać żydom na polewę garnków.

Laski srebrne pojezuickie, które służyły w szkołach do parady na procesy, tenże los spotkał; zgoła wszystko było dla niego dobrą zdobyczą.

Gościł on w Sandomierzu i uciemniał mieszkańców jego i obywateli okolicznych nawet już po otrzymanej wiadomości o zawarciu traktatu wiedeńskiego i byłby dłużej siedział, gdyby świętej pamięci Feliks Rogowski, który był prezydentem

w czasie jak Polacy byli w Sandomierzu, nie udał się był do księcia Józefa do Krakowa; że on był moim kuzynem, wziął mnie z sobą.

Za przybyciem do Krakowa, pan Rogowski prosił o audyencyą u księcia Józefa.

Generał Fiszer oddając mu wizytę, oświadczył, że ksiązę gotów go przyjąć każdej chwili i z przyjemnością.

Nazajutrz udał się mój kuzyn do mieszkania księcia pod Krzysztoforami i wziął mnie z sobą, a że było błoto wziął kalosze.

Ksiązę spostrzegł pana Rogowskiego oknem, wyszedł przeciw niemu, przywitał go jako dobrego patriotę i niedozwalając mu zdjąć kaloszy, wprowadził go do pokojów, gdzie mu je zdjąć kazał kamerdynerowi.

Pytał go o zdrowie, powodzenie, dobro i stan miasta a gdy mu Rogowski napomknął cel swego przybycia, rzekł:

— Panie prezydencie, — jutro o tem pomówimy — bo będę miał czas wolniejszy, przygotój WPan petycyę na piśmie do króla jegomości, księcia pana naszego i przynieść mi ją w rannych godzinach do mojego gabinetu a dziś jesteś moim gościem i dzień mi darujesz.

Gdy ta trwała rozmowa, kilku wyższych oficerów poznało mnie i zbliżyło się do mnie stojącego o podał.

Zaczęli oni mnie ścisnąć i pytali o zdrowie rodziców i familii.

— A to co za chłopczyzna? — zapytał ksiązę.

— To mój kuzyn — odpowiedział pan Rogowski.

— To dawna nasza znajomość, naczelny wodzu — rzekło kilku oficerów i dopiero jeden z kwatermistrzostwa zdaje mi się, Friese, zaczął opowiadać księciu moje wysługi i dodał śmiejąc się:

— Choć w stanie austriackim wychowany i zniemczony, ale ma serce prawdziwie polskie i nie tchórz.

Pocałował mnie ksiązę Józef, pochwalił, obdarzył talarem na cukierki i ja gościem jego zostałem.

Nazajutrz byłem obecny jak pan Rogowski przedstawiał

księciu zniszczenie miasta i nędzę mieszkańców i złożył petycyę do króla:

1) O uznanie miasta Sandomierza municypalnem.

2) O uwolnienie na dziesięć lat od podatków.

3) O umieszczenie stolicy departamentu w Sandomierzu.

Ksiązę przyrzekł wstawić się do króla i w samej rzeczy przy nowej organizacyi, miasto Sandomierz z przedmieściami ledwo 1500 katolickiej ludności posiadające, samotrzeć z Krakowem i Lublinem, w departamentach galicyjskich za municypalne zostało uznane, miało prezydenta nie ulegającego podprefektowi i prawo wysyłania deputowanego na sejm. Podatki zawieszono, ale przy nowych potrzebach, zawieszenie to we dwa lata po śmierci pana Rogowskiego odwołano.

Co do umieszczenia stolicy, tak z powodu, że to miasto na granicy departamentu jest położone, jak dla małej ludności i braku domów w zniszczonem mieście, tego odmówiono; zostało bowiem tylko 150 domów prywatnych i to po większej części mizernych.

Nazajutrz i trzeciego dnia jeszcze byliśmy gośćmi księcia Józefa, ale pan Rogowski mając sprawunki i przyjaciół, i chcąc być wolniejszym, pożegnał księcia oświadczając, że nazajutrz opuszcza Kraków.

Jakoż wyniósł się od Krzyżanowskiego oberżysty do pana Więckowskiego Sandomierzanina urzędnika kryminalnego, a z końcem tygodnia opuściliśmy Kraków.

Kiedym z oficerami chodził po mieście i kiedy ci w sukienkach chcieli mi kupić w sklepie norymberskim broń dziecinną, kupiec nawybierał pałaszy, bębnow, karabinów, ładownic i dał mi to wszystko, ale zapłaty przyjąć nie chciał: były tam i armatki i pudełka ogromne żołnierzy z papieru i ołowiu, a tak wiele tego, że pakując się pan Rogowski, z moimi sprawunkami miał trochę ambarasu.

Za powrotem do Sandomierza nie znaleźliśmy już naszych sprzymierzeńców Moskali, którym przyszedł od wyższej komendy rozkaz wymaszerowania w 24 godzinach w terytorium miasta, a natomiast do służby więzień i lazaretu przybyły dwie kom-

panie z pułku 16 piechoty pod komendą kapitana Dąbrowskiego, a na plac komendanta przybył kapitan Janicki.

Wkrótce potem nastąpiła instalacja władz sądowych i administracyjnych powiatowych, a mój ojciec został mianowany podsędkiem cywilnym.

W czasie kiedy ordynat Zamojski został prezesem rządu centralnego galicyjskiego, (i było to wtenczas, kiedy generał Sokolnicki posiadał Sandomierz) przysłał sztafetą ojcu memu nominacją na prezesa sądu głównego kryminalnego w Lublinie wzywając go o niezwłoczne udanie się na rzezony urząd.

Były narady między matką a ojcem, i nazajutrz, nie wiem z jakich powodów, ojciec mój odmówił tego zaszczytu. W czasie nowej organizacyi sądownictwa, mój ojciec przesłał kandydacyą ministrowi sprawiedliwości, ale sam do Warszawy nie jeździł i żadnego starania nie czynił; dano mu przeto tylko ten podsędka urząd, tłómacząc się, że nie jest patriotą dobrym dla tego, że wprzód zaszczytnego urzędu odmówił.

A jednak ojciec mój dużo szkody narobił Moskałom przed 1794 a w r. 1809 nie mogąc sam dla wieku służyć, syna swego najstarszego Ignacego własnym kosztem umundurowanego z koniem i całym rynsztunkiem w kadety do artyleryi konnej zamieścił.

W tydzień po instalacyi sądownictwa, jednego dnia po południu wszedł szlachcic polski w wilczurze i peruce kasztanowatej i zarekomendował się jako podpisarz swemu sędziemu, oświadczając, że się nazywa Paweł Łaźniewski.

Przy kieliszku wina zapytał go ojciec:

— Czem waćpan byłeś wprzód?

— Rachmistrzem w dobrach Szydłowieckich JO. księżny Sapieżyny — odpowiedział — i za protekcyą mej łaskawej pani, JW. minister raczył mnie mianować podpisarzem tutejszego powiatu.

— Czy pan nie byłeś justycyaryuszem, albo mandataryuszem i czy nie pracowałeś kiedy przy tych urządach?

— Nie mości dobrodzieju, nie znam nic, co się tyczy sądownictwa, ale za łaską Bożą i przy pilności, to się człowiek wprawi.

— Waszeć głupi, ja nie wiele umiem, jakiz to u diabła sąd będzie?

Na tem się skończyło wybadywanie; zaczęto rozmowę o czem innem.

Pan podpisarz zarekomendował się pani podsędkowej i ofiarował jej suczkę w prezencie.

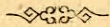
Pan Łaźniewski był poczciwym człowiekiem; z początku mój ojciec miał z nim wiele biedy, ale przy pilności i za łaską Boga jak powiedział, wprawił się i był z niego dobry urzędnik obeznany z prawem i rewolucya zastała go podsędkiem powiatu sandomierskiego.

Tak to Polak zdatny do wszyskiego, jeżeli ma sposobność rozwinięcia władz umysłowych.

Ponieważ nie było w Sandomierzu szkół uorganizowanych, ojciec mój wkrótce potem odwiózł mnie do szkół księży Pijarów, do Opola, gdzie brat mój starszy Józef kończył gimnazjum.



ROZDZIAŁ IV.



W Opolu istniało jeszcze gimnazjum poaustriackie; umieszczono mnie w gramatyce czyli klasie drugiej; ale nim przystąpię do dalszego opowiadania, może czytelnicy zapomnieli systemu naukowego austriackiego, takowy życzę im odświeżyć w pamięci.

W edukacyi przez rząd rzeczony przyjętej pierwszym szczeblem były szkoły normalne.

W pierwszej klasie uczono: abecadła na tablicach, składowania sylab, a potem czytania na elementarzu wydrukowanym w części literami niemieckimi, następnie literami kaligrafii niemieckiej, a w ostatku łacińskimi; pisania po niemiecku; liczbowania w tymże języku, katechizmu po niemiecku tłumaczonego po polsku i początki arytmetyki.

W drugiej klasie wykładano: gramatykę niemiecko-polską, napisaną i przyjętą dla szkół normalnych w obydwóch Galicyach przez Kazimierza Wolfeila, część pierwszą teoretyczną i praktyczną aż do składni szyku; ostatnia stanowiła wypisy niemiecko-polskie; allgemeine Rechenkunst, o ułamkach prostych i dziesiętnych po niemiecku; dalszy ciąg katechizmu i pisać fraktur w tymże języku.

W trzeciej zaś klasie wyżej wymienioną gramatykę ciąg dalszy, rachunki o regule trzech, spółki i t. d.; allgemeine Weltgeschichte, ale tylko o państwie austriackiem a o innych na-

rodach to tylko, co miało z tamtą styczność pokrótce; szczególniej rozszerzano się nad częścią dotyczącą się domu Habsburgskiego; jeografią państwa austriackiego i graniczących z niem państw, wymieniając tylko ich nazwiska i traktat o obowiązkach poddanych względem panującego, wszystko po niemiecku.

Uczeń skończywszy te klasy wychodził już jeżeli niedoskonały w języku panującym, przynajmniej tak go miał wkręcić, że go trudno było zapomnieć.

Z tych szkół jedni wychodzili dla uczenia się rzemiosł, inni do gimnazjum wchodzili.

Każda klasa miała oddzielnego i jedyne profesora a w niektórych szkołach była szkoła przygotowawcza do rzemiosł i handlu, gdzie uczono matematyki początkowej i rysunków, wszystko notabene w języku niemieckim.

Gimnazjum podzielone było na pięć klas, każda miała jednego i właściwego profesora.

W infimie uczono czytać po łacinie i tłumaczyć z łacińskiego na niemieckie, tudzież deklinacyi i konjugacyi w języku Rzymian.

W gramatyce dalszy ciąg o innych częściach mowy języka łacińskiego aż do składni; historię powszechną starożytną po niemiecku i jeografią po niemiecku, oraz wypisy łacińsko-niemieckie.

W syntaxis o składni w języku łacińskim, tłumaczenie łacińskich autorów trudniejszych, oraz początki greckiego; historia rzymska po łacinie Florusa i początki algebry, geometryi i historii naturalnej po łacinie.

W poetyce tłumaczenie autorów łacińskich, skandowanie wierszy Wirgiliusza i Owidiusza, algebra i geometrya, tudzież początki fizyki wszystko po łacinie i język grecki.

W retoryce o wymowie a szczególnie o syllogizmach,

mowy Cicerona na pamięć, dalszy ciąg algebry, jeometrii i fizyki, wszystko po łacinie i język grecki.

W niektórych szkołach poetyka była klasą czwartą a retoryka piątą, lub przeciwnie podług woli rektora.

Wszystkie nauki z książek i dosłownie, tak że profesor słuchał z książek i niepilnych karał batami.

Wychodzący uczeń z gimnazjum miał pole doskonalić się w szkołach wyższych na teologii, filozofii, jurisprudeneyi, co stanowiło akademią austriackiego rządu.

W pierwszym roku pobytu mego w szkołach opolskich za księstwa warszawskiego przybył ksiądz Przeczytański, prowincyał księży Pijarów, jako wizytator i przed nim zdawaliśmy egzamen czyli popis publiczny.

Ksiądz Petrykowski profesor mej klasy kazał mi deklamować wyjątek z wypisów na pamięć, który umiałem doskonale, ale za wyrecytowaniem kilku peryodów ks. Przeczytański kazał mi usiąść.

Mój profesor oświadczył mi:

— To jest uczeń celujący i pierwszy w klasie.

— Może to być — odpowiedział ks. prowincyał — ale jak żak prawi, a ja nie lubię systematu austriackiego; potrzeba rozumieć i być przejętym co się mówi, bo nauka nie powinna być pamięciowa, mechaniczna ale rozumowa.

Starałem się po tej reprymendzie z niej korzystać na rok następny, tem bardziej że staruszek udobruchawszy się później pogłaskał mnie i powiedział:

— Moje dziecko, to nie twoja wina, bo cię tak uczono.

Po wakacjach podług planu komisji edukacyjnej, czyli raczej Stanisława Potockiego, zreformowano szkołę opolską i na wydziałową o 4 klasach urządzono; wprowadzono język francuzki, język polski z łacińskim porównawczo podług gramatyki księdza Kopczyńskiego, język niemiecki, matematykę,

historję powszechną, polską i naturalną, technologię, fizykę, początki chemii oraz jeografię.

Na język grecki i rysunki dowolność zostawiono, ale za to obowiązkową była mustra.

Sprowadzono z Warszawy podoficera od weteranów Maślowskiego na instruktora, który się liczył do nauczycieli.

Sprawiono nam mundury z grubej dymy, to jest pantaliony i kurtki granatowe z amarantowemi wyłogami, zaopatrzone w karabiny drewniane z lufami blaszanemi i pałasze dębowe ołowiem nacierane.

Na apel bębna co wieczór na godzinę trzeba było łyżkę porzucać i ruszać na mustrę, a w rekreacye na manewra i rewie.

Karność bata zamieniono na areszt i inne zewnątrznie hańbiące kary.

Tak upłynął rok błogi.

Ksiązę warszawski powiększył dochody księży Pijarów darowizną folwarku; była to wielka uroczystość, zjechał na nią ksiązę Jabłonowski prefekt z Lublina i podprefekt z Kazimierza.

Wręczenie przywileju czyli donaeyi nastąpiło publicznie, uczniowie mieli mowy dziękczynne w różnych językach, a ja deklamowałem wiersze w języku polskim na pochwałę wspańskiego monarchy, których szkoda nie pamiętam.

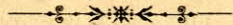
W ciągu roku wizytowano kilka razy szkoły i to z niestacka bez przygotowania.

Radca departamentu Owidzki wysiadał z koczka i szedł prosto do klas i uczniów egzaminował, regulamin przeglądał oraz książki, w których codziennie i co godzina zapisywano postęp uczeni i sam w nich dopisywał pochwały lub nagany podług zasługi.

W czasie wakacyi pojechałem z matką do Warszawy, gdzie siostra moja była na pensyi u pani Sparman i gdzie brat starszy chodził do szkoły prawa.

I pensye płci żeńskiej były uorganizowane na wzór szkół męzkich; uczono w nich języków: polskiego, niemieckiego, francuskiego, jeografii, historii polskiej, powszechnej i naturalnej, fizyki i chemii zastosowanej do potrzeby gospodarstwa domowego, rysunków, robót kobiecych, grać na fortepianie lub gitarze i śpiewu podług woli rodziców i tańca.

Damy wizytatorki ze swej strony ścisły miały nadzór nad temi pensyami.



ROZDZIAŁ V.



Przybyliśmy do Warszawy w Sierpniu w r. 1812.

Wielkie przygotowania czyniono w Warszawie na obchód imienin Napoleona, oraz zgromadzenie izb sejmowych przyjąć mających do konfederacyi delegatów przybyłych z Litwy, przystępującej do tejże.

Byłem na galeryi w Izbie sejmowej i widziałem tę świetną uroczystość; najwięcej mi wpadli w oko Stanisław Potocki, Zamojski ordynat i ksiązę Konstanty Czartoryski.

Ostatni przechadzał się długo przed zaczęciem sesyi po sali, oglądając galerye damami obsadzone, witając, rozmawiając, uśmiechając się.

Był to piękny mężczyzna, a nadewszystko dobry patriota.

Nareszcie zaczęła się sesya, wprowadzono z uroczystością delegatów litewskich.

Pamiętam, że było ich dwóch, jeden w kontuszu granatowym z karmazynowemi wyłogami, łysy, przy karabeli, wysokiego wzrostu, mówił do zgromadzonych stanów głosem cokolwiek cichym, ale czuł co mówił, bo mu łzy po policzkach płynęły, a damy płakały i nie jeden ze sejmujących łzę tam uronił.

Drugi wzrostu średniego, w mundurze po francuzku, przy rożenku, zdaje mi się że miał perukę pudrowaną.

Mówił głosem donośnym, ale mniej ujmował słuchaczy. Mieli oni przygotowane dla siebie krzesła wśród sali.

Było mów kilka, wpisywano coś w dużej księdze a potem całowali się posłowie z delegatami a na galeryach dawano huczne oklaski. *)

Imieniny Napoleona były w sobotę, ale uroczystości publiczne odłożono na niedzielę; były tańce, chciano puścić balon, pan fizyk Michaud miał się nim wznieść ale się nie udał, czyli raczej lękał się mający bujać po obłokach, bo był błądy i policya mu przysłała w pomoc.

Na dziedzińcu Krasińskich były fontanny wina dla ludzi, rozdawano wódkę, piwo, mięsiwa i chleb biały, a wieczorem ogród Krasińskich był wspaniale w cyfry Napoleona uilluminowane, i muzyki wojskowe grały symfonie.

Cała Warszawa była wspaniale i suto oświecona.

W tem miejscu to tylko powiem o Warszawie, że na nowym Świecie ledwo kilka było domów murowanych, a wyjeżdżając z Warszawy w pierwszych dniach października, w ulicy Mokotowskiej bryka nasza brocka uwięzła i musieliśmy konie wyprządz, i do karczmy wprowadzić, a bryka nocowała w ulicy i dopiero nazajutrz ją wydobyto.

Po rozrywkach warszawskich wróciłem do szkół; nastąpiła zima tęga.

Czytając wieczorami gazety księdzu Charczyńskiemu wice- rektorowi pozbawionemu wzroku, tak polskie jako i wiedeńskie komunikowane z pałacu od pani Rzewuskiej z domu Lubomirskiej, smutne w nich dla Polaków i Francuzów czerpałem wiadomości, wreszcie ujrzeliśmy saską kawaleryę uciekającą w nieładzie i donoszącą, że chmara kozactwa ją goni.

Pojedyńczy oficerowie polscy przeziębli i schorziali prze-

*) Pamiętam że i u nas w szkołach było przystąpienie do konfederacji; zjechał na tę uroczystość radca prefekalny do Opolu, czytano nam uroczystoście akt konfederacji i takowy wszyscy studenci podpisali, poczem przepasano nam rękę lewą wstążkami, białą różową i niebieską, ale od tych konfederatów najwięcej ucierpieli Żydzi opolscy i okna ich bóżnicy.

chodzili lub przejeżdżali; między tymi był Antoni Wierzbicki, w czasie rewolucyi pułkownik jazdy lubelskiej, który bez spieszego ratunku będąc ranny byłby skończył życie.

Za nimi korpusa austriackie przechodziły w celu przeprowadzenia się pod Józefowem przez Wisłę, a za nimi weszło parę tysięcy chłopstwa w szarych guniach, na lichych koniach, w piki uzbrojonego, jeden miał pałasz, drugi pistolet, inny siekiere.

I to były korpusa kozacko-moskiewskie, przed którymi czterokroć liczniejsze wojska niemieckie uciekały.

Nasz komendant Masłowski wcześniej nasz korpus rozwiązał; pochowaliśmy mundury i rynsztunek.

Ale kiedy dowódca korpusu kozackiego stanął w pałacu, dowiedział się o istniejącej sile zbrojnej w Opolu, przywołał do siebie rektora i rozkazał nam zebrać się i stawić przed nim w mundurach i z bronią naszą.

Przy odgłosie bębna w porządku weszliśmy na dziedziniec pałacu.

Pułkownik z oficerami wyszedł przed ganek, rozkazał nam wykonać mustre i przedefilować przed sobą, poczem sformować czworobok i w te prawie przemówił słowa dobrą polszczyzną:

— Panowie, jesteście częścią wojska polskiego, a zatem armii nieprzyjacielskiej; zabieram was w niewolę, złóżcie broń i mundury.

Złożyliśmy broń i zdjęli zwierzchnie mundury, które na kupę złożyć i spalić rozkazał.

Poczem do nas przemówił:

— Teraz panowie studenci powróćcie do zatrudnień szkolnych i zwykłym trybem dopełniajcie waszych obowiązków.

Aż do wakacyi kontynuowano szkołę; widzieliśmy przechodzące rozmaite oddziały kozactwa, ale bardzo spokojnie, a co większa, wszystkie domy, gdzie byli studenci na stancyach były wolne od kwaterunku.

Na wakacje przyjechał po mnie brat starszy Ignacy, który

służył w wojsku w artylerii i był w oblężeniu Torunia; po wzięciu tej twierdzy dostał pozwolenie wrócić do domu.

Po przeprawieniu się przez Wisłę na kilka mil od Sandomierza był kordon austriacki i samo to miasto zajmował korpus tegoż wojska.

W domu zastałem i drugiego brata mego Józefa, który będąc kalkulatorem w ministerium skarbu i nie życząc sobie puszczać się za panem Matusiewiczem do Krakowa, gdzie był ksiązę Józef Poniatowski z wojskiem polskim, otrzymał pozwolenie udania się w progi domowe z zapewnieniem pobierania pensyi.

Był z nim i brat mój cioteczny Andrzej Kentecki, z ministerium wojny urzędnik, ale że opuścił bez pozwolenia swoje stanowisko, przy nowej potem organizacyi, pomimo starań usilnych i protekcyi, za karę umieszczony nie został.

Zastałem także w domu i Franciszka brata mego stryjecznego, który służył w artylerii, i był w oblężeniu Gdańska pod jenerałem Rapp, i dowodził baterią na górze gradowej (Hagelberg), a po kapitulacyi do familii został odesłany.

Ten i mój brat opowiadali nam szczegóły dotyczące oblężenia twierdzy Gdańska i Torunia, ale je tu pomijam.

Przybyła wkrótce i siostra moja z pensyi z Warszawy, a z nią dwie inne towarzyszki, których rodzice w czasie wojny nie chcąc przy sobie na wsi zostawić, opiekę poruczyli moim rodzicom.

Ponieważ skończyłem szkoły wydziałowe w Opolu, a deorganizacya szkół nastąpiła w księstwie, oddano mnie dla kontynuowania nauk do domu pana Albina Wolskiego do Potoczka w lubelskiem, gdzie mój kuzyn był profesorem jego dzieci.

Moskale przechodzili chmarami do Francyi, ale Zamość trzymał się jeszcze, że pan Wolski miał syna swojego Pawła Wolskiego podporucznika w piechocie, a dziś w emigracyi kapitana, w jego garnizonie, był o niego niespokojny.

Często kładąc się na ziemi słyszeliśmy huk dział oblegających i oblężonych.

Twierdzy tej bronił jenerał Hauke do ostateczności, wy-

jadł konie, bił monetę w Zamościu i miałem dwuzłotówkę tego bicia.

Był on wówczas dobrym Polakiem, czemu nie wytrzymał aż do końca?

Nareszcie dnia jednego otrzymał ojciec list od pana Pawła, donoszący mu o poddaniu się twierdzy i że może wrócić do domu.

Ojciec pojechał po niego i przywiózł go.

Wtenczas to poznałem tego szanownego młodego oficera, który później oddany gospodarstwu domowemu nie chciał wejść w szeregi nowo formowane pod sterem Moskali, ale na pierwsze hasło niepodległości opuścił spokojne zacisze, wszedł w szeregi obrońców ojczyzny, poświęcił dla niej wszystko co miał drogiego i dziś w wieku, podziela z nami tułactwo.

Przyjemne jest wspomnienie przyjaciela w dzieciństwie i towarzysza na wygnaniu.

Na święta wielkanocne przyjechałem do domu, spostrzegłszy kościół i klasztor pojezuicki spalone, pytałem o przyczynę opowiadano mi, że Austriacy dopiero od parę tygodni opuścili Sandomierz, ale pozostawili lazaret, że intendent lazaretu nie chcąc zdawać trudnych dla niego rachunków, umyślił łatwiejszy sposób wyjść z przykrego położenia.

Kazał kucharzowi zapalić olej przepalający się w kuchni, a ztąd cały gmach zgorzał ze wszystkimi efektami oraz kilkuset rannych Austriaków i Moskali, poczem spokojnie z kwintancją ruską i resztą ciaraparą przeprowił się za Wisłę do Galicyi.

Zastałem Moskali piechotę a na kwaterze oficera kwatermistrza bardzo polerowanego, mówiącego po francusku i ugrzeźnionego; że zaś moje buty w złym były stanie, a dzień święta nazajutrz następował, rozkazał on szewcowi pułkowemu, aby nazajutrz buty były dla mnie gotowe.

Było to wieczór, i w dzień wielkanocny obułem nowe buty ze skóry moskiewskiej pod spodem czerwonej, tylko ta była niedogodność, że mi często z pokoju wychodzić kazano, tak dziegieć był nieznośny dla mej matki, dla mej siostry i innych panien.

We wtorek wielkanocny żołnierze garnizonu moskiewskiego

dla ułatwienia sobie kradzieży podpalili o trzeciej po południu miasto we trzech miejscach w rynku i spaliła się cała połączona rynek i ulica Zawichostka; spaliło się 50 przeszło domów i ich właściciele stracili wszystko co posiadali.

Wkrótce potem poznałem baszkierów, których kapitan stanął na kwaterze.

Kiedy mu w wieczór przybyłemu jedna z dam kieliszek wódki ofiarowała, rzekł do niej.

— Pijaj do mnie ja sam nie piję.

Skosztowała i tem był uradowany, jakoteż że mu grano na fortepianie.

Przy kolacyi dano kaszę tatarską ze słoniną, gdy tę spostrzegł rzekł:

— Weźcie to, ja świniny nie kuszę.

Był on religii Karaibów, dano mu przeto kaszę z masłem; dotąd był dosyć grzeczny, lecz gdy go przyszło lokować do spania, a dom był zajęty przez oficerów z piechoty, ofiarowano mu miejsce do spoczynku, na górze nad stajnią w sianie, wtenczas rzekł:

— Nie macie łóżka to ja się prześpię z jedną z tych białek, wskazując na panny.

Był uporny i zaczął breweryę poczynać, aż w tem wszedł oficer kwatermistrz, o którym mówiłem wyżej.

Ten dowiedziawszy się o przyczynie hałasu, wszedł do pokoju i rzekł do niego:

— Szto je to chcesz?

— Tutaj moją kwaterę -- odpowiedział.

— Chcę nocować.

— Szto ty za człowiek?

— Kapitan.

— Suki syn ty swinia nie kapitan, paszół wion do twojego łozaka spaty, i wziął go bez ceremonii za kark, wypchnął z pokoju, potem z kamienicy i drzwi za nim zamknął.

Rodzice moi sądzili, że ztąd będzie jaka nieprzyjemność dla kwatermistrza, ale pan kapitan o pierścieniu tombakowym z krwawnikiem fałszywym, przez czas raształu przychodził

tylko jeść i z wielką grzecznością a chodził na nocleg do stajni do swojego konia.

Upłynęło lat parę w ustawicznych przechodach, nareszcie doszła wiadomość o utworzeniu królestwa Polskiego, o nominacji Zajączka namiestnikiem i wyniesienia go na dostojność książęcą.

Nadszedł dzień nroczystości, w kościele kolegiaty zgromadziły się władze i odczytano uwolnienie od przysięgi króla saskiego i księcia warszawskiego a zarazem wykonywano przysięgę na wierność Aleksandrowi.

Widziałem ojca mego w ponurem milczeniu, łyż mu ściekały po obliczu i ani ręki nie podniósł, ani przysięgi czytanej nie powtarzał.

Gdy go za powrotem do domu o przyczynę zapytał — rzekł do mnie:

— Mój synu pod Moskałem nie ma nadziei, żeby ojczyzna odżyła.

Już po Polsce, bo to nie pierwszy raz Moskale pod pozorem miodowego postępowania czyhają na Polskę.

Ja ich nie lubię i wiem, że i ty nie będziesz nigdy Moskałem.

Zacząto formować nowe wojsko polskie, brat mój starszy Ignacy dostał przeznaczenie do artylerii pieszej sztyfowanej w Radomiu, a stryjeczny Franciszek lubo z artylerii, przeznaczony został do pułku 4. strzelców pieszych organizowanego w Opatowie pod dowództwem pułkownika Obroskiego.

Lubo miał stopień porucznika w Gdańsku nie przyznano mu go i wszedł w stopniu podporucznika.

Skoro pułk się uorganizował hrabia Rzewuski dziedzic Opola wystarał się, że mu jego miasto na konstytucyą przeznaczono.

Oficerowie pułku na pożegnanie obywatelom dali wielki bal w Opatowie, dwie stajnie zajęzalne połączone, urządzone na salę tańca, ściany pokryto płótnem komiśnem a festony były z sukna granatowego i żółtego, pomiędzy którymi liczne cyfry Aleksandra i Konstantego, muzyka huczna wojskowa i

cywilna, cukrów, ciast, strawy i wina co nie miara, szlachta z okolicy liczna.

Bawiono się do rana, tańczono a pomiędzy najweselszemi był pan Rzewuski hrabia w kontuszu, żupanie, czerwonych butach z ostrogami złotymi i przy bogatej karabeli, czapkę konfederatkę trzymając pod pachą tańczył najwięcej mazura z siostrą swoją a mnie obdarzał cukierkami i pomarańczami, tak że nie wiedział gdzie je mam podziąć.

Rano zastawiono suto śniadanie.

W skutek nowego porządku rzeczy nastąpiła reorganizacja magistratur pierwszych w kraju.

Brat mój Józef dostał wezwanie stawienia się do Warszawy i nominacją na sekretarza w wydziale stempla i loteryi w komisji skarbu; wyjechał więc do stolicy i mnie z nim rodzice wysłali.

Żem skończył szkoły wydziałowe a później ucząc się prywatnie, chlipnął trochę wyżej edukacji, nie uważano za potrzebę abym kontynuował szkoły i umieszczono mnie na dependenta przy Tomaszu Płońskim adwokacie sądu apelacyjnego.

Dzięki jego nauce i staraniom, lubo niemilosiernie targał za uszy, postąpiłem tak znacznie praktycznie w prawnictwie że kiedy Jan Pasturzyński później poseł, zdawał egzamen na patrona i mnie sędzia prezydujący wydziału 3. Lewiński, później kasztelan, nakłaniał, abym siadł do egzaminu; ale byłem bardzo młody i nie spieszyło mi się, a nie sądziłem że postanowienie księcia namiestnika później w egzaminach trudności mi wiele sprawi.

Że zaś mój adwokat był zarazem pisarzem czyli rejentem konsystorza warszawskiego a z powodu interesów rozwodowych posłał mnie z papierami do pierwszych domów, poznałem przeto panią Gutakowską i inne damy i z powodu mego zbyt młodego wieku nie uważano na mnie i nie tajono nieraz sekretów dyplomatycznych czyli raczej intryg.

Pamiętam, że razu jednego przyszedłszy od pana ministra Sobolewskiego z papierami legalizowanymi do pani Gutakowskiej musiałem czekać, aż się damy wizytujące rozjadą.

Odpowiadała im: że Stratfort Canning przybył z Anglii nakłaniając, aby w Wiedniu wpływać na Aleksandra o przywrócenie Polski i proponować na króla Piasta księcia Adama Czartoryskiego, żeby mu wystawiać, iż przez to zagładzi błędy swej babki, i że może ufać na jego dobroduszość oraz na charakter i skłonności do kobiet, że za pośrednictwem pięknych Niemek to udać się może, dla czego ona podjęła się tej roboty i za dwa dni do Wiednia odjeżdża.

Jakoż pani Gutakowska była w Wiedniu i interes ten usiłowała wykierować; ale się nie udało, bo Aleksander zręczny polityk grzecznie pozbył się nastrojonych Niemek i jedną odpowiedzią, której tu przez uszanowanie i wzgląd dla żyjących osób nie powtarzam, zamknął im koralowe usta, tak że więcej go nie śmiały nagabywać.

W r. 1816 pracowałem u adwokata Dawida Torosiewicza, a zarazem wyrabiałem odpowiedzi na prośby Lewińskiemu, prezesowi trybunału; prócz tego aplikowałem w komisji sprawiedliwości w wydziale nominacyjnym pod radzcą stanu Netrebskim, kiedy mój ojciec złożony śmiertelną chorobą wezwał mnie do siebie.

Ojciec mój po trzymiesięcznej chorobie zakończył życie. W czasie tym zastępowałem podpisarza sądu pokoju, a po zgonie ojca otrzymałem tę posadę.

Że zaś z powodu namnożenia się przestępstw, więzienia przepelnione były, a sądy poprawcze nie miały dostatecznej liczby członków do dopelnienia instrukcyi, przeto z sądów pokoju delegowano pisarzy na zastępców inkwizentów, a podpisarzom zastępować ich polecono.

Wprawdzie prace się powiększyły, ale też i dochody w miarę; przy uczciwym nawet pełnieniu obowiązków można było mieć parę tysięcy złotych intraty i lepiej było być podpisarzem niż podsędkiem lub urzędnikiem kryminalnym.

W miastach jednak gdzie były sądy poprawcze, podpisarze musieli byli pełnić przez sześć miesięcy w roku obowiązki prokuratorów królewskich przy tychże sądach, bo ich wówczas jeszcze nie było; praca ta była mozolna.

Pamiętam jak dzisiaj, że jeden z uwięzionych i skazanych

na karę, za nadużycie powierzonych mu lasów rządowych i podrobienie sobie patentu na kapitana i ozdobę legii honorowej francuskiej, gdy takową wysiadywał, miał pozwolenie przechadzać się w dziedzińcu pod strażą.

Raz przyszedł mu szós, że się zbuntował przeciwko niej i między gruzami się obwarował; musiano szturm przypuścić formalny, bronił się kamieniami, ale nareszcie po kapitulacji odprowadzony do więzienia, skazany został na 25 różg podług prawa karnego krajowego; byłem z obowiązku przy egzekucyi a po dokonaniu jej wstał i rzekł:

— Nie mówię, żeby to batem lub kijem, ale różgami jak omieciono.

Widziałem tego jegomości w emigracyi przy szlifach sztabsoficera, czytałem waleczną jego biografią w jednym z dzienników francuskich i doniesienie o składce dla niego na podróż z żoną do Włoch dla odzyskania fortuny czyli sukcesyi a nawet król Francuzów paręset franków do tej subskrybcyi dołożył.

Podpisarze sądów pokoju byli zarazem pierwszymi instruktorami procesów kryminalnych dotyczących się przestępstw i zbrodni w ich powiecie dokonanych.

Na dowód jak często pozory są mylne w sprawach tego rodzaju, wypadek tu jeden zamieszczam:

We wsi Byszewie pomiędzy Klimentowem a Sandomierzem o kilkanaście kroków od gościńca znaleziono w dzień niedzielny zabitego bijakiem od cepów człowieka, który miał usta zapchane ziemią.

Świadkowie poznali go i zeznali, że tegoż dnia kupował dwie bułki chleba w Klimentowie, które włościanin z Byszewa (nie pamiętam jego nazwiska) przyniósł w wieczór do domu i dzieciom swoim zgłodniałym rzucił mówiąc:

— Oto macie!

Że zaś bijak był odwiązany od jego cepów, którymi młócił w stodole niedalekiej od miejsca popełnionej zbrodni i miał sukmanę krwią zbroszoną, strupy na ręce prawej a wprzód już za kradzież był skazany na karę, podejrzenie zabójstwa na niego padało, a nawet dowody przekonujące przeciw

niemu mówiły. Siedm tygodni był pod pierwszą instrukcją, którą prowadziłem; tłumaczył się jednostajnie: że chleb znalazł, że bijak mu ukradziono, że z oziębienia miał strupy na ręku, że sukmana skrwawiona ztąd, iż nią obcierał krew, gdy sobie strupy zdarł i że cały dzień w stodole spał, ale zabójstwa się nie dopuścił.

Doktor wezwany do dania opinii oświadczył: że strupy pochodzą z pogryzienia; a zabity miał usta zapchane ziemią,

Na takim przekonaniu sąd policyi prostej zaopiniował, iż dalsza instrukcja na miejsce i odesłał sprawę do sądu policyi poprawczej, lecz tam podług procedury austriackiej, pod batami z bólu przyznał się do zbrodni, które to przyznanie odwołał w sądzie kryminalnym głównym i dla tego skazany tylko został na wieczne więzienie, w którym w sześć miesięcy umarł; a ludzie mówili:

— Sąd kary sprawiedliwej nie wymierzył (że nie był na śmierć skazany) a więc pan Bóg sprawiedliwy jest sędzią, bo mu zbrodni nie przebaczył.

Zapomniano o nieszczęśliwym, gdy w roku 1821 w cztery lata potem, kiedy byłem urzęduikiem administracyjnym, otrzymałem polecenie spawdzenia zeznań jednego dezertera na karę śmierci skazanego i przed egzekucją audytorowi uczynionych.

Te były następnej treści:

W roku 1817, kiedym pierwszy raz dezertował ukrywałem się w obwodzie sandomierskim; raz idąc drogą z Iwanisk do Klimentowa, spotkałem gospodarza, który prowadził parę wołów.

Po przywitaniu zwyczajnem zapytałem, dokąd was Bóg wiedzie? odrzekł:

— Oto kupiłem parę wołów na ostatnim jarmarku w Klimentowie od kuma z Pełczyc, ałem sobie wymówił, że jeżeli mi nie będą dogodne, to mu je oddam, a pieniądze odbiorę i dziś ostatni dzień, przeto muszę się spieszyć.

— A którzy będziecie powracali?

— Taż samą drogą jutro z południa.

On poszedł w swoją drogę, a mnie djabeł pokusił, aby te pieniądze otrzymać, dla czego postanowiłem go zabić i na

to w stodole Byszewskiej na ustroniu będącej odwiązałem bijak u cepów i czatowałem na niego w niedzielę do rana.

Spostrzegłem czleka podobnego do niego około drugiej z południa idącego gościńcem i sądząc, że to on, wypadłem z za stodoly, przewróciłem go o ziemię, zatkałem mu ziemią gębę, pociągnąłem za nogi o kilkanaście kroków i bijakiem zabiłem.

Kiedy już nie żył, obszukałem i nie znalazłem pieniędzy tytko torbę kaszy i dwie bułki chleba.

Chleb wziąłem, ale o paręset kroków rzuciłem na drodze przy wsi, myśląc że za tak marną rzecz zabił człowieka, a sam poszedłem w dalszą drogę.

Poznałem ja potem, że się omylił i tego nie zabiłem, na którego czatowałem i tylko do niego bardzo podobnego.

Może kto cierpi niewinnie z powodu tego zabójstwa, a ja mam już stanąć na sądzie bożym; żeby dostąpił miłosierdzia jego, ten grzech mój wyznaję i lubo ginę za dezercyą, ale to prawdziwa kara boża za owe zabójstwo.

Z polecenia wyższej władzy udałem się na śledztwo do Iwanisk, które wykazało, że gospodarz ten, o którym mówił dezercer żył, i ten opowiedziawszy spotkanie z nim tak dodał:

— Kiedym pieniądze od kuma odebrał i miałem wychodzić po śniadaniu, coś mnie tchnęło i opowiedziałem mu spotkanie wczorajsze; on na to rzekł:

— Kumie! Może to jaki zły człowiek, idźcie inną drogą, żeby was nieszczęście nie spotkało.

Usłuchałem jego rady i poszedłem górną drogą i szczęśliwie uszedłem przypadku,

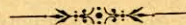
Tym sposobem okazała się mylność sądu ludzkiego i niewinność człowieka, (który o mało na śmierć skazany nie został) w cztery lata po jego śmierci, o czem uwiadomiony wielki książę Konstanty wstawił się do namiestnika królewskiego, i w nagrodę pokrzywdzonej wdowie i sierotom wyznaczono im roczną pensję 400 złotych ze skarbu publicznego.

Lecz wróćmy o cztery lata wprzód.

Z nowo ustanowionym rządem królestwa polskiego, nastąpiły i nowe organiczne prawa.

Postanowienie namiestnika królewskiego wskazało zasadę: że kto nie ma lat 21 skończonych nie może piastować urzędów publicznych, a przeto i ja utraciłem moją posadę jako małoletni i osiadłem na koszu.

Że zaś nadał do otrzymania urzędów sądowych potrzeba było być magistrem prawa i prócz tego udowodnić zdolności komisjami egzaminacyjnymi, mając dopiero lat 18 postanowiłem udać się na uniwersytet i w tym celu złożyłem egzamen szkolny maturitatis przed kolegium profesorów księży Pijarów w Radomiu.



ROZDZIAŁ VI.



Że zaś w czasie mego urzędowania żyłem sobie dosyć huczno i nie ciułałem grosiwa, matka moja nie była ze mnie kontenta; gdy do niej jako dożywotniczki całego majątku ojczystego udałem się prosząc o almenta, odmówiła mi ich, ztąd nastąpił proces, który przegrałem in accesorio przez wybiegi adwokackie, czem obrażony mając kilkadziesiąt dukatów i zegarek złoty, postanowiłem tentować fortuny w świecie.

Zaopatrzywszy się w paszport od konsula pruskiego w Warszawie za moje pieniądze, tak że nikt z krewnych o moim wyjeździe nie wiedział, wzięwszy tylko niektóre rzeczy najpotrzebniejsze w mały mantelzak, i zostawiwszy resztę u brata, u którego stałem, wsiadłem na galar płynący do Gdańska, żadnego śladu po sobie nie zostawiwszy.

Ponieważ zwyczaj flisów nie są znane wszystkim, o niektórych przeto nadmienię:

Frycami nazywają tych, którzy pierwszy raz na flis wychodzą; są oni przedmiotem wyszydzań i weksacyi dawniejszych i można ich porównać z Tourlourou w wojsku francuskim.

Naraw przy ujściu do Wisły zachowuje na prawym brzegu swoje własne koryto wody czarnej nie łącząc się z wodą wiślaną.

Tu więc przyrządzają kawę dla fryców; składa się ona

z mieszaniny wody wiślanej z narwianą i zaprawionej popiołem zamiast cukru.

Fryc aby się uchronił od tego przyjemnego napoju, musi się albo wódką okupić, albo wypić ową kawę w porcyi znacznej i następną ztąd odbyć jak gdyby chorobę morską.

W Nowem i w Świeciu, wyjeżdża naprzeciw statkom Bernardyn w łodzi z ogromną dwulokciową zardzewiałą brzytwą w celu golenia fryców.

Będąc blisko statku zapytuje się:

— A wiele tam macie fryców?

Na co przednik odpowiada:

— Ani jednego dobrodzieju.

A w tej chwili palcami daje znak o ich ilości, na co Bernardyn odrzekając:

— Wiem ja wiem, że ich jest trzech, — lub wielu się znajduje.

Przybija Łódź do galaru, którą flisi przymocowywują i Bernardyn wysiada witając słowy:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Poczem przednik każe stanąć w rząd flisom a ojciec flisów poznaje, przechodząc powoli koło każdego, co mu łatwo przychodzi, albowiem gdy jest przy frycu, sternik nieznacznie krzaka.

Po wybraniu ich zaczyna rozrabiać mydło czyli raczej drożdże z piwa w garnku i ogromnym pędzlem zabiera się do golenia indywiduów.

Wtenczas następuje okup krupami, grochem, słoniną i wódką, a wielebny naładowawszy sakwy i barylkę, życząc szczęśliwej podróży i błogosławiąc wraca do klasztoru.

Może czytelnicy sądzą, że to jest zbytńia korzyść ojców, nadużycie lub wydartus; ale nie tak jest w samej rzeczy, bo flisy często zarobek swój prze hulają w Gdańsku i wracają bez grosza, ale za to pewni są dobrej wieczery u OO. Bernardynów w Świeciu i w Nowem oraz noclegu na słomie w korytarzach i szopach klasztornych.

Przy rozłączeniu się Wisły na dwa koryta w punkcie zwanym Szpicą zwykle odbywa się przeróbka.

Praca ta uprzyjemnia się zabawną ceremonią chrztu fryców i odtąd już są flisami.

Chrzest ten odbywa się następującym sposobem.

Stawiają ołtarz i prowadzą do niego bramę, ale tak niską i tak wąską, że zaledwie korpus ciała na balyku przecinać się może.

Jeden z flisów reprezentuje księdza, ubrany w matę zamiast kapy i w infułę z papieru, a dwóch flisów są ojcami chrzestnymi.

Fryc aspirant wchodzi bramą i gdy jest w połowie, ojcowie chrzestni przytrzymują go za nogi a chrzestny pyta z liny, ukrytą pod kapą, wymierza raz nie bardzo silny, zapytując wiele wódki ofiaruje?

W miarę ofiary zmniejszana bywa dolegliwość, a uporni bólem odpowiadają i są wyszydzeni, poczem następuje biesiada.

Okupem od wszystkich tych ceremonii wyłączyłem się, bo i każdy pierwszy płynący Wisłą jakiego bądź stanu nie jest od nich wyjęty, ale ostatni figiel i mnie w Gdańsku wypłatali i ze mnie się naśmiali.

Na parę mil od Gdańska płynąc Lendwką, szyper wszczął ze mną rozmowę pokazując mi to wspaniałe i starożytne miasto polskie i opisując piękność szerokich ulic i widok; dodał na koniec:

— A czy pan wie o tem, że każdy kto pierwszy raz Gdańsk odwiedza musi ucałować babę

Rozśmiałem się na to, ile powiastka ta w Polsce jest powszechną, ale on serio rzekł do mnie:

— Ja się z panem założę o pięć garncy wódki dla moich ludzi, że to być inaczej nie może.

Przednik i starzy flisi zaczęli się śmiać mówiąc z pewnością:

— Niech się pan nie zakłada, bo niezawodna przegrana. Pobudzony tym przyjąłem zakład.

Przybyliśmy wreszcie do Gdańska; pierwszych dni miał swoje zatrudnienia szyper, ale czwartego dnia rzekł do mnie:

— Pójdź pan ze mną zwiedzić Bursę.

Poszliśmy przeto i z zadziwieniem przypatrywałem się temu gmachowi wspaniałemu, zabytkowi dawnej świetności Gdańska.

Posągi królów polskich zdobią go, a u sufitów zamieszczone są w zmniejszeniu rozmaitej wielkości okręta.

Gmach zaś ogrzewany jest w zimie dwoma piecami z porcelany w małe kafelki.

Z uśmiechem rzekł do mnie szyper:

— Jakiegokolwiek miary jest człowiek, może zmierzyć ten piec wyciągając ręce.

Roześmiałem się na to okazując niedowiarstwo widoczne, lecz on dodał:

— Niech pan spróbuje a przekona się o tem.

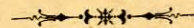
Nie domyślając się podstępu wyciągnąłem obieręce, tak żem ustami przyłożył do kafa; wtenczas z śmiechem zawołał szyper:

— Przegrałeś pan zakład 5 garncy wódki dla moich ludzi.

Gdym go spytał jakim sposobem?

Pokazał mi, że na każdym kafle białym była kobieta tyłem obrócona, tak że koniecznie wyciągając ręce, trzeba dotknąć ją ustami.

Zakład przegrałem, a obecni temu przednik i flisi naśmiali się ze mnie.



Niektóre szczegóły

z życia

Władysława Podczaskiego.

pułkownika 20. pułku piechoty liniowej polskiej.

(1812.)



Wiadomość ta jest czerpaną z opowiadań osób, którym życie pułkownika Podczaskiego bliżej jest znane i obejmuje głównie stosunki tego zasłużonego krajowi oficera z generałem francuzkim Ricard i szczegóły służby jego przy marszałku Neju, oraz wiadomość o pułku dwudziestym i o zasługach pułkownika Podczaskiego w tej ostatniej epoce naszych dziejów.

Zmuszeni jesteśmy pominąć dla braku dokładnej wiadomości inne lata służby wojskowej pułkownika Podczaskiego.

Mamy jednak nadzieję, że własne pamiętniki jego uzupełnią tę wiadomość i sprostują niedokładności opowiadania naszego.

Kiedy wojska francuzkie rozpoczynały wojnę w roku 1812, Napoleon wydał rozkaz, iżby przy każdym jenerale

francuzkim znajdował się jeden oficer polski, pełniący służbę adjutanta.

Podczaski zaszczytnie znany w pułku piątym piechoty liniowej polskiej, oficer czynny, znający służbę, bo przechodził przez wszystkie niższe stopnie, przeznaczony był do pełnienia tej służby przy jenerale francuzkim Ricard, który dowodził przednią strażą korpusu marszałka Macdonalda.

Podczaski, który rokiem pierwej ofiarowane sobie miejsce adjutanta przy jenerale Zajączku dla tego odmówił, że w boju w czynnej służbie i w pułku, który z razu przeznaczony był do Hiszpanii, położyć chciał podstawę swojego usposobienia wojskowego, przyjął ten sam obowiązek przy jenerale francuzkim, dla tego że się czuł już być usposobionym do odpowiedzenia temu zaufaniu i że już nie miał przyczyny obawiać się nieczynności pokoju.

Wzięcie Poniewierza i w nim wielkich magazynów przez wojsko pod dowództwem jenerała Ricard, czyn wojenny, ważny z tego szczególnież względu, że zabrane zapasy posłane do Wilna, zasiliły główną armię, która już zaczynała cierpieć niedostatek, zwróciły uwagę Napoleona na jenerała Ricard, który też przeniesiony został do głównej armii do korpusu marszałka Davoust, z awansem na jenerała dywizyi.

O ile w tej wyprawie i we wszystkich wyprawach nad Dźwiną Podczaski jenerałowi swemu był pomocny, dowodzą świadectwa tego jenerała, dowodzi nadewszystko że się z nim rozłączyć nie chciał i że żądał mieć go przy sobie w głównej armii, do której był powołany.

W przejeździe przez Wimo jenerał Hogendorf adjutant Napoleona, mający sobie poruczone tworzenie wojska litewskiego, znając reputację pułku piątego liniowego piechoty polskiej, prosił jenerała Ricard o kilku oficerów z pułku tego do tej nowej formacyi, a Podczaskiemu ofiarował stopień kapitana; lecz ten pragnąc mieć udział w bitwach głównej armii, odmówił, podając na rozkaz swego jenerała do wojska litewskiego czterech kapitanów, czterech poruczników i czterech podporuczników z pułku piątego polskiego.

Jenerał Ricard za przybyciem do armii objął dowództwo

jednej z dywizyi korpusu marszałka Davoust, która wkrótce przeznaczoną została do wzmocnienia korpusu marszałka Neja, mającego polecenie pozostać w Smoleńsku, zniszczyć fortyfikacye, a następnie formować tylną straż armii.

Marszałek Ney użył dywizyi jenerała Ricard do formowania przedniej straży, czyli raczej do utrzymywania komunikacyi między Napoleonem a sobą.

W tej nowej missyi dywizya jenerała Ricard idąc do Krasnoj, nadeszła na pobojowisko zasłane trupami, zostawionemi działami i furgonami, które świadczyło, że cesarz musiał mieć do czynienia z wielką armią nieprzyjacielską.

Z wiadomością tą jenerał Ricard posłał Podczaskiego do marszałka Neja, który równie przez Podczaskiego kazał powiedzieć jenerałowi Ricard, żeby nie zważając na to, dalej postępował.

Ale gdy znaczne, uszykowane w gotowości do przyjęcia bitwy, kolumny nieprzyjacielskie pokazywać się zaczęły, wysłany powtórnie z tą wiadomością Podczaski, przywiózł od marszałka Neja rozkaz ruszenia naprzód i przebijania się przez kolumny dla otworzenia drogi korpusowi.

Podczaski w tych missyach dał dowody swojej umiejętnej gorliwości, wypełniając dane sobie polecenia ustne z wszelką dokładnością i znajomością rzeczy.

Jenerał Ricard wypełnił rozkaz marszałka i uderzył na kolumny nieprzyjacielskie.

Ale pomimo całego męstwa przebić się nie mógł, bo miał do czynienia prawie z całą armią rosyjską, która dwoma dniami pierwej z głównymi siłami Napoleona bój stoczyła.

Starcie było tak krwawe i sam sztab tak był narażony, że z trzech adjutantów jenerała Ricard, sam był Podczaski, pod którym konia ubito, żywy pozostał.

Na dowód, jaki zapal ożywiało wojsko, nawet pośród klęsk takich, przytaczamy tu jedną okoliczność.

Kartacz ugodził w skronie jenerała Ricard; w poruszeniu głową spadł jenerałowi kapelusz; Podczaski podając mu go i widząc twarz krwią zbroszoną, radzi mu dać się opatrzyć.

Jenerał zamiast myśleć o sobie, zawołał:

— To nic! Niech żyje cesarz! Naprzód!

Ale wszystkie usiłowania były nadaremne.

Wkrótce przybył i sam marszałek, a domyślając się, że to most pod Orszą musi być już zdjęty, nakazał cofanie.

W czasie kiedy już marszałek do cofania się dawał rozkaz, Podczaski spostrzegł, że ułani rosyjscy zabrali kilka dział.

Nie czekając rozkazu, zebrał na prędce co mógł piechoty, odbił działa i na jednym z nich uwiózł generała Ricard, który mocno ranny, może tej okoliczności winien był swoje życie.

Przytaczamy tu wyrazy listu generała Ricard do Podczaskiego, w którym ofiarując usługi dla emigrantów przypomina ten wypadek:

— Uczynię co będę mógł dla szczątków tego wojska bohaterów, które było godne lepszego losu, a tem bardziej dla tego oficera, który należał do mojej rodziny wojskowej i który mnie uratował na polu bitwy.

W ciągu tego cofania przybywali jedni po drugich parlamentarze rosyjscy, przez których Kutusów uwiadomił marszałka Neja, że jest zupełnie odcięty, że go prawie cała armia rosyjska od Napoleona przedziela, że wódz rosyjski przez szacunek dla jego wielkich talentów wojskowych nie śmiałyby mu czynić propozycyi i poddania się, gdyby było podobieństwo przebicia się, że nakoniec pozwala, iżby marszałek Ney posłał jednego z oficerów swojego sztabu dla przekonania się o jego siłach, a wtenczas sam uzna, że mu pozostaje tylko broń złożyć.

Marszałek odrzucił te propozycye, a nie chcąc dać poznać nieprzyjacielowi jaki weźmie kierunek, zatrzymał przy sobie ostatniego parlamentarza, dzisiejszego generała Rennekampfa i cofał się ku Smoleńskowi, a gdy się zmierzchno, zatrzymał się z całym orszakiem na trakcie i zapytał:

— Czy niema tu jakiego polskiego oficera?

Podczaski natychmiast mu się przedstawił.

Marszałek wziął go na stronę, powiedział mu, że ma zamiar rzucić się z korpusem na prawy brzeg Dniepru i że przede wszystkim potrzeba wynaleźć miejsce najpewniejsze do przejścia po lodzie.

Dał mu więc rozkaz, aby z oddziałem jazdy udał się spiesznie dla wyszukania przewodnika, a sam zatrzymał korpus na trakcie i czekał na skutek misyi, od którego zależało ocalenie jego wojska.

Niezadługo wynalazł Podczaski przewodnika, wybałał go w drodze i przyprowadził przed marszałka, donosząc, że o półtorej mili jest wieś, w której zwykle mieszkańcy okolicy, z lasu z drzewem wracając, Dniepr przebywają i że to miejsce równie dla przeprawy wojska będzie dogodne.

Marszałek ruszył natychmiast z całym korpusem w kierunku wskazanym.

Lecz przewodnik był tak pijany, iż wsadziwszy go na jednego z koni podwodowych marszałka, z jednej strony Podczaski, z drugiej adjutant marszałka, późniejszy generał i adjutant Ludwika Filipa, Heymds, musieli go trzymać pod ręce by nie spadł.

Podczaski odpowiedzialny za przewodnika, bo tylko on jeden w całym sztabie z nim rozmówić się mógł, prosi marszałka o pozwolenie mu powtórne oddziału jazdy dla sprowadzenia drugiego przewodnika i sprawdzenia słów pijanego; w położeniu bowiem, w jakim się korpus znajdował, mógł to być człowiek nasunięty przez nieprzyjaciela.

Marszałek pochwalił przezorność Podczaskiego, a ten wziąwszy oddział jazdy, wpada do najbliższej wsi pośród obozu nieprzyjacielskiego, porywa jednego z mieszkańców, a zaczem się Moskałe spostrzegli, opuszcza wieś i wnet stawia go przed Najem.

Nowy przewodnik potwierdził słowa dawniej sprowadzonego.

Przybywa nareszcie korpus do wsi i kiedy wszyscy chronią się do domów nie mogąc znieść trzydziści przeszło stopni mrozu, marszałek zadowolony niez mordowaną czynnością Podczaskiego, posyła go znowu do rzeki dla obrania miejsca przeprawy.

Kto sobie wyobrazi w jakich okolicznościach odbywało się cofanie, łatwo pojmie, że potrzeba było wiele siły moralnej do przytomnej czynności.

Nie znano tam już prawie hierarchii; każdy tylko myślał jak przedłużyć życie, z głodu i mrozu co chwila na bliski koniec wystawione.

Siły fizyczne, pamięć, przytomność, wszystko było bliskie śmierci, a egoizm w całej swej mocy czyli raczej najwyższe prawo natury zachowania siebie, było powszechnem postępowania prawidłem.

Podczaski wrócił do marszałka, opowiedział mu, jakiej grubości jest lód, nie tań także niebezpieczeństwa przeprawy.

Po parogodzinny spoczynku rozpoczęła się przeprawa w części tylko szczęśliwa, bo działa nie mogły być przeprowadzone: zagwożdżone na brzegu zostały.

Po przejściu Dniepru wydarzyła się Podczaskiemu sposobność okazania znowu swojej odwagi i niestrudzonej czynności.

Pomimo że w ciągu dwudniowej walki, on prawie jeden jako więcej niż Francuzi na mróz wytrzymały, do rozwożenia rozkazów marszałka był używany, zwrócił jego uwagę szczególnie przy braniu jednej wsi, której nieprzyjaciel uporeczywie bronił; bo widząc to, tyralierzy francuscy znużeni, zgłodzeni, z rękami odmrożonemi nie dosyć żywo nacierają, zsiada wobec marszałka z konia, porywa za bagnet, rzuca się między nich, zachęca do nacierania i wnet nieprzyjaciel ze wsi został wyparty.

Marszałek bliski świadek tej odwagi, pochwała na głos męstwo i energię Podczaskiego, wina Ricardowi, że ma takiego adjutanta i daje mu rozkaz przedstawienia go do krzyża legii honorowej.

Na trzeci dzień cofania i nieustannie wystawiony na ogień działowy nieprzyjaciół, korpus już ze zmierzchem zatrzymuje się o parę mil od Orszy.

Marszałek rozdzielił go na dwie części, zapewne dla zwrócenia uwagi nieprzyjaciela na dwa punkta.

O północy marszałek z całym sztabem wsiada na konia przywołuje do siebie Podczaskiego i mówi do niego te słowa:

— Młodzieńcze, ty, coś tak roztropny, jedź w tę stronę,

(tu pokazał mu tylko ręką kierunek, nie wymieniając nazwiska wsi) tam stoi druga część mego korpusu, przyprowadź ją tu jak najprędzej.

Tu na nią czekam.

Pośród kozactwa puścił się Podczaski w tę drogę i wkrótce przyprowadził część korpusu, czyli raczej szczątków korpusu w miejsce wskazane.

Tegoż samego poranka marszałek Nej połączył się z główną armią.

Wiadomo, jaką wagę przywiązywał Napoleon do ocalenia korpusu Neja.

Wiadomo, że się dał z tem słyszeć, niespokojny o los jego, że dalby chętnie ten skarb 300 milionów, który posiadał w sklepieniach podziemnych pałacu tuileryjskiego, gdyby z korpusem tym mógł się połączyć.

Można więc wyobrazić sobie i radość, jaką mu sprawiło zjawienie się korpusu Neja i ważność przysługi tych, którzy się prawie stanowczo przyczynili do tego połączenia. Opowiedziane szczegóły widocznie pokazują, że Podczaskiemu należy przyznać wielki udział w tej zasłudze.

Tu kończą się stosunki Podczaskiego z marszałkiem Nejem.

Odtąd aż do dójścia szczątków armii do Polski, zostawał przy jenerale Ricard i podzielał później losy wojska.

Na dwa dni przed bitwą lipską dostał się do niewoli austriackiej i zaprowadzony był do Węgier, zkad po zawarciu pokoju powrócił do zacisza domowego.

Zachowujemy sobie mówić później o czynach Władysława Podczaskiego w czasie wojny 1831.

Tę wiadomość kończymy przytoczeniem dosłownem pisma, w którym jenerał Ricard dane Podczaskiemu po wojnie 1812 świadectwo, już w emigracyi, po 20 przeszło latach potwierdza i zasługi naszego ziomka sposobem tak chlubnym dla niego wyraża i ocenia.

— Podpisany jenerał porucznik, par Francyi, zaświadczam że pułkownik Podczaski, z zakładu oficerów w Bourges, teraz

będący w Paryżu, który służył pod moimi rozkazami, w charakterze wykomenderowanego do mojego boku oficera w ciągu wojny rosyjskiej był jednym z oficerów, którzy w moim sztabie najwięcej się odznaczyli.

Zaświadczam oprócz tego, że wielokrotnie złożył dowody rzadkiej nieustraszoneści i że zawsze był z poświęceniem bez granic dla sprawy Francji, mianowicie w bitwie pod Krasnoe, gdzie moja dywizja pierwsza uderzyła na wojsko rosyjskie, które zagroziło drogę cofającemu się marszałkowi Nej.

W bitwie tej, tak świetnej dla nieszczęśliwego marszałka, kiedy tenże po nadaremnych usiłowaniach przebicia się przez korpus armii nieprzyjacielskiej, zmuszony był nakazać odwrót ku Moskwie i kiedy nie było innego sposobu ocalenia jak rzucić się na prawy brzeg Dniepru, potrzebny nam był przewodnik.

Ale wsie były opuszczone.

Podczaski zaproponował wpaść z oddziałem ułanów polskich do wsi otoczonej jazdą rosyjską i z narażeniem życia był szczęśliwy przyprowadzić z niej chłopą, który nam wskazał młyn, około którego rzeka jeszcze nie była puściła, co pozwoliło nam przeprowić nieco koni i całą piechotę.

Ten czyn waleczny przyczynił się wielce do ocalenia korpusu, jeśli nie był jedyną zbawienia naszego przyczyną.

Sławnej pamięci marszałek oświadczył z tego powodu porucznikowi Podczaskiemu zupełne zadowolenie i upoważnił mnie żądać dla niego krzyż legii honorowej.

Ale żądanie to w nieładzie odwrótu, zapewne zagubione, nie wzięło skutku.

Stopień pułkownika dwudziestego pułku liniowego, którego oficer ten dostąpił w wojnie ostatniej Polski z jej ciemiężcami, usprawiedliwił moje względem niego nadzieje i dowodzi, czegoby się można po nim spodziewać, gdyby rząd

widział się kiedy w położeniu użycia sławnych szczątków wojska polskiego.

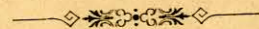
Paryż, dnia 23. listopada 1834.

Podpisano

hrabia *Ricard*.



REITZENHEIM JÓZEF,



REITZENHEIM JÓZEF.



Uważano, że Niemcy austriaccy prędzej się połączą w Galicyi, niż Niemcy pruscy w poznańskim i Prusach polskich, a tem bardziej w Szląsku.

Pochodzi to najprzód ze wspólności religii Austryaków i Polaków; bo lubo Austriacy katolicy we Lwowie mają swój kościół i swoje kazania niemieckie, jednakże w innych miastach galicyjskich, w braku kościołów niemieckich, muszą słu-chać kazań polskich, gdy tymczasem we wszystkich miastach prusko-polskich, rząd skwapliwie pozaprowadzał dla swoich urzędników nabożeństwo luterskie w języku niemieckim odprawiane.

Oprócz tego cudzoziemiec Austriak, przybywając na urzędnika do Galicyi, nie zawsze jest Niemcem, a chociaż go za takiego uważają, bywa Czechem, Morawianem, Słowakiem, Kroatą, Styryjczykiem, Kraińcem, a zatem jako Słowianin łatwo mogącym się nauczyć języka polskiego.

Każdy nawet rodowity Niemiec austriacki, przeznaczony na urzędnika do którego bądź kraju słowiańskiego w monarchii

austryckiej, uczy się nieco języka czeskiego, który mu ułatwia zrozumienie i nauczenie się naszej mowy.

Nareszcie, mniejsza masa Austryaków, nie tyle prze na cztery przeszło miliony Polaków galicyjskich, oddzielonych od niemieckiego kraju innemi prowincjami, ile masa całych Niemiec na półtora miliona Polaków pruskich.

Trudno oznaczyć, o ile mniej lub więcej przyczyniają się do tego połączenia Niemców, usiłowania Galicyan, Wielkopolan i ziomków naszych w starych Prusach i Szląsku.

To pewna, że wszelkie nasze starcia powiuny przerabiać Niemców i Moskalów urzędników, na Polaków i tym sposobem udaremniać politykę naszych zaborców, którzy z każdego z nas chcieliby zrobić Moskala albo Niemca.

Pomimo tego połączenia się Niemców, rzadko zdarzało się widzieć przykłady poświęcenia się dla sprawy Polski, w ludziach tym sposobem dla narodu naszego zyskanych.

Dopiero w czasie wojny 1831 przykłady podobne stały się częstsze.

Synowie ojców, wysłanych do Galicyi i do prowincji prusko-polskich, dla niszczenia naszej narodowości, synowie kupców moskiewskich, osiadłych w Warszawie, przejęci świętością naszej sprawy, zapomnieli o swym pochodzeniu i pamiętając tylko o tem, że są ludźmi, spieszyli na pole bitew bronić sprawy ludzkości.

Józef Reitzenheim lubo z matki Polki i sam w Krakowie urodzony, lubo należący z tego względu do naszego narodu, z rodu wszakże ojca, z wysokiego położenia tegoż jako radey rządu galicyjskiego, z położenia własnego, bo sam był już urzędnikiem galicyjskim i jako syn znakomitego urzędnika miał przed sobą pod rządem austryackim bardzo korzystne widoki osobiste, że nie powiem, z nazwiska swego, uważany był z kądem inąd za Austryaka i w rozumieniu powszechnem miany był w Galicyi za należącego do młodzieży austryackiej.

Okoliczności, pośród jakich porzucił swój urząd, zadał niejako gwałt uczuciom syna i poświęcił dla sprawy Polski uczucia rodzinne; przykład jego, który pociągnął za sobą wielu młodych galicyjskich Niemców, a za nimi wielu z młodzieży

polskiej w Galicyi; osobista wartość tego młodzieńca, podziwiającego z nami tułactwo, nadają niewyczerpaną wagę emigracyi jego głośniejszej w całej Austrii.

Wiadomo jest, że na odgłos naszej wojny 1831 roku, Galicyanie, a pomiędzy nimi i synowie Niemców opuszczali Galicyę i wchodzili do szeregów polskich.

Nie wiadomo, ilu z razu opuściło prowincyę; z samego Lwowa przy końcu grudnia 1830, pospieszyło do wojska polskiego 30 młodzieńców.

Dowiedziano się o tem w Wiedniu i emigracya ta spowodowała reskrypt nadworny, w którym rządowi galicyjskiemu naganiono, że emigracyi szczególnie o ile się tyczy młodzieży niemieckiej, powściągnąć nie może. Rząd lwowski musiał się usprawiedliwiać.

Odpowiedź rządu zasadzała się na tem, iż gubernium wydało najsurowsze polecenia nieprzepuszczania ludzi do Polski, lecz niepodobna mu jest zapobiedz zupełnie przekradaniu się przez suchą i rozległą granicę, młodzieży znanej ze swego złego i burzliwego ducha, że w takim stanie rzeczy, gubernium uważa to poniekąd za pomyślną sposobność pozbycia się niepokojnej młodzieży.

Co się zaś tyczy synów niemieckich urzędników, odpowiedział rządcą, że to jest zapał młodociany, który dalszych skutków za sobą nie pociągnie.

Rozkazano fiskusowi rozciągnąć sekwestr na własność emigrantów i zapewniono rząd naczelny w Wiedniu, że dołożone będą starania, aby dalszej emigracyi zapobiedz.

Wkrótce po odesłaniu tej odpowiedzi do Wiednia, radca rządowy Reitzenheim, pomimo że baczny nadzór rozciągnął nad swoim synem, którego uczucia nie mogły być dla niego tajemnicą, ujrzał się w liczbie tych urzędników austryackich, których synowie pospieszyli także podzielać losy wojska i powstania polskiego.

Młody Reitzenheim zaczął być czynić przygotowania do ujechania w granice królestwa polskiego, jak tylko dnia 8. lutego doszła wiadomość do Lwowa o ruchach wojska moskiewskiego i zaraz nazajutrz postanowił Lwów opuścić.

Spieniżył niektóre kosztowności i już sam miał wyjeżdżać, kiedy trafem spotkał dawnego znajomego urzędnika z administracji cłowej, Kamila, który go uwiadomił, że idzie do Polski.

Zadziwienie ich i radość wzajemna były wielkie, gdy mu Reitzenheim myśl podobną otworzył.

Postanowili więc obadwa Lwów i Galicyę opuścić.

Podróż tę i pobyt w wojsku Reitzenheima spodziewamy się otrzymać w oddzielnym pamiętniku.

Wyjazd Reitzenheima sprawił we Lwowie między młodzieżą i urzędnikami wielkie wrażenie.

Po nim zaraz opuścili potajemnie Lwów Van-Roy, syn konsyliarza rządowego, Julian Weber, syn sędziego apelacyjnego, Ostermann, syn starosty sanockiego, Rosenberg, oficer z piechoty, Tilzen, Gross, synowie innych urzędników, a za przykładem tym młodzież polska tłumami uchodzić zaczęła, zwłaszcza wtenczas, kiedy o dzielnym oporze wojska polskiego w dniach 19. 20. i 21. lutego, do Lwowa doszła wiadomość.

Rządca galicyjski książę Lobkowicz przesłał wkrótce potem nowy raport do Wiednia, w którym uwiadomił, że Galicyanie masami uciekają i że tej dezercyi wstrzymać niepodobna.

Powiadają, że książę Metternich, takiego wyrazu opinii w Galicyi wcale się nie spodziewał i nie sądził, iżby w tej części Polski tyle było się znajdowało materiału palnego.

Już więc przy opieraniu się dalszemu z kraju wychodzeniu nie kazał się upierać; ale zapewniają, że go zatrwożyło wychodzenie urzędników niemieckich, lub ich synów, gdyż to nie patryotyzmowi polskiemu, lecz myśłom liberalnym i duchowi rewolucyjnemu przypisywał.

Miał więc przysłać do rządu galicyjskiego nowy i bardzo ostry reskrypt, w którym księciu Lobkowiczowi wyrzucił, że nie zna stanu umysłowego w Galicyi, inaczej na pierwszy reskrypt nie byłby odpowiedział, że manifestacye młodych Niemców są tylko zapalem młodocianym.

Co do cesarza austriackiego ten miał się tak wyrazić:

Że Polacy tam przechodzą, to mię nie dziwi; byli oni od dawna zapaleńcami (tolle Köpfe).

Ale, czego tam szukają moich urzędników synowie, tego nie mogę pojąć; wszakże na Boga. za piecem nie będzie im lepiej, jak u mnie.

Łatwo pojąć, dla czego cesarz Franciszek nie rozumiał, czego tam w boju polskim, w boju obrażonej ludzkości, szukała młodzież nawet niemiecka.

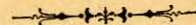
W ciągu wojny, Reitzenheim odpowiedział godnie swemu nowemu powołaniu, a gdy razem z nami broń złożyć był zmuszony, podzielał naszą żalność, podziela teraz nasze losy za granicą, podziela nasze nadzieje i postanowił pozostać wierny zawodowi, który ma zapewne swoje przykrości, ale w którym człowiek tak szlachetnego, jak Retzenheim umysłu, widzi udział w zasłudze, nieobojętnej dla każdego narodu.



PAMIĘTNIKI

Michała Lisieckiego.

Naczelnika powstania nad granicami Kurlandyi.



PAMIĘTNIKI

Michała Lisieckiego

naczelnika powstania nad granicami Kurlandyi.



ROZDZIAŁ I.



Dzień 29. listopada ta pamiętna w historii polskiej epoka, w której Warszawa dała hasło do boju o niepodległość narodową, nie był obojętny dla żadnej prowincyi dawnej, obszernej, potężnej Polski.

Litwa i Żmudź przyjęły to hasło z największem patryotyzmu uniesieniem, a serca mieszkańców tych prowincyj wierne ojczystej sprawie, przejęte nienawiścią ku tyranowi, szarpiającemu łono ojczyzny, burzyły się potajemnie przez trzy miesiące chęcią nieograniczoną pospieszenia z pomocą swoim nadwiślańskim braciom, których bohaterskie zwycięstwa codziennie się odbijały o ziemię Jagiellonów.

Słowo Grochów było talizmanem szczęścia tajemniczego i przechodząc z ust do ust, z serca do serca, pomnażało ruch

rewolucyjny, który starannie musieliśmy ukrywać przed oczyma i słuchem służalców cara.

Porywając on swojemi dzikiemi ukazy z łona ojczyzny i familii znakomitszych mężów Litwy i Żmudzi i uwożąc ich w stepy syberyjskie, chciał tym barbarzyńskim krokiem rzucać postrach w całą krainie i wstrzymać usiłowania insurekcyjne jędrnej młodzieży.

Otoczeni bagnietami, któremi cała najeżona była prowincya, z zalanem gorzką łzą okiem, musieliśmy spoglądać nieczynni na te ofiary barbarzyństwa Mikołajowskiego.

Dopiero gdy car zapewniony podpisami i zaręczeniem marszałków gubernialnych i powiatowych w imieniu całej szlachty o wierności jej dla siebie i zabezpieczony przysięgami po kilkakrotnie wykonanemi przez wszystkich urzędników, przeprowadził przez Litwę gwardye swoje i ściągnął wszystkie oddziały wojsk do głównej armii, którą Dybicz na wstyd i hańbę cara zbliżył ku Warszawie, dopiero mówię, kiedy despota jeszcze nowemi naborami rekrutów i żądaniem nowych magazynów, przeszedł wszelkie granice swojej samowolności i wyczerpnął wymuszoną cierpliwość — najprzód lud wiejski pod pozorem uniknięcia naborów rekrutkich, zgromadzał się w lasach i tam gotował się do przyszłej walki, a potem obywatele i szlachta, połączwszy się z tymże ludem, najprzód na Żmudzi a następnie we wszystkich okolicach Litwy, zapalili otwarcie święty ogień partyzanckiej wojny.

Patryotyczna młodzież cisnęła się pod chorągwie narodowe, ojcowie opuszczali dzieci, mężowie rozłączali się z żonami, spiesznie dążąc do boju o niepodległość Polski i swobody ojczystej, a hasło wolności stało się powszechnem.

Wiele Litwinek na wzór swojej bohaterki Emilii Plater, przywdziały na siebie zbroje i stanęły w szeregach wojska narodowego.

Inne damy trudniły się przysposobianiem ładunków, odzienia i szarpi.

Tą koleją poformowały się liczne na Żmudzi i Litwie oddziały partyzantów.

Opis, jak się tworzyły, jak działały, do historii a raczej

należy do szczególnych dowódców, którzy szczegółowo i bezstronnie, winni zdać sprawę ze swoich usiłowań.

Przystępuję więc do mojej powinności i jako naczelnik znacznego w powiecie wilkomierskim powstania, zdaję sprawę z czynności mojego oddziału.

Jeszcze przed powstaniem listopadowem w Warszawie, ujęty wdziękami i przymiotami piętnastoletniej Litwinki, w następnym roku już w czasie wojny w królestwie polskiem, w końcu miesiąca lutego, przysiągłszy przed ołtarzem dozgonną miłość, udałem się z żoną do Wilna, dla pełnienia urzędowych moich obowiązków.

Zaledwie jedno odbyłem posiedzenie, kiedy członek tajnego towarzystwa, znakomity w kraju urzędnik, jadącego mnie na spacer do Antokola zatrzymuje, i wsiadłszy do mojego pojazdu, zawiadomia mnie o zbliżającej się chwili, w której Żmudzini postanowili rozpocząć otwarcie kroki nieprzyjacielskie z Moskalami, poczem zobowiązuje mnie, abym natychmiast opuścił Wilno i udał się jak najspieszniej w swoje okolice dla poparcia ruchów na Żmudzi rozpocząć się mających i zapalenia powstania nad Dźwiną.

Dodał, iż ma pewną wiadomość, że Wilno najdalej za parę dni zostanie zamknięte i że skutek mojej wyprawy zawisł od pospiechu.

Zakończył temi pamiętnemi dla mnie słowy:

— Znam twoją gorliwość obywatelską, twoje polskie serce i spodziewam się, iż pomimo tak przykre twoje jako nowożeńca położenie, obierzesz drogę, którą ci Polska wskazuje, a w każdym razie zachowasz grobową tajemnicę.

Poczem ścisnął mnie za rękę i wysiadł z pojazdu.

Uradowany tak szczęśliwą dla mnie wiadomością nie ważyłem się na chwilę w wyborze między miłością żony a miłością ojczyzny, natychmiast zawróciłem do mieszkania i tego dnia jeszcze, kazawszy zrobić przygotowania do podróży i ukrywając tajemnicę w głębi serca przed żoną i osobami, które mnie otaczały, opuściłem Wilno, dążąc najspieszniej ku domowi, w okolice nadkurlandzkie do Porakiszek, dziedzicznego mojego majątku.

Trzy dni podróży przez rozstawione na gościńcu obozy moskiewskiej gwardyi, zdawały się być wiekiem; zdawało mi się, że każdy ruch wojska był skutkiem odkrycia moich zamiarów; że każdy kuryer, co mię nadpędził, gonił za mną, wysłany z Wilna.

W takim wzruszeniu przybyłem do domu, zkąd natychmiast udałem się do Soł, rezydencyi hrabi Benedykta Morykoniego, który zaszczycał mnie swoją przyjaźnią i zwierzyłem mu się ze wszystkich moich planów.

Zaledwie sędziwy starzec te porywające słyzy słowa:

— Przyszła chwila poświęcić wszystko dla ojczyzny!

Odzyskuje siły młodzieńcze i uniesiony zapałem czystego patriotyzmu, chce sam osobiście służyć ojczyźnej sprawie.

— W twoim wieku panie hrabio — rzekłem — nie wymaga od ciebie ojczyzna osobistych usług; ale daj na początek powstania z dwóch chat jednego żołnierza.

— Jeśli tyle tylko wymagacie, odpowiedział, to nie chcę należeć do powstania; wtenczas tylko przystąpię, gdy z dwóch chat weźmiesz trzech żołnierzy.

Na te słowa rozplakaliśmy się we wzajemnych uściśnieniach.

Natychmiast zacny ten obywatel chce zgromadzić włość swoją, chce ją sam do boju prowadzić; lecz obciążony wiekiem i zwątlony na zdrowiu, chwilę swego uniesienia przyplącił nagłą słabością, która mu odjęła siły.

Z boleścią więc widząc że sam osobiście nie może w potrzebie ojczyzny, powierza mnie wszystkie swoje obszerne dobra, oddaje klucze od swoich skarbów i zobowiązuje, abym niczego nie szczędził, owszem cały majątek, jeżeliby tego była potrzeba, obrócił dla sprawy Polski.

Pod tak pomyślną dla przedsięwzięcia wróżbą, zacząłem czynić przygotowawcze kroki.

Soly, odwieczna rezydencya domu hrabiów Morykonich, ma ogromny i wspaniały pałac, obszerne oficyny, kaplicę, liczne budowle do gospodarstwa należące, w których cała krestencya się znajdowała.

Cały ten dwór stanowi wielką wyspę otoczoną dwoma

wielkimi jeziorami, stykającymi się z sobą, z jednej strony przez szeroką rzekę, płynącą środkiem bagna długości około 200 sążni, a z drugiej niedostępną trzęsawicą, około 100 sążni rozległą.

Dwa mosty zwodzone, jeden na rzece, drugi na trzęsawicy, były jedyną komunikacją do wjazdu na wyspę.

Tego jeszcze dnia zwiedzone zostały obadwa mosty.

Korzystając z położenia miejsca, uchylonego przez naturalne granice od wszelkich podsłuchów policyi, kazałem kowalom dworskim kuć piki, odchyłać kosy i przysposabiać drzewca do ich osadzenia, a zebrawszy wszelki, jaki się we dworze znajdował, zapas prochu i zakupiwszy go w okolicach gdzie tylko można go było dostać, oddałem go w ręce dam, składających familię dworu, a te z najradośniejszem uniesieniem, ukryte w internach pałacowych, delikatnymi rękami kleiły i nasypywały ładunki; inne zajęły się szyciem kokard narodowych i haftowaniem chorągwi dla powstańców.

W tem doszła nas pożądana i niecierpliwie oczekiwana wiadomość o wybuchnięciu powstania na Żmudzi i jak iskra elektryczna, przebiegła przez wszystkie serca prawych Polaków, dobrych synów ojczyzny.

W końcu marca 1831, zwołałem całą włość Solską i Świadorską hrabi Benedykta Morykoniego, marszałka Zawilejskiego, a wybrawszy z niej ludzi, mogących dźwigać oręż i znosić trudy wojenne, uzbroiłem każdego to w pikę, to w kosę, to w innego rodzaju broń na prędce przysposobioną, lub znalezione w zapasach odwiecznych zamożnego dworu i tak ujrzałem się na czele dziewięciuset przeszło ludzi, pałających żądzą walczenia przeciw ciemierzcom ojczyzny.

Zgromadziłem wszystkich około siebie, ująłem w rękę chorągiew, na której szczycie jaśniał orzeł biały z rozpiętymi skrzydłami, a w polu kolorów narodowych, pędził rycerz litewski, przemówiłem do otaczającego mnie ludu w języku prowincjonalnym litewskim, opowiadając mu cel naszego powstania, zachęcając mężstwo i roztrpność.

Zakończyłem wezwaniem wszystkich do kaplicy, w której ksiądz kapelan miejscowy z ceremonią religijną już czekał,

abyśmy przed ołtarzem Przedwiecznego wykonali przysięgę wierności ojczyźnie i sprawie wolności.

Otoczony damami, które niosły do poświęcenia narodowe kokardy, podałem rękę dziedzicowi dóbr, hrabi Benedyktowi Marykoniemu, i weszliśmy wszyscy do kaplicy, gdzie kapłan po odspiewaniu mszy św. błogosławił orężowi polskiemu i poświęcił wszystką broń, złożoną u stóp ołtarza.

Poczem poświęcił kokardy i przyjąwszy je od dam, własną ręką przyszpilał je każdemu powstańcowi.

W ciągu tej uroczystości, muzyka nadworna grała marsz: *Jeszcze Polska nie zginęła!*

Po rozdaniu broni i kokard, kapłan zawezwał do wykonania przysięgi i najprzód przyjął ją odemnie w następujących słowach:

— Ja Michał Lisiecki, przysięgam Panu Bogu wszechmogącemu, jako przyjmując dowództwo nad zgromadzonym tu ludem, poprowadzę go tam, gdzie dobro Polski i wolności wymagać będzie, że wierny sprawie ojczystej w niczem nie nadużyję władzy mnie powierzonej i nigdy pod żadnym względem nie skieruję onej ku moim osobistym widokom.

Tak mi Boże dopomóż w Twojej św. Trójcy.

Następnie wszyscy powtarzali za księdzem słowa przysięgi ogólnej:

— Jako będę wiernie służył sprawie ojczystej, jako raczej umrę pod kartaczami wrogów, niż opuszczę szeregi bratnie, jako będę z uległością wykonywał to wszystko, co mi naczelnik dzisiejszy, lub inne władze przewodniczące zalecą,

Poczem wyszedłszy z kaplicy cały oddział trzykrotnie za mną powtórzył w języku litewskim:

— Precz Moskale! Niech żyje Polska! Niech żyje wolność.

Po tym uroczystym obchodzie religijnym, nowi żołnierze narodowi zasiedli do przygotowanej uczty, po której nastąpił podział siły zbrojnej wedle następującego porządku:

Lud cały uzbrojony w piki i kosy stanowią pułk piechoty Solskiej.

Podzielony został na cztery kolumny, w których pierwsze szeregi miały piki, a drugie kosy.

Pierwszą dowodził Augustyn Matulewski, uekwipowany własnym kosztem i na własnym koniu.

Drugą

Trzecią Maciej Matulewski, również własnym kosztem uzbrojony i na własnym koniu, nadto ten Matulewski trzy konie z rynsztunkiem, 50 korcy owsa i 20 wozów siana, co stało nowiło cały jego majątek, oddał na ofiarę ojczyźnie.

Czwartą kolumną dowodził waleczny Narkiewicz, któremu we cztery miesiące później w szturmie Szawel, kula działowa obie nogi urwała.

Całego pułku dowództwo powierzyłem przez zastępstwo bohaterowi niegdyś pod Saragossą, majorowi Sierakowskiemu, sam bowiem hrabia Morykoni był nominalnym pułkownikiem pułku Solskiego.



ROZDZIAŁ II.



Leśniczowie, strzelcy, dworscy i ci wszyscy ochotnicy, co mieli broń palną, tworzyli legię pieszą Świadoską, złożoną ze 200 przeszło strzelców celnych, którą zwiększoną wkrótce przez nowo przybywających ochotników i podniesioną do 300 ludzi, oddałem pod dowództwo oficera od inżynierii przy szosie Wolickiego, z podniesieniem go do stopnia majora, stosownie do oddziału, który wziął pod swoje dowództwo.

Legia ta była podzielona na cztery kompanie, dowodzone przez obywateli kapitanów Wojnicza, Kołędę i

Na ostatek z wybranych ludzi uformowałem szwadron kawaleryi.

Najpiękniejsze konie wierzchowe i cugowe stajni hrabi Morykoniego w liczbie 60 oddane zostały na usługę krajowi, do tych dołączyłem 10 własnych i tyleż ochotników z okolic.

Słowem, szwadron liczył 80 koni, którego dowództwo poruczyłem dawnemu wojskowemu kapitanowi Kiborsztowiczowi.

Czterema plutonami jego szwadronu dowodzili porucznicy Antoni Kupść, Szembek, Wilkowski i Derbut.

Pierwszy pluton miał bogate ubiory huzarów węgierskich, znalezione w składzie pałacowym, trzy inne były ubrane w mundury ułańskie, uszyte na prędce z sukna, znalezionego

w magazynach dworu, to jest kurtki granatowej z paliowemi kołnierzami, białemi rabatami i czapki ułańskie paliowe.

Pluton huzarów uzbrojony był w karabinki i palasze, a ułani mieli lance i pistolety.

Chorągiew tego oddziału, powierzyłem drugiemu Szembekowi, który aż do samego końca wojny partyzanckiej, to jest aż do przyścia wojska polskiego na Litwę z największą przeornością i najgodniej tego obowiązku dopełniał.

Tak uorganizowawszy oddział cały, przez pięć dni na wyspie dobrze obwarowanej, oswajałem powstańców z pierwszemi obrotami wojny partyzanckiej.

Poczem wyruszyłem z całą siłą przeciw nieprzyjacielowi posuwającemu się z Dyneburga ku Uścianie dla poskromienia powstańców.

Zebrawszy ostatnie siły, czcigodny hrabia Benedykt Marykoni, siadł ubrany w mundur ułański na konia i prowadził oddział milę drogi, lecz osłabiony ostatecznie na siłach pożegnał nas i sam schronił się do lasów, gdzie ukryty cały czas powstania przemieszczał w chacie leśniczego.

Duchowieństwo każdego miasteczka, do którego zbliżaliśmy się w przechodzie, występowało w całej pompie kościelnej dla spotkania wojska narodowego i błogosławienia orężowi Litwinów.

Rabini dziesięcioro przykazania wystawiali, ofiarując chleb i sól na znak przychylności.

Tak postępując spiesznym marszem dnia 2 Kwietnia stanąłem w Uszpolach, hrabstwie księcia Sapiehy, gdzie zastałem znaczny oddział uzbrojonych powstańców pod dowództwem obywatela pułkownika Ferdynanda Grotkowskiego, z którym połączywszy się w pierwszych chwilach naszego powstania w Uszpolach, odtąd przez cały prawie czas powstania, połączonemi siłami wzajemnie wspierając się wspólnie dzieliliśmy trudy i niebezpieczeństwa wojenne.

W Uszpolach Grotkowski wniósł zaskarzenie przeciw Łucyanowi Krzykowskiemu, jako ten korzystając z pierwszych chwil ruchu dopuścił się w wielu miejscach rabunków przez

zabieranie i sprzedawanie żydom koni i nakładanie kontrybucyi.

Oddałem więc Krzykowskiego pod sąd wojenny i gdy się okazało, że w istocie konie rabował i sprzedawał, kontrybucye nakładał, a mianowicie w samych Uszpolach majątku księcia Sapiehy, wymógł u rządcy 100 dukatów złotem, które przy nim znalezione zostały, co wszystko własnem zeznaniem potwierdził.

Sąd wojenny skazał go na rozstrzelanie; lecz dla spełnienia wyroku postanowiono odesłać Krzykowskiego do rządu tymczasowego w Wiłkomierzu.

Posłano go tam, ale w drodze Kozacy napadli na straż i udającego się pod ich opiekę odbili i z sobą uprowadzili.

W tym czasie rząd powiatu Wiłkomierskiego przesłał mi urzędową nominację na naczelnika siły zbrojnej w okolicach Nadkurlandzkich, powierzając mi głównie straż powiatu od napadów nieprzyjacielskich, praktykowanych z twierdzy Dyneburga.

Dnia 4. Kwietnia z rana Lisiecki i Grotkowski zlustrowali swoje oddziały i zachęciwszy lud zgromadzony stósowną odezwą, ruszyli ku Ucianie i stanęli pod wieczór obozem w Wizanach naprzeciw nieprzyjacielskiego obozu generała Szyrmana, rozlokowanego o 10 wiorst w Ucianie, gdzie tenże generał w przeszło 2000 piechoty, z czterema działami okopał się.

Tu zaczęły się codzienne utarczki patrolowe, bez żadnej z obu stron straty, z tą tylko dla niedoświadczonego naszego wojska korzyścią, że oswajając je do ognia, sposobiły je do stoczenia stanowczej bitwy.

Zajmowaliśmy zawsze pozycję tak, aby w razie porażki, bez wielkich strat można było całą uprowadzić siłę.

W tym czasie jeden znakomity obywatel, czynnie pracujący nad powiększeniem sił naszych, przysłał Lisieckiemu cztery pułki i działa i oddział 35 ludzi z własnego majątku, uzbrojonych, umundurowanych i opatrzonych w dostateczną amunicję pod dyrekcją dymisjonowanego z wojsk polskich kanoniera walecznego Bitynowicza.

Przeznaczyłem 16 ludzi do służby przy działach, resztę przydzieliłem do strzelców Wolickiego.

Użyłem działka do zabezpieczenia obozu, stawiając na pozycyi dwa na gościńcu od Wiłkomierza, a dwa drugie przed mostem na rzece Wizunie, przedzielającej obóz nasz od obozu nieprzyjacielskiego.

Obywatele z pobliskich okolic najstaranniej dostarczali wszelką żywność dla ludzi i furaz dla koni, a przysłany magazyn żywności z majątków hrabi Morykoniego zaopatrzył wojsko na dni dziesięć.

Tak zabezpieczeni, zaczęliśmy nowe wojsko przyuczać do ćwiczeń wojennych, w których major Wolicki niezmordowaną pracą odznaczał się, odbywając musztry to z kosynierami, to ze strzelcami, oswajając pierwszych z utrzymywaniem porządku i linii w czasie ataku, drugich ucząc służby tyralierskiej.

Ja zajmowałem się administracją całego oddziału, zbadywaniem wszelkich poruszeń nieprzyjacielskich, przysposobianiem amunicyi, komunikacją z dowódcami prawego i lewego skrzydła naszego, a resztę czasu poświęcałem mustrze konnej, ucząc jazdę moją zmiany frontów, odłamywania się plutonami, formacyi szwadronu i flankierowania.

Dnia 11. Kwietnia patrol nasz posunął się pod sam obóz nieprzyjacielski i zmuszony został stoczyć żwawą utarczkę z posterunkiem rosyjskim.

Tam dowódca patrolu, kapitan Kiborsztowicz dał znakomite dowody męstwa swojego i w piętnaście koni zmusił pluton piechoty do ucieczki za rzekę.

Bronili Moskale zawzięcie mostu, lecz Kiborsztowicz pałaszem utorowawszy sobie drogę, pierwszy wpadł na most, zajął go i kazał zniszczyć ułanom a spuściwszy zastawki przy młynie wodnym, nagłym wylewem rzeki, zabezpieczył się przed przybywającą asekuracją, którą generał Szyrman przeciw niemu wysłał.

Zabrawszy dwie beczki wódki, którą Moskale prowadzili i sześć sztuk broni zdobywszy, powrócił do obozu.

Dnia 13. Kwietnia Lisiecki i Grotkowski zwołali radę

wojenną ze wszystkich oficerów, na której uradzono zbliżyć się pod samego nieprzyjaciela, zająć las pod samą Ucianą, porozumieć się z oddziałem Cezarego Platera, Horodeckiego i Kurmina, wyznaczyć dzień, w którym wspólnie ze wszystkich stron w sile znacznie przeważającej mieliśmy uderzyć na Szyrmana i stanowczą mu wydać bitwę.

Wysłaliśmy więc w tym celu z depezbami porucznika Kazimierza Bienieckiego do oddziału Platera i Horodeckiego a sami Grotkowski i Lisiecki, zostawiając tymczasowo obozu do wództwo majorowi Wolickiemu, udaliśmy się do Pakoń dla porozumienia się z Kurminem, który ze swoim oddziałem utrzymywał straż na szosie z Uciany do Wilkomierza.

Po wspólnym zniesieniu się, wyznaczony został dzień 19. Kwietnia, w którym połączone oddziały Lisieckiego i Grotkowskiego, miały o godzinie 10 przed południem uderzyć na środek, Plater z Horodeckim na prawe a Kurmin na lewe dotykające szosę od Wilkomierza skrzydło obozy Szyrmana.

Robiliśmy więc wszelkie do tej wyprawy przygotowania, gdy tymczasem dumny generał moskiewski, ufny w swoje działa, postanowił dla otworzenia sobie drogi na Żmudź, uderzyć na oddziały Lisieckiego i Grotkowskiego wtedy właśnie, kiedy ci ruszyli całym obozem ku Ucianie.

Tak więc niespodzianie dnia 15 Kwietnia pod wsią Kaleki, pierwszy raz w otwartym polu zmierzyły się siły powstańskie z wojskiem rosyjskim; pierwszy raz huk dział zabrzmiał uszom powstańców.

O godzinie 8 z rana, postępując z moją kawaleryą w awangardzie, układaliśmy z Wolickim plan wytknięcia obozu, gdy nagle ujrzyliśmy lud uciekający ze wsi Kalek z przerażeniem i krzykiem:

— Moskale! Moskale!

Polecilem natychmiast Wolickiemu zebrać swoją legię Świaduską i zająć górę pod wsią, posłałem mego adjutanta Hofmana z rozkazem, aby major Sierakowski najspieszniej z kosynierami zajął mogiły porośłe drzewem, oraz aby Bitynowicz z działami pospieszył na górę, już zajęta przez majora

Wolickiego i z tej dominującej drodze pozycyi raził i wstrzymał nieprzyjaciela.

Sam zaś ukrywszy kawaleryę w dolinie i wysławszy gońca do Grotkowskiego, który postępował w awangardzie, zawiadamiając go o nieprzyjacielu i o moich pierwszych urządzeniach i wzywając, aby oddział swój w odwodzie zatrzymał, ruszyłem do wsi dla przekonania się naoczno o sile nieprzyjacielskiej i o jej rozpołożeniu. Ledwo wjechałem do wsi, ujrzałem batalion piechoty moskiewskiej, w dolinie przed karczma, gdzie wódkę żołnierzom rozdawano.

Na widok mnie wysunęło się kilku oficerów na koniach włościańskich, wołając po rosyjsku, abym się do nich zbliżył.

Po długim z obu stron certowaniu się, zbliżyliśmy się do siebie o kilkadziesiąt kroków.

W tem dwaj oficerowie rosyjscy podstępnie wystrzelili do mnie z pistoletów i cofnęli się; strzeliłem wzajemnie za nimi, a w tem dowodzący sztabsoficer kazał batalionowi odsłonić działa i ruszył całą kolumną naprzód.

Ledwo Moskale wieś przeszli, natychmiast dali ognia z dwóch dział i posunęli ku nam tyralierów.

Wziąwszy pluton huzarów utrzymywałem ogień flankierski, nim Wolicki zdążył z piechotą.

W ciągu tego flankierowania raniono mocno dwa konie i jednemu huzarowi lekko nogę przestrelono.

Flankierzy moi kilku ranili Moskali.

Wnet przybył Wolicki ze strzelcami a Bitynowicz z działkami tak blisko podsunął się z boku po nieprzyjaciela, że dawszy ognia kartaczami ze wszystkich czterech działek, znaczną zadał stratę nieprzyjacielowi, który przerażony tym niespodziewanym obrotem i hukiem dział, oraz silnie natarty przez Wolickiego, zwinął kolumnę i cofnął się do wsi.

W tem Grotkowski słysząc kanonadę, przysłał pluton kawaleryi pod dowództwem Machwica i oddział strzelców pod komendą Wilhelma Łukaszewicza, tak iż z siłami wzmocnionymi uderzyłem na Moskali, zmusiłem ich do cofnienia się i zająłem plac bitwy.

Zostawiwszy piechotę we wsi z której Moskali ze stratą

się wycofali, sam z kawalerią w towarzystwie Wolickiego, Machwica i Łukaszewicza, pędziliśmy aż do lasu Moskali, którzy tam połączyli się z posiłkiem, idącym im w pomoc.

Korzystając z przestrchu Moskali, wzięłem 50 koni i rzuciłem się w lewo ku Rzeszy i przebywszy rzekę wpław zaatakowałem niespodziewanie prawe skrzydło nieprzyjaciela, a rzuciwszy postrach i położywszy na placu kilku żołnierzy moskiewskich, wieczorem cofnąłem się do lasu i wkrótce połączyłem się z oddziałem z pomyślnej rozprawy i wraz z Grotkowskim rozłożyliśmy się obozem pod Kalekami i sposobiliśmy się na dzień umówiony do bitwy.

Nie zaniedbując korzystać z pierwszej wygranej, podnosiliśmy ducha w powstańcach, których energia do najwyższego posunięta była stopnia.

Nadszedł nareszcie niecierpliwie oczekiwany dzień 19. Kwietnia.

O godzinie 7 z rana oddziały Lisieckiego i Grotkowskiego ruszyły z pod Kalek ku Ucianie w następującym porządku:

Obadwa naczelnicy z połączoną kawalerią, wynoszącą 200 koni, szli w awangardzie prowadząc z sobą działka partyzanckie.

Waleczny major Wolicki prowadził kolumnę strzelców celnych.

Łukaszewicz i Matulewski dwiema oddzielnymi kolumnami, z których każda miała po 500 kosynierów postępowali w małym odaleniu.

Major Sierakowski z resztą strzelców i kosynierów, oraz z plutonem kawalerii, zamykał korpus i stanowił rezerwę.

O godzinie 10 z rana, stanęliśmy pod Ucianą spodziewając się zastać tam oddziały, które stosownie do porozumienia, także w tym dniu wyruszyć miały.

Wziąwszy pluton ułanów z porucznikiem Wilkowskim, udałem się pod same miasteczko dla obejrzenia pozycji i

uprzątnienia przeszkód; jakoż kazałem na rzeczce postawić most, który Moskale znieśli i wysłałem Wilkowskiego dla powzięcia języka u żyda w karczmie stojącej na końcu miasteczka.

Łedwo Wilkowski zbliżył się do karczmy i zawołał na żyda, natychmiast wysypało się z niej przeszło sto Moskali i gęstym rotowym ogniem uderzyło na mój pluton ułanów, który rozsypawszy się na flankiery zwolna się odstrzeliwał.

Posłałem zaraz adjutanta mego Hofmana z rozkazem, aby major Wolicki ze strzelcami zajął lewe skrzydło i poza górę nad rzeczką wkroczył między domy, opanował jaką chatę i ztamtąd, rozpoczynając ogień, posuwał się coraz dalej w środek miasta a jednocześnie aby Matulewski z kosynierami starał się z prawej strony wpaść do miasta i pikami wyprzeć z rynku Moskali.

Ja zaś wspólnie z Grotkowskim z całą kawalerią uderzyliśmy na środek.

Tyralierzy moskiewscy zebrali się w kupki, następnie w kolumnę, a nie mogąc wytrzymać naszej szarży, cofnęli się do miasta.

Puścił się za nimi w pogoń waleczny Łukaszewicz, a połączywszy się w mieście z Wolickim, który już gwałtownie pędził przed sobą uciekających nieprzyjaciół, zajęli obadwa całe miasto i zetknęli się z prawem skrzydłem, na czele którego nieustraszonego kapitan Maciej Matulewski, postępował z kosynierami na rynek.

Moskale bronili miasta zawzięcie i dopiero po wielkiej stracie zmuszeni byli cofnąć się.

Po dwugodzinnej walce zajęliśmy miasto i cały plac boju.

Jenerał Szyрман wycofawszy się z miasta, ustawił swoje działa na górze, granatami zapalił miasto i przeszło 130 domów obrócił w perzynę a tak dość zamożne miasteczko Uciana w połowie zagrzebane w popiołach, stało się smutną ofiarą barbarzyństwa moskiewskiego.

Dla braku amunicji nie mogliśmy ścigać dalej Szyrmana; zabraliśmy więc z placu bitwy naszych rannych i zabitych oraz broń pozostałą po pobitych Moskalach i cofnęliśmy się ku Wizunom na swoje dawne stanowisko.

Bitwa ta, jakkolwiek nie wedle ułożonego planu stoczona, przyniosła dość znaczną stratę nieprzyjacielowi:

Jednego majora, dwóch oficerów i sto przeszło żołnierzy położyliśmy na placu, oprócz rannych, których Moskale starannie z placu bitwy uprowadzili, a których dość znaczny transport ciągnął się na furmankach za obozem Szyrmana.

W oddziałach zaś połączonych Lisieckiego i Grotkowskiego było ubitych dziewiętnastu, a rannych dwudziestu trzech, trzy konie były zabite a siedm koni raniono.

Kula karabinowa przeszła kaszkiet Lisieckiego, lekko trącając wierzch głowy.

Porucznik Makarski adjutant Grotkowskiego dostał silną kontuzję od kuli działowej w rękę.

Major Wolicki miał surdut przestrzelony.

Szczególniej odznaczył się podoficer Stanisław Piotrowski i wachmistrz Kazimierz O

Pierwszy mocno poraniony kulami i skłuty bagnietami, posunąwszy się za daleko w środek kolumny moskiewskiej, dostał się w ręce nieprzyjaciela.

Jenerał Szyrman kazał go sobie przedstawić i polecił doktorowi mieć największe o nim staranie, lecz wszystkie były bezskuteczne i tej jeszcze nocy skonał na ziemi, którą tak szlachetnie z pod jarzma tyranii moskiewskiej wyswobodzić pragnął.

Drugi zabiwszy z dubeltówki majora, ciężko w prawe ramię ranny kartaczem, mając kości pogruchotane, pozostał z innymi rannymi w lazarecie.

Dnia trzeciego po owym pamiętnym boju, to jest dnia 22. Kwietnia, jenerał Szyrman, zawiadomiony przez szpiegów o zupełnym braku u nas amunicji, wyruszył ku nam.

Z boleścią bez bitwy musieliśmy ustąpić z Wizun i cofnąć się w lasy; niepodobna bowiem było walczyć bez amunicji z nieprzyjacielem, zupełnie uzbrojonym.

W kilka godzin po przejściu Szyrmana, komitet rządu narodowego nadesłał nam dwa tysiące ładunków i w tym czasie przybył do Wizun Kurmin z oddziałem swoim.

Tak wzmocnieni postanowiliśmy spiesznym pochodem pójść w pogoń za nieprzyjacielem.

Wyruszyliśmy natychmiast i dnia 25. Kwietnia dopędziliśmy go pod Onikszdami, gdzie podszedłszy niepostrzeżeni aż pod pierwsze straże moskiewskie, krwawą z nim rozpoczęliśmy walkę.

W pierwszej linii szli na czele kolumny major Wolicki prowadząc strzelców Lisieckiego i Grotkowskiego i kapitan Ostrowski ze strzelcami Kurmina.

W drugiej linii Kurmin dowodził kosynierami i pikinierami połączonych oddziałów.

Lewe skrzydło Grotkowski asekurował ze swoją kawalerją.

Prawe skrzydło górzyste nieco zajął Lisiecki z działami i kawalerją swoją, asekurowany przez 100 strzelców celnych.

Zaraz Wolicki z piechotą zajął las i uderzył na prawe skrzydło nieprzyjaciela, Ostrowski zaatakował środek obozu Szyrmana, mając swoją prawą stronę zabezpieczoną przez działka i kawalerją.

Waleczny Ostrowski z największą energią, osobistym przykładem zachęcał swoich podkomendnych i silnie atakował nieprzyjaciela od lasu, znaczną zadając mu klęskę, lecz słabych sił młodzieniec, ciężko ranny na polu bitwy, zabrany został w niewolę.

Po stracie męznego dowódcy, oddział strzelców party silnie przez nieprzyjaciół, zaczął się cofać i byłby poniósł znaczne straty, gdyby w sam czas Kurmin z kosynierami nie był mu przybył w pomoc, wstrzymał atak nieprzyjaciela i ułatwił ejteradę w należnym porządku.

W tem Wolicki na lewym skrzydle uderzył ze swoją piechotą na działa, lecz po dwa kroć odparty, cofnął się nie bez straty.

Tam waleczny Cypryan Podbereski, uderzając na działa, został ciężko ranny kartaczami w rękę i w bok.

Sam Wolicki winien był życie przypadkowi, kartacz bowiem trafił w pochwę stalową pałasza i przebiwszy ją, osłabiony, lekko ranił Wolickiego w bok lewy.

Po cofnięciu się naszej piechoty, Moskale zajęli las i uderzyli całą siłą na nasze prawe skrzydło utrzymywane przez Lisieckiego, stojącego na pozycji z czterema partyzanckimi działkami.

Tam mężny Bitynowicz umiejętnie kierując działkami, przeredzał szeregi moskiewskie kartaczami, ale wkrótce gdy ściągnięte z drugiej strony działa Szyrmana przeciw naszym zaczęły dawać ognia i naturalnie nad niemi wzięły przewagę, zmuszone więc było i prawe skrzydło do cofnienia się.

Wówczas nieprzyjaciel przeszedł las, zatoczył na górę działa i hukiem granatów zasłonił rejteradę swoją, którą natchmiast, znać lękając się nowego ataku powstańców, zaczął wykonywać i w czasie kiedy oddziały powstańskie w cofaniu zaczęły się zbierać i do nowej gotować walki, jenerał moskiewski spieszenie przeszedł Onikszy, przemaszerował mostem przez Świętą rzekę, cofnął nagle i przeprowadził za rzekę działa i most na rzece spaliwszy, pomaszerował spokojnie przez Traskuny na Żmudź.

Bitwa ta, której plac utrzymał nieprzyjaciel, wiele Moskalów kosztowała.

Mieli w niej trzech oficerów rannych, przeszło 120 żołnierzy zabitych i rannych.

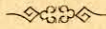
Nasze szeregi także znaczne poniosły straty: 35 strzelców celnych zginęło, 20 rannych ledwo zdołaliśmy z pola uprowadzić, około 50 rannych dostało się do niewoli, raniono nam stabsficera i dwóch oficerów, a za całą zdobycz mieliśmy dwóch jeńców rannych i dwadzieścia kilka sztuk broni.

Z powszechnym żalem oplakiwaliśmy stratę kapitana Ostrowskiego, który ranny, dostał się do niewoli.

Nielitościwy jenerał, niezważając ani na rany, ani na słabe młodzieńca zdrowie, przykutego łańcuchem do działa prowadzić rozkazał, a dla przyspieszenia słabych jego kroków tyrańskie żołdactwo kolbami go popychało.



ROZDZIAŁ III.



Po oddaleniu się Szyrmana rozłączyliśmy siły nasze w rozmaite rozchodzące się strony.

Kurmin udał się w lasy nad Świętą rzekę, Grotkowski posunął się ku Szymańcom, ja z moim oddziałem ruszyłem ku granicy Kurlandzkiej i tam dla większego wrażenia na lud pod broń zgromadzony i wzmocnienia naszej siły, postanowiłem usposobić jakiegokolwiek działa, mające kształt broni artyleryjnej.

W tym celu rozpisałem odezwy do całego na około duchowieństwa, aby dzwony i moździerze kościelne w najrychlejszym czasie dostawiało do mego obozu w Komajach rozłokowanego i poleciłem kahałom żydowskim, aby zwoje szkolne lichtarze wielkie oceniły i za kwitem natychmiast mi je dostarczyły.

Niezawiodłem się w nadziei.

Proboszcze pobliscy dostarczyli znaczną ilość dzwonów i moździerzy.

Szczególniej w gorliwości odznaczyli się, dziś ś. p. ksiądz dziekan Ejsymont pleban Rakiski i pleban

Kahałni zaś żydowscy zwieźli swoje ogromnej wielkości lichtarze i nie żądali za nie żadnego wynagrodzenia, chętnie składając je na ołtarzu ojczyzny.

Tak opatrzony w dostateczny kruszec, wysłałem majora

Wolickiego z legią strzelców Świadostkich i całą moją kawalerią do Rakiszek i tam pod nadzorem tego doświadczonego inżyniera postanowiłem odlewać działa, cały zapas kruszcu oddawszy pod jego rozporządzenie.

Sam zaś z resztą oddziału mego poszedłem do Soł, gdzie zebrawszy zewsząd rzemieślników, kazałem im robić lawety wedle planu który wygotowałem.

Koła od karet, jakie się w znacznej liczbie w wozowniach Solskich znajdowały, kazałem użyć do umontowania lawet.

Nie mogę tu nie wspomnieć o nowym dowodzie patriotyizmu hrabiego Benedykta Morykoniego,

Ukryty w lasach dowiedział się, że działa kazałem odlewać w Rakiszkach, dobrach należących do Tyzenhauzów.

Przybywa więc nagle do Soł i robi mi najostrzejsze wyrzuty, że tem mojem niewłaściwym rozporządzeniem najokropniej skrzywdziłem Soły, którym odjąłem zaszczyt, aby w nich działa były odlewane.

Obecny jeden znakomity obywatel, blizki krewny hrabiego, uczynił uwagę, że Rakiszki wybrałem dla odlewania dział z przezorności, aby w razie nieszczęśliwym nie ściągnąć na Soły całej odpowiedzialności.

Na tę uwagę bardziej jeszcze rozgniewany hrabia, rzekł te dla mnie pemiętne słowa:

— Jeżeli ma ojczyzna upaść, niech wprzód Soły i Świadocze w popiół się zamienia!

I odtąd nigdy niepozwolił zbliżyć się do siebie swojemu krewnemu i nigdy do niego słowa nieprzemówił.

Ze mną zaledwo pożegnał się i na powrót w lasy odjechał.

Na kilkanaście mil na około nie było słyhać o nieprzyjacieli; niewiedziałem więc potrzeby trzymania ludu wiejskiego pod bronią, zostawiłem tylko dostateczny oddział dla bezpieczeństwa fabrykantów lawet, urządziłem kolej jego zmiany, rozpuściłem kosynierów do domów po wykonaniu przysięgi, iż każdy na pierwsze zawołanie stawi się w dniu i miejscu oznaczonych a sam z małym oddziałem strzelców i kilkunastu pozostałymi przy mnie huzarami, pospieszyłem do Rakiszek.

Tam zastałem Wolickiego, czynnie zajmującego się poruczoną sobie pracą.

Urządził on ogromne piece w ogrodach pałacowych, kazał porobić miechy do rozpalania ognia i zebranych żydów mosiężników zajął robotą form z gliny.

Przybyłem do Rakiszek, kiedy formy się wypalały, rozkazałem więc kruszec wrzucić w piecy i miechami do tego przysposobionymi rozżarzać ogień.

Zaledwo co się zaczęła operacja, gdy nagle zewsząd poczęły się zbiegać kobiety i starce donosząc o zbliżaniu się sił moskiewskich z Dynabórga, które w przechodzie swoim wszystko pustoszyły mieczem i ogniem.

Największy ślad swego barbarzyństwa zostawili Moskale w Imbrodach majątku hrabiego Mola, gdzie dworskie i wiejskie zabudowania okrutny pułkownik Serafinowicz zamienił w popioły,

Tę wiadomość sprawdziła przybyła do mego obozu osobiście cała rodzina hr. Mola, ratująca się ucieczką z drobnymi dziećmi i kobietami dwór składającymi.

Oddział ten wojska zniszczywszy Imbrody, zwrócił się ku Uciatom i tam rozpedził powstanie Rakiszkie dowodzone przez Horodeckiego, który porażony sam się schronił i lud rozpuścił.

Dzięki wszakże usiłowaniom Cezarego Platera powstanie Rakiszkie z kąd inąd wyborowe, nie zostało zupełnie zniszczone; ocalił on znaczną część rozproszonego oddziału, zebrał go w porządek wojenny i zwoławszy swój lud dworski, wiejski i miejski, wstrzymał nieprzyjaciela nad Świętą.

Wysłałem szpiegów na wszystkie strony dla powzięcia wiadomości o pochodach i obrotach nieprzyjaciół i dowiedziałem się że nowe siły wyszły z Dynaburga i ciągną ku Rakiszkom to przez Imbrody, to przez Huksztę.

Potwierdziły te doniesienia rozbitki oddziału Horodeckiego ściągające w nieładzie do Rakiszek, a które zebrałem i do mego oddziału przyłączyłem.

Pozycja Rakiszek była najniegodniejszą do obrony;

z tej przyczyny wypadało całą rozpoczętą fabrykację dział przenieść do lasów.

Wysłałem więc kapitana Augustyna Matulewskiego z całym materiałem i silną eskortą piechoty do puszczy Świadoskiej dla dalszego odlewania dział, a sam z oddziałem ruszyłem do Soł.

W puszczy Świadoskiej fabryka dział szła najniepomyślniej zawsze kruszec zastęgl w połowie odlewania.

Majstry żydzi, bąc przez złe chęci, bąc co najpewniej, przez nieumiejętność, nigdy nie doszli do pomyślnego rezultatu.

Znudzony ciąglem niepowodzeniem tej fabryki, kazałem kruszec zakopać w puszczy i rzuciłem się do innego przemysłu, do robienia dział drewnianych.

To przedsięwzięcie pomyślniejszy wzięło skutek i w kilka dni z największą wszystkich radością ujrzeliśmy sześć armat dębowych, ujętych grubemi żelaznemi obręczami, które położone na gotowe już lawety, miały pozór armat wojennych pozycyjnych największego kalibru.

Do zaprzęgu tych dział przysłał hrabia Morykoni dwadzieścia cztery ogiery cugowe i stadowe z kompletnym uprzęgiem, to jest cztery na każde działo.

Po urządzeniu dział poleciłem kapitanowi Narkiewiczowi fabrykę prochu działowego; oficer ten zajął się nią z wielką znajomością rzeczy i w 5 dni zrobił z materiału sobie dostarczonego, 150 ładunków do nowych dział.

W tym czasie także wysłałem żyda dawnego mego faktora do Dynaburga dla kupienia prochu karabinowego i poleciłem mu widzieć się w tej twierdzy z , wielkim moim przyjacielem, o którego przychylności naszej sprawie nie wątpiłem,

Nie zawiodły mnie nadzieje; żyd dotarł do Dynaburga, skomunikował się z i kupił u niego za cenę zwyczajną funtów 100 prochu.

Z tym transportem wyjechał tajemnie z twierdzy i spieszył do mego obozu kiedy w przejeździe przez Kurlandę napadł na niego jeden obywatel Niemiec.

Krwawa nastąpiła rozprawa, z której żyd ledwo z jedną baryłką prochu, zawierającą w sobie 40 funtów, potrafił uratować się ucieczką, zostawiając resztę prochu i wóz na łup tego niekczemnego Kurlandczyka.

Zasilony tym nowym skarbem, nagrodziłem dobrze żyda i z tego prochu kazałem robić ładunki do ręcznej broni; ładunki zaś działowe robione były z prochu własnej fabryki i z kul pozbieranych pod Kalekami, Ucianą i Onikszdami.

Kartacze zaś były z siekanego żelaza; sto ładunków kartaczowych, ułożonych w blaszane kubki, dostarczono mi z Kubiszek i Pieniaw, majątków księcia Czartoryskiego.

Tak usposobiwszy się w potrzebną amunicję i powiększywszy mój oddział Kantonistami pieszymi i konnymi, których mi nadesłał rząd tymczasowy Wilkomierski, ruszyłem z całą siłą do Świadość, gdzie zachorowałem na żółciową gorączkę lecz dzięki staraniom księdza proboszcza i doktora, w krótkce przyszedłem do zdrowia, a zawiadomiony urzędownie o centralizowaniu się wszystkich sił powstańskich w lasach Świadosko-Androniskich dla utworzenia władzy wojskowej, pośpieszyłem do tych lasów i zająłem wszystkie mosty na rzece Jarze dla utrzymania przedniej straży od Kurlandi, zabezpieczony będąc z boków ogromnemi i nieprzebytymi błotami, rozciągającemi się po nad rzeką Jarą.

Powierzyłem dowództwo całego oddziału majorowi Wolickiemu, a sam udałem się do wsi śród lasów położonej, wyznaczonej na zjazd wszystkich naczelników oddziałowych.

Przybyli tam, hrabia Przędziecki, Kurmin, Chmarzyński, Parczewski, Giedroń Józef, Cezary Plater, Grotkowski, Lisiecki i natychmiast pod prezydencją Przędzieckiego generała utworzyli komitet wojskowy litewski.

Na szefa sztabu powołany został kapitan Józef Makarski.

Pięciu a w nagłej potrzebie trzech naczelników stanowiło komplet komitetu, który rozporządzał i kierował całemi siłami powstania Wilkomirskiego.

Stósownie do decyzji komitetu oddział Lisieckiego pozostał na miejscu dla trzymania przedniej straży nad rzeką Jarą.

Grotkowski i Plater zajęli Szymańce, położone w środku puszczy Świadosko-Androniskiej.

Chmarzyński i Kurmin rozciągnęli się na prawem brzegu Świętej rzeki.

Parczewski i Giedroń zajęli Hołaty.

Na żądanie majora Giedrońca dałem mu 15 funtów prochu niewyrobionego na ładunki dla przysposobienia amunicji, na której zbywało jego oddziałowi.

W tym czasie generał Wierzylin z dywizją wojska moskiewskiego zajął Wilkomierz, z kąd rząd tymczasowy cywilny z aktami wyniósł i schronił się do lasów.

Przysłał on odezwę do komitetu wojskowego, aby połączonemi siłami zbliżyć się do Wilkomierza i zdobyć to miasto, jako ważny punkt zasobów rzemieślniczych i oparcia się dla władz insurekcyjnych.

W skutek tej odezwy generał Przędziecki zwołał naczelników na radę wojenną, na której postanowiono iść niezwłocznie na odsiecz Wilkomierzowi.

Ruszyły więc oddziały w pochód.

Chmarzyński z wyborem strzelców swoich szedł w awangardzie, za nim postępowały dalsze oddziały z kolei bliższego lub odleglejszego posterunku.

Lisiecki, jako najdalej obozujący z pod Jary maszerował w aryergardzie.

Generał Wierzylin dowiedziawszy się o tak wielkiej sile, dążącej do Wilkomierza, w nocy opuszcza miasto przechodzi Świętą rzekę i z całą dywizją ucieka pod Wilno.

Powstańcy bez oporu zajmują miasto, gdzie łączą się z nowemi siłami powstania Wilkomirskiego, powracającego ze Żmudzi pod dowództwem Medarda Kończego.

I tak na nowo władze powstańskie osiadły w Wilkomierzu.

W tym czasie przez nieostrożność oficerów w obozie moim, którzy na noc konie swoje do stajen wprowadzili, zajął się ogień i 27 koni oficerskich z całym rynsztunkiem spaliło się.

Zawiadomiony o tem hrabia Morykoni, zebrał u bogatszych

swoich włościan 30 koni i z zupełnem osiodłaniem nazajutrz jeszcze do mego obozu dostawił.

Ten nieszczęśliwy przypadek zatrzymał mnie dzień jeden w oddaleniu od Wilkomierza.

Zaopatrzonej tą nową ofiarą hrabiego Morykoniego, spiesznie ruszyłem do Wilkomierza, gdzie zastałem zmieniony rząd dawny i ustanowiony nowy, w którym Kończa mianowany został naczelnikiem siły zbrojnej Wilkomierskiej.

Wydział policyi powierzono Kurminowi, wydział wojny Adamowi Kołysce a wydział finansów obywatelowi , Sekretarzem naczelnika został Michał Pietkiewicz.

Nazajutrz, to jest dnia 12. Maja doszła nas wiadomość o zajęciu przez wojska moskiewskie Rakiszek, gdzie pułkownik, zwany Litwinow uwięził matkę, żonę i całą moją rodzinę.

Na tę smutną sercu syna i męża wiadomość, biegnę do Grotkowskiego i po wspólnej z nim i Platerem naradzie, wzięwszy 100 strzelców z oddziału Platera, z oddziałem Grotkowskiego i swoim, ruszyłem spiesznym pochodem ku Rakiszkom dla wyparcia z nich Moskali, jako ze spiżarni naszych zasobów konsumcyjnych, oraz dla powściągnięcia gwałtów i nadużyć, jakich się wojsko dopuszczało.

Pułkownik Litwinow w przechodzie swoim dopuszczał się największych rabunków, a znajdując w domach tylko starców, kobiety i dzieci, na nich swą wściekłość wywierał, wtłaczając kajdany na starców, gwałcąc kobiety, więżąc w domach, osiadłych w tej okolicy Burlaków, dzieci z łona matek wydarte.

Trudno i prawie niepodobna opisać wszystkie Litwinowa barbarzyństwa.

Niektóre bardziej pamiętne przytoczę.

Zbrodnia łatwo znajdzie spółników.

Jakoż mnóstwo donosicieli i szpiegów z pośród Burlaków i żydów, ofiarowało pomoc Litwinowowi.

Za ich namową uwięził rodzinę Lisieckiego, jako pierwszego mieteżnika i zagroził piętnastoletniej żonie jego śmiercią, jeżeli miejsca pobytu męża nie wyda.

Urażony odpowiedzią :

— Że znajdzie go najłatwiej na polu bitwy, jeżeli zechce szukać.

Rozkazał rozhukanemu żołnierstwu zrabować dwór mój, porwał z łona matki i oddał w ręce Burlaków na ich opiekę drobne dzieci brata mego, kazał więzić kobiety pod strażą żołnierzy.

Następnie dowiedziawszy się, iż obywatel Karol Pomarnacki, kluczny Wilkomierski, starzec 80 letni dostarczył do mojego oddziału broni i amunicji, zwrócił swą zemstę na tego osiwiałego i poważnego patriotę.

Żołnierze wyciągają go chorego z łóżka, wkładają na jego wiekiem pomarszczone ciało, ciężkie łańcuchy, barbarzyńiec każe go smagać różgami i wpółżywego wysyła do kazaematów twierdzy Dynaburga, gdzie nieszczęśliwy starzec w boleściach życia dokonał.

Rolników łapał po wsiach, uwiązanych do pręgierza bił kijami i okutych w łańcuchy, odsyłał do twierdzy.



ROZDZIAŁ IV.



Po forsownym marszu dniem i nocą, stanęły oddziały Lisieckiego i Grotkowskiego dnia 15. Maja w Kowaliskach o trzy ćwierci mili drogi od Rakiszek.

Gdy wysłany z tamtąd na rekonesans oddział kawaleryi pod dowództwem Kiborsztowicza, za blisko pod nieprzyjaciela się podsunął, zaatakowany został przez forpoczty moskiewskie i gęsty rozpoczął się ogień.

Ruszyliśmy więc na pomoc naszej awangardzie, przybyliśmy na pola Porakiszek wsi dziedzicznej Lisieckiego i rozpoczęliśmy generalną bitwę.

Tam po raz pierwszy użyte działa dębowe i rzuciły korzystnie w obec dział nieprzyjacielskich, przestkach i śmierci w kolumnach moskiewskich.

Gdy Litwinow batalion piechoty na pierwsze spotkanie wysłał, kazałem z tych dział drewnianych dać ognia; dwie kule wpadły w środek batalionu nieprzyjacielskiego i natychmiast batalion ten cofnął się.

Wówczas posłałem całą piechotę pod dowództwem Wolickiego zając zarośla nad rzeką Łaukupą i ztamtąd atakować ogniem tyralierskim front nieprzyjaciela.

Grotkowski z całą kawaleryą ominął błota i stanął pod wsią Jakiszkami.

Ja z trzema działami asekurowanemi przez szwadron kawaleryi i kompanią piechoty, zająłem górę pod zaściankiem Talanty, a trzy drugie działa zajęły pozycyę w gaju Porakiskim pod dowództwem Bitynowicza, asekurowane przez batalion Kosynierów.

Tak ogień rozpoczął się na całej linii.

Litwinow nie miał pozycyi dogodnej na działa, których miał cztery i dla tego nie mógł szkodzić naszym działom, daleko wyższą zajmującym pozycyę.

Kolumny moskiewskie co się z razu wysunęły, rażone przez działa powstańskie, cofnęły się zaraz.

Ogień więc na froncie zwolniał; ale tymczasem dwie kompanie moskiewskie błotami i dolinami niepostrzeżone w przechodzie wcisnęły się w środek naszej linii bojowej i zająwszy wieś Jakiszki, poczęły razić naszą kawaleryę.

Wówczas Grotkowski wysłał 60 koni pod dowództwem mężnego oficera Kupścia, który szarżował na wieś i uciekających z niej Moskali znacznie zmasakrował.

Porażony oddział Moskali cofnął się na błota nieprzystępne dla kawaleryi i niemi się wycofał.

Zabrał w tej szarży Kupśc kilku żołnierzy w niewolę i jednego feldfebla, po mężnym oporze ciężko pokłutego i posiezonego.

Feldfebel ten poddał się zaledwie wtenczas, kiedy upływem krwi już był bezsilny, ale i wtedy jeszcze wołał:

— Hura rabiata!

Litwinow zgromadził całą swoją siłę i rozwinął front pod samem miasteczkiem na parę wiorst w tyle od pierwszego stanowiska, a tymczasem wysłał oddział z tyłu dworu Porakiszek.

Widziałem przez perspektywę cały ten manewr nieprzyjaciela, który tym sposobem chciał nas zaatakować z boku.

Wziąłem więc pluton kawaleryi i jako dobrze świadomy miejsca, sam na czele plutonu, ruszyłem przeciw temu oddziałowi.

Ledwo pomiąłem dwór i ogród owocowy, kiedy raptó-

wnie powstałi Moskale ukryci w zbożu i gęstym ogniem mnie przyjęli.

Przypuściłem na nich szarżę i zmusiłem ich do cofania się, co przy pomocy palisady ogrodowej bez znacznej uskuteczniłi straty.

Raniliśmy kilkunastu żołnierzy i zabraliśmy dwóch do niewoli.

Z naszej strony mieliśmy trzech żołnierzy lekko rannych; lecz mój adjutant Hofman walcząc przy moim boku ciężko został ranny w lewe udo pod samym brzuchem, gdzie kula zgruchotawszy kość, wyszła tyłem i uwięzła w siodle.

Uchwyciłem spadającego z konia i podałem ułanom, którzy go omdlałego zanieśli na płaszczu do ambulansu, gdzie doktor oddziałowy dał mu potrzebną i skuteczną pomoc.

Tymczasem Wolicki z piechotą popędził się za ustępującym nieprzyjacielem i otworzył gęstą kanonadę z Moskalami. Grotkowski zaś słysząc strzały mocne w stronie, w której z plutonem kawaleryi na piechotę moskiewską uderzyłem, wziął szwadron swojej kawaleryi i przyszedł mi w pomoc.

Piechota mokiewska już się była zrejterowała.

Ruszyliśmy więc ku środkowi, gdzie Wolicki ucierał się z nieprzyjacielem, a dostrzegłszy przez perspektywę, gdzie sam pułkownik Litwinow znajdował się na koniu przed frontem swojej kolumny, spałem konia, podsunąłem się na strzał pod Litwinowa, dałem do niego ognia z muszkietu i zbiłem mu szlifę z prawego ramienia.

Lecz wystawiony na rżesiste strzały, powróciłem przed front i obok z Wolickim i Grotkowskim utrzymywaliśmy ciągle ogień ręcznej broni, a Bitynowicz z dział swoich odpowiadał działom nieprzyjacielskim.

W tym dniu jedno działo pękło a ośmnastym wystrzałem raniło kanoniera, drugie zostało zdemontowane.

Bitwa ta trwała od 11 godziny z rana do 7¹/₂ wieczór.

O zmroku samym ogień ustał i my cofnęliśmy się do lasu, a Moskale do miasteczka.

Kilkudziesiąt Moskali legło na placu, rannych też było nie mało.

Z naszej strony dwóch było ubitych, jedenastu rannych, pomiędzy którymi mój adjutant Hofman.

Siedmiu strzelców dostało się do niewoli moskiewskiej, my zabraliśmy kilkunastu niewolników z bronią.

Ledwo ustąpiliśmy parę wiorst, kiedy Litwinow wysłał mały oddział z miasteczka Rakiszek do Porakiszek, wsi dziedzicznej Lisieckiego z rozkazem zrabowania i spalenia dworu.

Żołnierze wykonali wiernie ten dziki stepowego naczelnika rozkaz.

Płomienie ogarnęły wnet dwór i zabudowania dworskie; w godzinę potem wszystko zamieniło się w popiół,

Widząc taki obrzydły sposób zemsty moskiewskiej, niechcieliśmy przez dalsze utarczki narażać kraju na spustoszenie i cofnęliśmy się o milę drogi do Poniemuńka.

Muszę tu wspomnieć, że żona moja i matka, spoiwszy wódką żołnierzy na straży, dniem wprzód, to jest w nocy z trzennastego na cztery Maja, uciekły z całą rodziną z niewoli i schroniły się do lasów; inaczej byłyby się zapewne stały ofiarą zemsty Litwinowa.

W Poniemuńku wspólnie z Grotkowskim zaczęliśmy traktować o układy z Litwinowem.

Żądaliśmy aby pułkownik rosyjski za znaczną nagrodę poddał nam swoją brygadę z bronią i amunicją.

Na pierwsze nasze zgłoszenie oburzony, srożył się wyzywając nas na nowo do boju; lecz na powtórzony list przez parlamentarza mu doręczony, w którym miał zapewnione wielkie i pewne ofiary, zażądał pułkownik Litwinow wyznaczenia miejsca, nie zajętego ani przez nasze, ani przez jego wojsko dla porozumienia się osobiście o rzeczy jemu zaproponowanej.

Miejsce to miało być o 500 kroków przed pierwszą jego wedetą.

Jakoż obraliśmy karczmę Poberze, która miała być punktem zjazdu naszego w dniu 18. Maja o godzinie 10 z rana.

Lecz smutne znać przeznaczenie naszej kampanii najświetniejsze usiłowania w niwecz obracało.

I tak, gdy albo przerażony, albo chciwy pułkownik chciał rozpocząć układy i tylko czekaliśmy dnia następnego i go-

dziny naznaczonej, kiedy w tem otrzymujemy zawiadomienie, że nowa dywizya z 6 działami pod dowództwem jenerała księcia Chyłkowa, z tyłu nam zaszła i zajęła Hołoty, rozciągając się ku Szetekszni o dwie mile drogi od nas.

Zmuszeni więc byliśmy natychmiast opuścić nasze niedogodne w otwartych polach stanowisko w pośrodku dwóch sił nieprzyjacielskich.

Grotkowski więc przez Skopiszki do Szymańca pomaszzerował.

Lisiecki zaś przez Wadwy do Kupiszek pociągnął ze swoim oddziałem i z czterema pozostałymi armatami.

W Wadach zastałem silny oddział piechoty i kawaleryi, mający dwa działa czterofuntowe pod dowództwem dzielnego pułkownika Radziszewskiego, naczelnika powstania województwa Mińskiego.

Pomaszerowaliśmy więc nazad do Kupiszek.

Radziszewski stanął obozem w miasteczku, Lisiecki zajął dwór Kupiski ks. Czartoryskiego, gdzie zastał 170 uzbrojonych strzelców, 50 koni z dobrym osiodłaniem i ogromny zapas koszul, butów, których brak dawał się już czuć w oddziale.

Zasilony świeżem wojskiem, przyjąłem ofiarowane sobie przez administratora dóbr księcia Czartoryskiego buty i koszule, rozdałem część potrzebującym żołnierzom, a resztę kazałem zabrać na furgon.

Nazajutrz połączone oddziały Lisieckiego i Radziszewskiego, uznawszy szefem sztabu sił połączonych pułkownika Lubańskiego, zasłużonego i doświadczonego, w sztuce wojennej żołnierza, ruszyły lasami z Kupiszek do Androniszek.

W przechodzie tym zabrałem patrol Chyłkowa z 7 żołnierzy i podoficera, od którego dowiedzieliśmy się, że jenerał Chyłkow ściągnął całą dywizję kawaleryi do Hołot i rozsiodłane konie rozlokował po stodołach, a za dwa dni miał zrobić wyprawę na powstańców, obozujących w Szymańcach.

Potwierdziła się ta wiadomość w kilka godzin przez złapanego szpiega żyda przy którym znalazłem rozkaz na piśmie księcia Chyłkowa do kahału Świadoskiego, aby ten kahał dał

czterech żydów zaufanych, rostopnych i świadomych wszystkich dróg, prowadzących z Hołot do Szymańca.

Otrzymałem tą pewną wiadomość będąc w Peliszach.

Natychmiast więc udałem się do pułkownika Radziszewskiego do Androniszek i tam wraz z szefem sztabu pułkownikiem Lubańskim postanowiliśmy niezwłocznie ruszyć na Chyłkowa i zawiadomić o wszystkim Grotkowskiego, obozującego w Szymańcach, wzywając go, aby w nocy z 21. na 22. Maja przybył z oddziałem pod Hołoty i wspólnie z nami nadedniem atak rozpoczął.

Tymczasem wybrawszy 4 podoficerów i 8 żołnierzy, dobrze znających położenie Hołot, wysłałem ich z rozkazem, aby w nocy przekradłszy się przez strażę rowami i zaroślami, łączącymi puszcę Świadoską z dworem Hołot, podłożyli ogień i zapalili dwór, stodoły i wszystkie jakie tylko będą mogli podpalić zabudowania, aby tym sposobem spaliwszy konie i rzuciwszy nieład i postrach w wojsku nieprzyjacielskiem, tym większe i pewniejsze odnieść nad niem zwycięstwo.

Wysłani na tę nocną wyprawę powstańcy byli dobrze uzbrojeni i npatrzeni w hubkę, krzesiwa i proch.

Takie zrobiwszy rozporządzenia, ruszyliśmy z miejsca; Grotkowski również zdążył ku Hołotom.

Tym czasem jenerał książę Chyłkow, albo uwiadomiony o naszym pochodzie, czy co pewniej, powołany spieszenie do Wilna dla zmocnienia tamtejszej załogi przeciw zbliżającemu się pod Wilno korpusowi wojska polskiego pod dowództwem jenerała Chłapowskiego, w nocy opuścił Hołoty i najspieszniejszym marszem podążył ku Wilnowi, tak, że nazajutrz popasawszy tylko w Uszpolach, stanął na noc w Ucianie, o 7 mil od Hołot.

Kiedy więc przybywszy do Hołoty nie zastaliśmy już dywizyi Chyłkowa, zawiedzeni w nadziei zwycięstwa, wróciliśmy na dawne stanowiska i tam dowiedzieliśmy się o zajęciu powtórnem Wilkomierza przez nieprzyjaciół.

Pospieszyłem więc z Radziszewskim na pomoc Wilkomierzowi; ale ledwo zbliżyliśmy się pod miasto, kiedy Moskale

odstąpili bez oporu, opuścili Włodzimierz i cofnęli się do Wilna.

Cholera wówczas grasowała w Wilkomierzu; tylko więc przeszedłem z Radziszewskim miasto i Świętą rzekę i stanęliśmy w Antokolku o milę drogi od Wilkomierza na trakcie do Wilna.



ROZDZIAŁ V.



Tam nazajutrz doszła nas szczęśliwa wiadomość o zbliżaniu się wojsk polskich pod komendą generała Chłapowskiego od Wilna, a generała Gielguda od Kowna.

Na tę wiadomość wysłali natychmiast po rozkazy, Lisiecki majora Wolickiego do generała Chłapowskiego, a Radziszewski Wołodkowicza do generała Gielguda i obadwa posunęli swoje oddziały do Gielwan.

We trzy dni powrócił Wolicki z rozkazem od generała Chłapowskiego, abyśmy się z nim łączyli w Beczach lub Czabiszkach.

Pomaszerowaliśmy więc spiesznie do Becz, gdzie zabrałem 20 koni pocztowych, ukrytych w lasach przez Horna, byłego gubernatora wileńskiego.

Nazajutrz z najwyższem uniesieniem szczęścia, ujrzeliśmy generała Chłapowskiego, który postępował na czele swojej awangardy.

Powitał nas generał z uczuciem Polaka i zsiadł z konia dla uściśnienia naczelników.

Kazawszy nam przejść Świętą rzekę, polecił przygotować most na niej dla przejścia korpusu i dalej w awangardzie maszerować do Czabiszek.

Tam przy łzach radłci, przy okrzykach:

— Niech żyją Polacy! Niech żyją Litwini! Niech żyje Polska! ojezyzna nasza.

Rzucając się wzajemnie w bratnie rodaków objęcia, połączyło się wojsko litewskie z wojskiem polskim.

Przyszły potem dalsze powstańskie oddziały.

Z kawaleryi Platara, Lisieckiego, Grotkowskiego i Izenszmita uformowano szósty pułk strzelców, a z kawaleryi Radziszewskiego, Wołodkowicza, Zawierskiego i powstańców mińskich, sformował się pułk dwunasty ulanów.

Z piechoty zaś Lisieckiego i Radziszewskiego utworzono dwudziesty szósty pułk piechoty liniowej, którego dowództwo objął pułkownik Radziszewski.

Tak z oddziałów partyzanckich przeszliśmy do pułków regularnych i następnie każdy z nas stósownie do wypadków wojennych, rozdzielony po rozmaitych korpusach, towarzyszył do końca wojny narodowej.

Po złączeniu się powstańców z wojskiem polskim, wiadome są wypadki:

Szturm do Wilna, rejterada Giełguda do Rosień, marsz napowrót z Rosień do Kiejdan.

Tu wspomnę tylko o ruchu oddziału pułkownika Wiszniewskiego, do którego ze szwadronem moim zostałem przykomenderowany.

Z Kiejdan generał Giełgud postanowił znowu rzucić się na Żmudź i tam chciał usposobić przeprawę przez Niemen; w tym celu porucił pułkownikowi Wiszniewskiemu cały park saperski, batalion piechoty pod dowództwem pułkownika Brochockiego i szwadron jazdy szóstego pułku strzelców pod moją komendą.

Z tą siłą wyruszył pułkownik Wiszniewski w nocy z Jaswojść i zmierzał prosto nad Niemen.

Pominąwszy Wielonę zatrzymał się pod Giełgudyszkami i tam zaczął most stawiać na tej rzece.

Kiedyśmy postępowali prawym brzegiem Niemna, z drugiej strony szła w obserwacji nas znaczna siła kawaleryi nieprzyjacielskiej.

Lecz zaledwo zaczęto most stawiać, kiedy nadeszła wielka siła piechoty moskiewskiej z dostatnią artyleryą i kiedy z lewego brzegu Niemna rozpoczęto na robiących most kano-nadę.

Pułkownik Wiszniewski nie miał ani jednego działa.

Gdy to Moskale spostrzegli, sprowadzili działa z góry, zatoczyli je na brzeg Niemna i kartaczami rażąc saperów i rzemieślników, zmusili ich do odstąpienia roboty.

Z drugiej naszej strony, słyszeliśmy gęsty huk dział; byłto bój korpusu Giełguda z Moskalami pod Plemborgiem.

Nad wieczorem otrzymał pułkownik Wiszniewski od generała Giełguda rozkaz, aby porzucił stawianie mostu i natychmiast pospieszył z oddziałem swoim do Rosień, tak, aby tam stanął nazajutrz o godzinie 10 z rana.

Pułkownik Wiszniewski wykonał ten odwrót niezwłocznie i maszerując całą noc zdążył pod Rosienie, na dwie godziny przed oznaczonym czasem; ale już było późno, bo Giełgud opuścił w nocy Rosienie, a Moskale w nocy jeszcze zajęli miasto, a tak oddział pułkownika Wiszniewskiego, ścigany i niepokojony z tyłu przez Kozaków, którzy wplaw Niemen przeszedłszy, postępowali za nami, podszedł nagle pod sam środek znacznych sił moskiewskich, rozumiejąc, że idzie do korpusu Giełguda.

Cztery szwadrony kawaleryi moskiewskiej uderzyły raptownie na szwadron Lisieckiego, maszerujący w awangardzie i wpadłszy na szpicę, złożoną z 10 żołnierzy i podoficera, zmasakrowali wszystkich.

Jeden tylko podoficer Lewandowski, skłuty i porąbany, otrzymawszy 27 ran, przebił się przez tłumne szeregi nieprzyjaciół i życie ratował ucieczką.

Cofnęli się wszakże Moskale i tym razem nie szarżowali na cały szwadron.

Pułkownik Wiszniewski rzucił się w lewo w lasy, a chcąc zabezpieczyć i uprowadzić piechotę i saperów, zostawił dla wstrzymania nieprzyjaciół, szwadron Lisieckiego, wspierany przez kompanię piechoty, ukrytej w zbożu.

Tymczasem spalił cały park saperski, a tak jeden z najpiękniejszych parków wojska polskiego, w tym dniu zniszczony został. Wnet ujrzałem kolumny piechoty moskiewskiej, spiesznie polami z artylerią nadchodzącej, a w tem owe cztery szwadrony moskiewskie, na nowo sformowawszy się, przypuściły szarżę na szwadron mój, rozdzielony po dwa plutony, rozciągający się w jednym szeregu, a ztąd pokazujący front dwóch szwadronów.

Broniliśmy się mężnie przeciw tak znacznie przewyższającej sile i przy pomocy ognia rotowego asekurującej nas kompanii piechoty, dotrzyaliśmy placu i zmusiliśmy Moskali do odwrotu, w którym piechota nasza znacznie przerzedzała szeregi kawaleryi moskiewskiej.

Ale i szwadron mój znaczną poniósł stratę.

Miałem rannych lub zabitych na placu 23 żołnierzy, 2 podoficerów i 1 oficera.

Po otrzymaniu rozkazu od pułkownika Wiszniewskiego, cofnąłem się ze szwadronem i kompanią piechoty do lasu.

Tak wyszliśmy szczęśliwie z tej poczty straconej.

Oddział Wiszniewskiego otoczony zewsząd, ścigany przez nieprzyjaciół, maszerował lasami bez spoczynku przez dwadzieścia godzin i obszedłszy Rosienie na około lasami, przerznął trakt z Rosień pod Widukłami, przeszedł w obec nieprzyjaciela na drugą stronę do lasów i szczęśliwie maszerując dzień i noc, nadedniem przymaszerował do Cytowian, gdzie złączył się z korpusem Giełguda, który już wychodził w marsz do Szawel.

Bez spoczynku więc musieliśmy iść pod Szawle.

Po bitwie Szawelskiej Giełgud cofnął się do Kurszan.

Tam nastąpił podział wojska na trzy części.

Chłapowski, Giełgud i Roland wchodzą do Prus, generał Dembiński przeryna się do Warszawy.

W Kurszczanach zostawiony mojej własnej woli, chciałem iść z Chłapowskim, lecz ten ścisnął mię za rękę i rzekł:

— Idź kochany Lisiecki z generałem Dembińskim ja ci radzę.

Nie wiedziałem co te słowa miały znaczyć.

Wszakże nie tracąc czasu, jadę i melduję się generałowi Dembińskiemu, oświadczając, że chcę z nim iść.

Generał sądząc że jestem sam jeden, przyjął mnie dosyć obojętnie mówiąc:

— Pilnuj pan, jak mój korpus będzie wychodził i pojedziesz za nim.

Wówczas zapytałem:

— A szwadron mój gdzie mam postawić?

Na te słowa generał Dembiński ujął mnie w swoje objęcia mówiąc:

— A to masz szwadron kawaleryi? Pożądaną mi zwiastujesz nowinę; sądziłem, że mnie wszyscy Żmudzini i Litwini odstąpią.

To powiedziawszy, kazał mi ze szwadronem stanąć na drodze, prowadzącej do Meszkuć i ztamtąd maszerować za szwadronem 9. pułku ułanów, dowodzonym przez mężnego majora Janowicza.

Tego jeszcze dnia ruszyliśmy i po zabranii nieprzyjaciół w Meszkuciach przez generała Dembińskiego, porozumiawszy się ze Strawińskim Donatem, Prozorem i Janowiczem, uformowaliśmy pułk 19 ułanów, którego dowództwo objął waleczny pułkownik Alojzy Janowicz.

Wiadome są zasługi tego pułku w sławnym generała Dembińskiego odwrocie.

Ja mając czynny udział we wszystkich trudach i potyczkach tego pułku, miałem szczęście zasłużyć się mojej ojczyźnie, czego ślad wiekopomny w archiwach Senatu i izby poselskiej pozostał a za odznaczenie się w bitwie pod Iwcem, za przybyciem do Warszawy ozdobiony zostałem krzyżem złotym wojskowym.

W tym odwrocie generał Dembiński okryty wiekopomną w dziejach polskich sławą, dowiódł że wytrwałość, nieugiętość,

Pisałem we wsi Wositz i w Mewe (Gniewo) po złożeniu broni w Prusiech w miesiącu Listopadzie 1831 roku. męstwo i miłość ojczyzny, są w stanie pokonać przemożne siły nieprzyjaciół i wszelkie zwyciężyć trudności.

Szkoda, że Giełgud i Chłapowski nie mieli serca, duszy i odwagi jenerała Dembińskiego.

Michał Lisiecki

Naczelnik w powstaniu na Litwie.



PIĘKNY CZYN

pułkownika

Kiekiernickiego.



PIĘKNY CZYN

pułkownika
Kiekiernickiego.

—*:*—

Kiedy po nieszczęśliwej bitwie wileńskiej wojska polskie cofnęły się na Żmudź, pułk 25 piechoty złożony z samych powstańców i z niewolników rosyjskich rodem z Litwy zabranych przez Chłapowskiego w bitwie pod Lidą, zostawiony był w Kownie, niewiadomo w jakim celu.

Pułkownik Kiekiernicki, komendant tego miasta źle zawiadomiony o zbliżaniu się nieprzyjaciela, zaniechał opuścić je w porę i cofnąć się za Wilią.

Trzy kompanie pułku 25 robiły zawsze służbę w mieście i strzegły od strony Wilna, reszta stała obozem za miastem.

Tymczasem 25. Czerwca o świcie ukazały się nagle masy nieprzyjacielskie, które jednocześnie zaatakowały poczty nocne przy rogatkach i okopach stojące i posunęły się poza Wilią dla przecięcia im odwrotu.

W nadziei, że będące w mieście kompanie potrafią jeszcze cofnąć się za rzekę, zaniechano natychmiast zniszczyć most z płytów na Wilii zrobiony.

Chwycono się do tego wtenczas, kiedy już kartacze za rzekę dosięgały i kawalerya nieprzyjacielska klusem dobiegała.

Zabięło Jan, dowódca drugiego batalionu, rzucił się sam z siekierą w rękę dla zachęcenia robotników, lecz kartaczem ugodzony, zginął tam nie dokończywszy dzieła.

Nieprzyjaciel most opanował i rzucił się na kilka kompanij powstańców, cofających się po obszernej równinie.

Obrona długą być nie mogła, strzały działowe i szarża kawaleryi zmieszały cofających, wszyscy więc padli pod razami nieprzyjaciela, albo zabrani zostali w niewolę, ci tylko co byli na koniach, potrafili dosięgnąć niedalekich ztamtąd wzgórków zarośłami pokrytych.

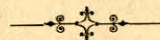
W liczbie tych znajdowała się sławna Emilia Plater, mianowana przez Chłapowskiego przy formacyi 25. pułku piechoty dowódcą pierwszej kompanii drugiego batalionu, oraz pułkownik Kiekiernicki.

Ten ostatni poświęceniem się prawdziwie rycerskiem ocalił jej życie i tym czynem zmył niejako ciężącą na sobie odpowiedzialność za nieopatrzne w tym dniu rozporządzenia.

Emilia Plater umykająca przed goniącymi tuż Kozakami przez wrota na wpół otwarte zaczepia się o nie i spada z konia, którego nie może utrzymać.

Kiekiernicki nie waha się w tak niebezpiecznym razie za trzymać swojego, podejmuje ją, zmusza ażeby wsiadła na jego konia, zacina go, a sam w kilka chwil dostaje się w niewolę.

KRAKOWIAK, MAZUR, POLKA



KRAKOWIAK, MAZUR, POLKA.



Nie raz zastanawialiśmy się nad tem, dla czego tańce narodu, nie mającego bytu politycznego, weszły tak nagle w europejską modę, a jeśli to tylko moda, dla czego w pierwszych stolicach świata, nie przemija jak zwykle moda?

Dla czego te tańce, tę muzykę naszego narodu przejęły nie tylko narody nam przyjaźne, ale nawet pożyczyli od nas Moskale, Austriacy, Prusacy?

Dla czego, kiedy im tak nieprzyjemny nasz język, że go wszelkimi sposobami swoją mową chcą zastąpić, kiedy wszystko niszcza, co na sobie nosi cechę polskiej rodowitej własności, dla czego naszego Mazura, naszego Krakowianka nie zacierają swojemi walcami i nie wiem jakiego nazwiska melodyą i skokami, dla czego owszem swoje tańce, swoją muzykę niżej kładą od naszej narodowej mimiki i muzyki?

Jaka tego przyczyna, że taniec bratniego nam i w podobnem położeniu jak my znajdującego się narodu czeskiego, nie śmiał pod swoją nazwą, pokazać się w Paryżu, ale dopiero nazwawszy się Polką, przebiegł salony, bale, zabawy świata, jak iskra elektryczna?

Dlaczego Krakowianka, Mazur, Polka należą dziś do najulubieńszych w świecie melodyj i tańców?

Wyznajmy, że nie umiemy sobie odpowiedzieć, jaka tego zjawiska przyczyna.

Miałażby ta muzyka dla znawców, jaką wyższą nad inne wartość, miałyżby te tańce jakiś wdzięk nieznanym tańcom innych narodów, miałyżby odpowiadać więcej potrzebie uczuć i namiętności?

Jako Polacy nie będziemy się zapewne wahali powiedzieć, że nie znamy w świecie czulszej melodyi, piękniejszych nad polskie tańców.

I Mazur i Krakowiak przypominają nam naszą młodość, nasze zabawy, kuliki, pocziwych Krakowiaków, Polskę.

Żaden inny taniec, żadna inna muzyka, nie ma dla nas tyle uroku.

Ich ochoczość przypomina nam lepsze ojezyny czasy, w nich widzimy charakter naszego narodu, ich wesołość i skoczność dziwnie żartują sobie z obecnych nieszczęść.

Zdaje się, że mówią:

— To nie! nieszczęścia przemina!

Nasze tańce i muzyka wspierają narodową wiarę.

Nie można mieć zwątpienia, widząc pary młodego pokolenia tańczące Mazura, a widząc Krakowiaków przyspiewujących sobie w tańcu, nie można bez politowania patrzeć na Kacapów i Szwabów, lud nasz poniewierających.

Nie! tacy zwyciężeni, takim zwycięzcom nie mogą długo ulegać.

Jakże Mazur, jakże Krakowiak, nie mają nam być miłsze nad wszystkie inne tańce i muzyki!

Ale dla czegoż Niemiec, Anglik, Francuz, nie przejęci temi uczuciami polskimi, uznają w naszych Mazurach i Krakowiakach tę wyższość melodyi, to górowanie wdzięków i nadobności naszych tańców?

Ich narodowe tańce czy nie są im tak miłe, jak nam nasze?

A ich miłość własna, nieugięta we wszystkim innym miałażby tylko nam ustępować tam, gdzie się wyraża polskie uczucie?

Trudno uwierzyć, iżby narody stojące na czele cywilizacji,

dumne z tego co posiadają, nazywając nas półbarbarzyńcami, z wiedzą taki hołd chciały nam oddawać.

Nie wiedzą co czynią, działają mimowolnie.

Ależ tem bardziej, dla czego Moskal, Austryak, Prusak uznają panowanie naszych melodyj i tańców, kiedy w świeżej jeszcze mają pamięci, jak przy odgłosie tej muzyki, lance nasze nabierały nowego hartu, że narodowe melodye prowadziły nas jak opiekuńczy geniusz narodu do tylu morderczych bojów, że nam żywo przypominają nasze poniżenie, a ich rozboje?

Niechże tu kto pojmie, dla czego się bawią, dla czego się cieszą talizmanem naszej siły, dla czego się rozkoszują w źródle uczuć, z którego tyle dla nich wypłynęło, z którego tyle jeszcze wypłynie krwawych strumieni.

W tem wszystkim jakaś tajemnica.

Alboż to zresztą Mazur i Krakowiak dopiero teraz u nas się zjawiły?

Czy to nowość dla Europy, co już ma przeszło lat tysiąc?

Dawne to nasze rzeczy polubili nasi przyjaciele i nieprzyjaciele.

I w tem coś dla nas niepojętego, żeby rzeczy tak dawno znane, stały się modą świata.

A czego jeszcze więcej nie pojmujemy, to, że polska melodia i polski taniec wtenczas nie przebiegały Europy, kiedy Polska była poważnym mocarstwem, kiedy jej znaczenie polityczne mogło być obudzić w cudzoziemcach ciekawość zwyczajów, tańców, uczuć naszych, kiedy potężni nasi magnaci, kiedy ambasadorowie, wyborcy królów, nadobne własności naszego narodu po obcych dworach i stolicach rozpowszechniać mieli sposobność.

Gdyby Mazur i Krakowiak stał był się modą Europy po zjazdzie monarchów obcych do Krakowa za Zygmunta, albo po jakim uroczystym wjeździe Polaków do Paryża, albo po zwycięstwie Jana III. pod Wiedniem, nie widzielibyśmy w tem nic zadziwiającego, uznawalibyśmy w tem bardzo naturalną rzecz kolej.

Ale tego pojąć nie możemy, dla czego ten jeniusz nasz z grobu Polski się wydobył i świat przebiega?

Miałby oznajmiać mu, że w tym grobie jest życie?

Miałby pocieszać naszych przyjaciół, żeby się nie smucili i ostrzegać naszych wrogów, żeby się nie cieszyli?

Kadryle, menuety, kontradanse, śpiew marsylski, karmaniola, przebiegały obce kraje dla tej samej przyczyny, dla jakiej się rozlał po świecie język francuzki, dla jakiej się upowszechniły francuzkie mody.

Ale my nie mamy ani Ludwika XIV., ani Woltera, ani Russa, ani Napoleona, ani takiego wielkiego wstrząśnienia społeczeńskiego, jak Francuzi.

Polskie melodey i tańce wyszły z Polski nie otoczone żadnym blaskiem naszej ojczyzny, owszem, jak mara jaka piekielna towarzyszy im pamięć Sybiru, Szpandau, Szpilberga.

Nie przypominają kraju bogatego, narodu szczęśliwego, ale owszem uprzytomniają ziemię potępioną na męki, pełną złorzeczeń kapłanów i matek, jęku więźniów, płaczu dzieci.

I Europa chwyta z upragnieniem, jak gdyby dary nieba, melodey i wyraz szczęścia ziemskiego od narodu, dla którego na ziemi otworzyło się piekło!

Czy to jakie przeczucie narodów, że z naszej nieszczęśliwej ziemi wyjdzie jakieś nieznanne jeszcze szczęście ziemskie? Czy to może napomnienie, że uwolniona od wszystkich więzów instytucyj dzisiejszych, Polska ma wielkie powołanie urzeczywistnienia nowego rzeczy porządku?

Jak chcecie, panowie, rozwiązujcie sobie tę zagadkę, zawsze ma ona dziwne znaczenie.

Szczęśliwy, kto ją rozwiąże.

Albo co znaczą te gody tylu milionów ludzi, tylu narodów, obchodzących tryumf Polki?

Dla czego w pałacach i chatach u narodów nam przyjaznych i nieprzychylnych, wymawiane jest te pięć głosek? Czy to jakie ludzkie usiłowanie rozrzuciło ten wyraz po świecie i otoczyło go takim urokiem, taką miłością?

Jakież usiłowania i starania ludzkie byłyby dosyć silne do zajęcia tak powszechnego wszystkich narodów nieznaną

melodeyą, nieznanym tańcem! Słyszeliśmy za ledwie, jak wyraz ten ktoś w Paryżu wymówił i nie można było ująć krótkiej chwili od jego wymówienia i jego panowania.

Tu, jeżeli jest tajemnicza zagadka, to już nie nam samym, ale wspólnie z innymi rozwiązywać ją przyjdzie.

My już przeczuwamy tę tajemnicę.

Niech inne narody się zapytają, czy Polka byłaby świat obiegała, gdyby się była pokazała na bruku Paryża pod nazwiskiem Moskowki, Austryaczki albo Prusaczki?

Wy, zwłaszcza ludy słowiańskie odpowiadajcie na to pytanie.



GALICJA,

Wyjątek z pamiętników Józefa Reitzenheima.



GALICYA.

Wyjątek z pamiętników Józefa Reitzenheima.



ROZDZIAŁ I.



— Pamiętajcie o tem, że naród zdobywa i ustala swoją niepodległość tylko poświęceniem i krwią części swoich dzieci.

(Ostatnie słowa Marka Bozarysa po bitwie pod Negropolis.)

Gdy królestwo kongresowe, prowincye zabrane i wielkie księstwo poznańskie licznych mają dziejopisów i pamiętnikarzy, którzy do powszechnej wiadomości podają dążenia i działania tych części dawnej Polski, o jednej tylko prawie zupełnie zamileczano.

A przecie nie najmniejszy to kraj polski, bo dziś ma przeszło pięć milionów ludności i nie mniej jak inne kraje polskie żyzne i bogaty, bo na jego przestrzeni znajdziesz to wszystko zbiorowo, co inne części kraju posia dają tylko częściowo.

Nie mniej w końcu jak reszta Polski uczynił kraj ten poświęceń, bo od pierwszego podziału, ani dzieci swoich, ani szędził zasobów, aby dźwignąć sprawę ojczystą.

Mówię tu o częściach Podola, czerwonej Rusi i Małej Polski, dzisiaj Galicyą zwanej.

Szereg po szeregu stawają do walki od siedmdziesięciu lat jej synowie w zastępach narodowych i do najnowszych czasów składają w usiłowaniach ojczyzny niezliczone ofiary.

Dzisiaj Polak o miecz oparty, jak gdyby na spoczynku, zmierza okiem badawczym horyzont świata, aby zoczył gwiazdę nadziei.

Chwil tych zawieszenia broni używa Galicya przygotowując silniejszą podstawę następnych działań.

Rozwija bogactwo krajowe, szerzy oświatę, kształci lud, dźwiga, zasila i podnosi godność włościanina.

Księża polscy, co nie przestają do narodu należeć dla tego, że kościołowi służą i u których ojczyzna zaraz za Bogiem idzie, przynoszą kmiotkowi naukę ojca *Matews* i uwalniają go przez śluby wstrzemięźliwości od nałogu, który był i przyczyną i skutkiem zaniedbania dawnego.

Obywatele zaś zrzekając się części praw swoich, niosą ludowi zapewnienie swobody przyszłej.

Nie trybunowie ludu, nie polityka rządu nakazała wielkiej części właścicieli galicyjskich zastanawiać się, jakim sposobem najłatwiej włościanina można uwolnić.

Z patryotyzmu, serca i głębokiego uczucia sprawiedliwości wypływa ta chęć polepszenia losu tych, co żywią i co bronią.

Liczne towarzystwa dobroczynności trudnią się teraz wychowaniem dzieci, wspieraniem chorych, oświatą rolnika; słowem, wszyscy w Galicyi podają sobie ręce, aby niższe warstwy społeczeństwa dźwignąć materialnie i moralnie.

Znaczna liczba odznaczających się literatów zachęca i pokrzepia umysł stroskany, poezją i prozą narodową.

Któż nie czytał Fredry, Kamińskiego, Dunina Borkowskiego (Leszka), Bielowskiego, Garczyńskiego, Łucyana Siemińskiego, Pola i tylu innych?

Kto nie zna pism zbyt wczesnie zmarłych *Magnuszewskiego* i *Józefa Dunina Borkowskiego*?

Jak przed *Hinkonem* w *Wiśliczankach* za mgłą dzieje narodu się przesuwają, tak i ich plody ożywiają w duszy wspomnienia i nadzieje.

Czego dopiero od tych wieszczów i autorów możnaby się spodziewać, gdyby prace ich rozwijać się mogły pod promieniem ożywiającym wolności druku!

Mnie, co znaczną część życia mego w Galicyi przepędziłem, boleśnie raził ów brak zupełny wspomnień o tej części Polski.

Nie tu miejsce, aby go sposobem godnym zapełniać: nie ma tu dla mnie ani materiałów dostatecznych, ani usposobienia przedmiotowi odpowiedniego.

Niepodobna jednak, ażebym w ciągu następnych pamiętników, o tyle przynajmniej o Galicyi nie wspomniał, o ile tautejszy stan rzeczy i umysłów w latach 1830 i 1831 wpływał na działanie obywateli i na wychodzenie młodzieży do wojska polskiego.

Niepodobna, aby choć nawiasem nie napomknąć o przyczynach i tradycjach tak dawniejszych jak nowszych, które takie usposobienia przygotowały.

Niepodobna w końcu, abym opowiadając służbę moją w piątym pułku ułanów i udział jego w kampanii 1831 roku, nie wspominał o Galicyanach, którzy tak u siebie, jak w królestwie polskim działali.

Korzystam nareszcie z danej mi sposobności, aby poświęceniu należny hołd oddać, wspominając chociaż w krótkości o części Polski, która wielce zasłużona w upłynionych wiekach, pracuje szczerze w terażniejszości i rokuje wielkie na przyszłość nadzieje.

Chodząc po galicyjskim Podolu i Rusi Czerwonej, widzisz mnóstwo kopców, mogił, często i słupów z kapliczkami; napotykasz Zbaraż, Trębowlę, Podhorce.

Tu się rodził *Jan Sobieski*, co *Bisurmanów* gromił i *Wedeń* uwolnił.

Tu mężna Chrzanowska broniła twierdzy przeciw Tatarzynom.

Tu Polacy koczowiska Krymskich najezdników bili i grzebali.

Gdy cię droga poprowadzi za San, w Tarnowskie, Sannockie, Jasielskie i Sandeckie, słyszysz śpiew dzielnego ludu Mazurów.

Złotoustemi słowy przypomina ci dawne dzieje, lud nuci o życiu gminnem.

Dalej Tatry, jak gdyby straż Polski od strony południa i wschodu.

W bliskości, mogiły Wandy, Krakusa i Kościuszki, choć niższe od Karpatów, wznioślejsze jednak, bo na ich szczycie spoczywa sława.

Takie wrażenie wiek każdy napotyka i odbiera w Galicyi od Zbruczu do Białej, od Karpat do Wisły i Bugu.

Ciągle, zawsze i co krok odzywają się tam tradycje słowem, spżem i kamieniem i utrzymują jako święty spadek z ojca na syna, gorącą miłość do kraju.

Wzniosłe wspomnienia o świetnych walkach Rzeczypospolitej z Tatarami i Turkami, kiedy Polacy stanowili przedmurze cywilizacji, przypominają się Galicyanom tem żywiej, że ich Ruś Czerwona i Podole były jednym z najglówniejszych bojowisk.

Mówią o nich lasy i pola, miasta, wioski i zwaliska zamków.

Pamiętają Galicyanie tę przeszłość tem lepiej, im bardziej są przekonani, że do dziś dnia z całą Polską stoją na przedniej straży, na straży wysuniętej przeciwko nawałowi Rurek, cisnącemu się ku Europie.

Powiedzmy sobie śmiało, żeśmy ich dotąd zatrzymali: *Non nobis sed Vobis.*

Od r. 1767 do najnowszych czasów, wyjąwszy krótkie przerwy, ścigali Polacy ciągle najezdnika, wykonywając posłannictwo cywilizacji na wschód i zachód.

Dziś, kiedy na chwilę energia zaczepna ustała, opór nie przestaje dla tego działać, nie pozwala Moskalowi szerzyć się

w Słowiańszczyźnie, wzbrania mu ruchu śmiałego ku Azji i Europie.

W tym przeciągu czasu, w tych pracach, udział Galicyanów był nie mały.

Stawali mężnie obok braci swoich, dopomagali ochoczo słowem i czynem ogólnej sprawie, kiedy jeszcze przed pierwszym podziałem pradziady i dziady ich w konfederacji barskiej za oręż chwycili, aby zgnieść wdzierających się do Polski Moskalów i ich stronników.

U nich się rekrutowała konfederacja barska, w ich Karpatach chroniła się, od nich najskuteczniej pomoc przychodziła.

Roku 1792 przyczyniają się mieszkańcy tej części Polski, wtedy już przyłączonej do Austrii, do zwycięstwa pod Zieleńcami i do bitwy odpornej pod Dubienką.

Gdy z woli narodu i patriotycznej chęci innych części Polski w roku 1794, nieśmiertelnego Kościuszkę na naczelnika powołano, pospieszyli Galicyanie pod jego rozkazy, zwyciężali razem z braćmi Krakowiakami pod Racławicami, bronili Warszawy i ginęli na polach Maciejowic.

Rozbitki zastępów polskich formowały się na nowo pod opieką Rzeczypospolitej.

W legiach włoskiej i naddunajskiej pod Dąbrowskim i Kniaziewiczem, największa liczba wojowników składała się z Galicyanów, już takich, co z pułków austriackich przechodzili, już innych co prosto z kraju do legionów przybywali.

Gdziekolwiek się toczyła walka pod kolorami narodowymi, tam i oni byli.

W roku 1807 formowało się na nowo wojsko polskie, w r. 1808 wrócił cień narodowości przez utworzenie księstwa warszawskiego.

Otwiera się nareszcie kampania 1809 r. Dąbrowski, Zajęczek, Poniatowski, były to wtedy imiona, które powtarzała cała Galicya.

Książę Józef wchodzi zwycięsko do Galicyi wschodniej, korpus jego bierze Sandomierz i Zamość.

Wysłany z Zamościa do Lwowa jenerał Kamiński przybywa do tego miasta dnia 23. Maja.

Jenerał Rożnicki maszerując przez Jarosław i Przemyśl, łączy się z nim 25. Maja.

Któż z Galicyanów nie przypomina sobie ówczesnej radości całego kraju?

Kto o niej nie słyszał?

Stanisław Tarnowski, Franciszek Młocki, Ignacy Cetner, Jan Uruski, Ignacy Krosnowski, Józef Dzierżkowski, Bonawentura Fredro, Adam i Teodor Potoccy, przyjmują szeregi bratnie jako wyobraziciele zapału ogólnego.

Adam Potocki, miasto Lwów i Siemianowski formują pułki jazdy i piechoty.

W jednej chwili od Sanu do Zbrucza i Dniestru wszystko za broń chwytą.

Dnia 29. Maja rusza Strzyżowski z jednym szwadronem na Podole Galicyjskie, zajmuje z kolei Zborów, Buczacz, Jazłowiec i Tłuste; wszędzie lud w kosy, piki i strzelby uzbrojony z nim się łączy.

Pod Zaleszczykami Alojzy Cichowski przyprowadza mu jazdę, Nowicki piechotę, Rzodkiewicz z cyrkułów najbliższych do 5.000 pospolitego ruszenia.

Jenerał austriacki Biking stoi tu w 4.000 wojska regularnego z czterema działami.

Polacy usiłują go wyprzeć z tego miasta, lecz mają oprócz pospolitego ruszenia tylko 400 koni i 300 piechoty.

Działo się to 18. Czerwca.

Strzyżowski odstępuje więc od Zaleszczyk i przez Czortków, Tłuste i Budzanów wzdłuż Seretu idzie ku Janowowi, dokąd Rozwadowski przyprowadza mu 200 ochotników konnych.

Ztamtąd rusza przez Trembowłę, Mikulińce do Tarnopola, gdzie Dwernicki z Trzecieckim przyprowadzają mu 500 koni.

Zajawszy Strzyżowski Tarnopol dnia 27. ściga tam nowe oddziały strzelców pieszych i ochotników konnych i tym sposobem pomnożywszy swoje siły, na czele 2.000 wojska, w któ-

rem znajdowało się tylko 250 dawnego żołnierza, postanawia zaatakować jenerała Biking, który za nim tuż postępuje.

Pobiwszy go pod Zagroblami, wraca do Tarnopola i zostaje tam nowe oddziały ochotników, przyprowadzone przez Ryszczewskiego i przez Tarnowskiego.

W tym samym czasie zatrzymuje Cichowski w brzeżańskiem z jazdą i piechotą świeżo uformowaną, jenerała Keslera, który miał 3.000 wojska.

Jenerał Biking przeszedłszy Seret pod Budzanowem cofa się ku Winiawce.

Strzyżowski jeszcze wzmocniony przez nowe oddziały 900 strzelców pieszych, przyprowadzonych przez Skarbka z Bursztyna, atakuje znowu austriackiego jenerała i zmusza go do złożenia broni, pozwalając mu tylko wolnego oddalenia się do Czerniowiec.

Wielka część powstania galicyjskiego i podolskiego walczyła w tych bojach pod komendą swoich własnych dowódców.

Ztąd ruszają Polacy całą siłą na Maryampol.

Jenerałowie austriacy Egermann i Meerfeld ścignawszy z drugiej strony Dniestra 8.000 wojska, postanawiają tu bitwę stoczyć.

Już zaczęła się ze strony polskiej kanonada z czterech dział na jenerale Bikingu zdobytych, gdy wiadomość o zawarciu zawieszeniu broni w Znajm, dalsze działania przerwała.

Ale nie tylko nad Dniestrem toczyli boje powstańcy galicyjscy.

Działania ich rozciągały się aż do Karpat: Bracia Siedleccy, Kopystyński i inni przewodniczyli powstańcom w górach.

Lecz opuszczeni przez wojsko regularne, nie mogli się długo trzymać.

Kopystyński w dobrach swych wzięty, był rozstrzelany, Siedleccy zginęli z bronią w rękę.

Od dnia 20. Lipca, to jest od daty zawieszenia broni aż do ostatecznego zawarcia pokoju, pułki galicyjsko-podolskie uzupełniały się z jednej i drugiej strony Zbruczu, poczem we-

szły do służby księstwa warszawskiego pod numerami pułków ułańskich 8, 11, 12, 15 i 16, pułku 1. huzarów i 14. piechoty.

Roku 1812 podzielone było wojsko księstwa warszawskiego pomiędzy dywizye francuskie.

Tylko część jedna została oddzieloną i stanowiła piąty korpus armii Napoleona, pod dowództwem księcia Józefa Poniatowskiego.



ROZDZIAŁ II.



Część pułków galicyjskich do jego składu należała; reszta znajdowała się przy innych dywizjach polskich.

Walczyły wtenczas te pułki pod Smoleńskiem, Możajskiem, Czerykowem, Krasnoj i nad Berezyną.

W tych czasach przemaszerował także legion nadwiślański, uformowany jeszcze 1809 r. z jeńców wojennych, pochodzących z pułków galicyjskich.

Legion ten bił się przez trzy lata w Hiszpanii i roku 1812 otrzymał przeznaczenie do Moskwy.

Wiadomo jakie szczupłe szczątki armii polskiej wróciły do Warszawy po wojnie 1812.

Ale i te szczątki uniosły orły swoje i przyprowadziły całą artylerją swoją.

Książę Poniatowski rozpoczął nową formację szeregów narodowych w Krakowie i wkrótce stanął na czele 12.000 ludzi.

Szczątki pułków galicyjskich zlewały się wtedy w mniejszą liczbę pułków; lecz pobliskie obwody galicyjskie dostarczały nowych ochotników.

Nareszcie resztki legii nadwiślańskiej zasilaly szeregi narodowe.

Rozkaz Napoleona powołał roku 1813 wojsko księcia Józefa do Saksonii.

Piechota pod dowództwem Poniatowskiego stanowiła korpus 8 armii francuskiej.

Jazdę i artylerję pod nazwiskiem czwartego korpusu oddano pod dowództwo generała Kellermana.

Gina Polacy pod Lipskiem, padają nad brzegami Elstry około tonącego marszałka.

Nie jeden syn Galicyi tam spoczywa.

Korpus rezerwowy towarzyszy cesarzowi Francuzów za Ren. Po raz ostatni na ten czas prowadzi Dwernicki ułanów i krakusów pod Montmartre na wroga.

Polski żołnierz sztandary swoje zwija, kiedy cesarz naszych czasów imperatorską koronę składa.

Resztki wojska księstwa warszawskiego wróciły do królestwa polskiego, z kąd Galicyanie po największej części wrócili do siebie.

Widzieli oni państwa i dynastje powstające i upadające. Wśród olbrzymich wypadków błysnęła była dla nich w latach 1807, 1809 i 1812 gwiazda nadziei.

Dla niej wszystko poświęcili.

Lecz niestety znikła jak kometa, który ją poprzedził. Smutek opanował wszystkich, bo u siebie pozostali, byli w ścisłych stosunkach uczuciowych z braćmi, z którymi podzielali tak zmienne losu koleje.

Stan ówczesny Galicyi niczem zranionego uczucia Polski nie wynagradzał.

Tytuł królestwa był martwym słowem.

Sejm postulatowy w skutku kongresu wiedeńskiego krajowi nadany, był tylko cieniem reprezentacji narodowej.

Język urzędowy pozostał jak dawniej łaciński lub niemiecki; dygnitarstwa krajowe zostały bez powagi, bo nie miały żadnej urzędowej działalności.

Nie mogło więc takie położenie zaspokoić serc żywo dla ojczyzny bijących.

Zwróciły się na chwilę oczy Galicyanów na królestwo kongresowe, lecz prędko i tu opuściło ich złudzenie, gdy tam gwałt zastąpił prawa, gdy na miejscu łaski marszałka sejm-

wego obaczyli kij kaprala moskiewskiego, w osobie wielkiego księcia Konstantego.

Cofnęła się też największa część obywateli i mieszkańców Polski austriackiej w życie wiejskie i prywatne, oddając się wspomnieniom tak bliskich wypadków, przez tylu naocznych świadków opowiadanych.

Ile to rodzin nie miało w ostatnich zdarzeniach straty ojca, brata, męża, lub syna a wszyscy matki Polski do oplakiwania!

Przy każdej sposobności wychodziło na jaw to, co pozostawało w głębi serca i myśli.

Jeszcze dzieckiem będąc przypominam sobie, z jakim to zapalem przyjmowano Krakowiaków i Górali, tego obrazu narodowego.

Lecz kto zdołałby oddać zapal i okrzyki pełne uniesień, jakie we Lwowie towarzyszyły pierwszej reprezentacji Wiśliczaniek, wtedy zwłaszcza, gdy przeszłość i przyszłość Polski Hinkonowi we śnie się pokazuje!

Przypominam sobie, z jakim rozrzewnieniem lud lwowski przypatrywał się rycinom, które przedstawiały śmierć księcia Józefa.

Gdy po zgonie Napoleona alegorye przez Werneta robione się pokazały, chciwie je rozechwytywano.

Gdzieś zaszedł, tam grób na wyspie św. Heleny obok śmierci księcia Józefa pośród pamiątek narodowych, w ukryciu domowem widziałeś.

Każdy w jakim bądź zawodzie celujący człowiek powiększa sławę narodową, liczy się do jej filarów.

Ale skoro się zjawia w czasach trudnych i złej przygody, wtedy wartość jego w dwójnasób się powiększa.

Do liczby takich mężów należał Mickiewicz.

Gdy się u nas pisma jego pokazały, witano je z radością, bo wtedy był wieszczem polskim.

Uważano go za poetę prawdziwie narodowego i dla tego Galicya się nim cieszyła.

Szczyciła się Moljerem sceny polskiej, Aleksandrem Fre-

dra; słuchała i kochała Kamińskiego, bo on był roku 1809 wieszczem czynnym.

Trzeba było widzieć, żeby sobie to wyobrazić, jakimi zaszczytami, jakim uszanowaniem obywatele i młodzież otaczali Józefa Dzierzkowskiego i innych, co z ostatnich wypadków piękne imię wynieśli.

Młodsze polenie kształciło się w liceach i uniwersytecie lwowskim.

Szło mu li o nabycie użytecznych wiadomości, o ile to w tamecznym stanie naukowości być mogło, nie ma bowiem w Austrii wolności wykładu przedmiotów.

Młody człowiek pracuje tam 15 lub 16 lat, nim dojdzie do ostatecznych egzaminów jakiego fakultetu.

Przez ten czas obciąża się głowa mnóstwem niepotrzebnych nauk.

Cesarz Józef zaczął reformę szkół odbierając je zakonom, lecz nie dokonał dzieła, nie miał dosyć czasu do wytępienia ducha scholastycznego.

Była tem większa zasługa w poddawaniu się takiej morderczej pracy, im mniej pokolenie młodsze służby rządowej szukało.

Rzeczywiście, prócz kilku wyjątków, nikt z możniejszych ani do cywilnej, ani do wojskowej służby austriackiej nie wchodził.

Pomimo tych niewdzięcznych szkół, wpływ wypadków politycznych w postronnych częściach Polski, wydał niektóre owoce.

Pokazywali się pisarze z talentem: L. I. i N. H. drukowali płody swoje w Warszawskiej Meliteli, dali się poznać publiczności Tetmajer, Jaszowski, Kretowicz.

Niemal cała szkoła dzisiejszych autorów galicyjskich wtedy się kształcić zaczynała.

Tym trybem szło życie Galicyanów, cicho, tęskno.

Terazniejszość była im o tyle miła, o ile z bliską przeszłością miała styczności.

Nie było wypadków zewnętrznych, które na nich silniej wpływać były mogły.

Rewolucya hiszpańska, Węglarstwo włoskie, walka Greków, poruszyły wprawdzie umysły i obudziły spokojne oczekiwanie, lecz koniec szybki jednej i drugiej, jakoteż początkowa niemoc Greków wstrzymały dalsze skutki wywołanego wzruszenia.

Śmierć Aleksandra i konspiracya Pestla i Murawiewa obudziły na nowo czujność patryotyczną Galicyanów.

Zdaje się, że stosunki sprzyśniętych rosyjskich rozciągały się nawet do Galicyi, bo przy końcu 1825 r. i na początku 1826 nastąpiły aresztowania.

Uwięziono K. Stadnickiego, Kochańskiego i innych.

Wszakże śledztwo nie wykryło tych stosunków i wszystkich wypuszczono.

Nadchodzi kampania turecka.

Śmiały ten krok Mikołaja słusznie Austryę tak zatrwożył, że wojsko swoje pomnożyła do 400.000 i starała się skłonić Anglię i Francję do przymierza przeciw Moskalom.

Przy końcu 1828 odgroziła się nawet, że korpus obserwacyjny nad granicę Serbii ściągnie, jeśli Rosya ponowi wojnę r. 1829.

Lecz nie powiodło się jej zdecydować Francyi, a bez tej Anglia się chwieje.

Książę Meternich sam sobie zostawiony, przez Tatyszczewa w Wiedniu a Pozzo di Borgo w Paryżu ściśle pilnowany, zaniedbuje oporu śmiałego i w końcu przystaje na traktat Adryanopolski.

Tajne depesze pisane z Paryża dnia 28. Listopada przez posła moskiewskiego do ministra Nesselrodego, objawiają najdokładniej cały stan działań dyplomatycznych w tej epoce, a najbardziej usiłowania księcia Metternicha.

Wtedy to znowu odezwał się rząd austriacki do uczuć narodowych Galicyanów: z jego rozkazu utworzono we Lwowie katedry literatury polskiej i języka krajowego.

Przysłano na gubernatora Galicyi czeskiego księcia Lobkowicza, który ród swój od Popiela wywodzi.

Jako Słowianin i miły w pożyciu z obywatelami, gubernator ten umiał im się podobać, kazał sobie nawet indygenat pol-

ski przyznać a w uroczystych zebraniach występował w ubiorze polskim.

Założenie kamienia węgielnego biblioteki Ossolińskich przypadło również w te czasy.

Na krótki czas podniosły się nadzieje; żywsi myśleli, że Austria podaje im rękę przyjacielską i że w interesie własnym Polskę dźwignie.

Lecz inaczej się stało.

Gdy bowiem rząd austriacki przed skutkami wojny tureckiej w r. 1829 głowę ugiął, w naturalnem następstwie usunął wszelki pozór dawania Polakom nadziei.

Wtedy to nawet księciu Lobkowitzowi zakazał minister policyi pokazywać się w kontuszu.

A jednak to odezwanie się do uczuć narodowych Galicyanów, a przeto do całego narodu polskiego, było może jedynym a przynajmniej najskuteczniejszym środkiem zapobieżenia rezultatom wojny tureckiej, jak podobnie i na przyszłość nim byćby mogło.

Austria ma wszystko do stracenia; ludność jej niemal na pół słowiańska, częściowo syzmatycka, dzisiaj już zostaje pod wpływem Moskali.

Te ludy ulegną kiedyś niezawodnie parciu historycznemu z północy na południe, skoro tylko Moskwie wolno będzie siły swoje w jedno połączyć ognisko.

Wyrzec się teraz prawa swego do Galicyi, wezwać wszystkie żywioły polskie, zjednoczyć je w całość i postawić między sobą a nawałem Mongoło-Ruryków; jest to ostateczny środek, jaki dworowi wiedeńskiemu pozostaje.

Inaczej nie zapobiegnie katastrofom, których sam pierwszą padnie ofiarą.

Oslabiając Moskali przez poświęcenie Galicyi, jako części niepodległej i wolnej Polski, wskrzesiłby na nowo lud dzielny i utworzył sobie zaporę od północy.

Moskiewski Sławianizm straciłby swój wpływ tak szkodliwy dla rządu austriackiego i Austria zjednałaby sobie przymerze silne i trwałe, bo na wdzięczności oparte.

Jakaż w przeciwnym razie odnosi dwór austriacki korzyść z posiadania Galicyi? Oto, że ma poddanych niechętnych, nieprzyjaznych, którzy z każdej sposobności korzystając będą, aby się od rządu jego oswobodzić.

Niechaj gabinet wiedeński nie sądzi, że rozwijanie interesów materyalnych, które jego minister finansów baron Kubek dzisiaj tak cudownie popycha, zdoła Polaków galicyjskich stanowczo do Austrii przywiązać.

Ogromna ich większość ma inne, wyższe potrzeby: narodowym, intelektualnym wszystkie inne poświęci.

Niechaj nie sądzi, że Jezuiaci opanowawszy spowiedzią i wychowaniem umysł publiczny w Galicyi, do Austrii go przywiążą: gra struna na Haliczu i Włodzimierzu, gra struna w Małej Polsce po prawym brzegu Wisły i przedźwięczy akorda z lutni uczniów Lojoli.

Niechaj nareszcie rząd austriacki nie sądzi, że oświadczenie się kilkudziesięciu ludzi bez charakteru, bez zasług, a tem samem bez jakiegokolwiek bądź powagi wśród mieszkańców Galicyi może mu rokować trwałe posiadanie tej krainy i przywiązanie jej mieszkańców.

Nie ma ta garstka nic wspólnego z ogromną masą Galicyanów.

Bałwochwalczy bożka siły de facto, opuszczają oni pierwszy rząd austriacki, przed którym teraz czołem biją, skoro skądkolwiek bądź mocniejsza zjawi im się potęga.

Przyszłość Austrii w jej rękę; niechaj ją przygotowuje, póki czas!

Obok wzorów tylu poświęceń, tylu ofiar, nawiasowo tylko wspomniałem o garstce niegodnych obywateli, którzy swojemu widzimisię i samolubstwu wszystko poświęcają co wzniosłe i szlachetne.

Ale gdzież takich niema?

Gdzież to społeczeństwo, któreby i wyrodków w gronie swoim nie liczyło?

Są i oni w Galicyi . . .

Lecz precz z nimi!

Niechaj nam harmonii obrazu ogólnego nie psują.

Podobnych do słabej plamki rdzy na jasnym zwierciadle stalowem, zetrzesz ich lekkim pociągnięciem ręki i jak mglisty obłoczek na powierzchni nieba czystego się gubi, tak i oni znikają na patryotycznym horyzoncie Galicyi.



ROZDZIAŁ III.



Nadszedł w końcu rok 1830. Jak na całą Europę, tak i na Polskę wywarła niespodziewana lipcowa manifestacya woli ludu francuskiego, największe wrażenie.

Każdy czuł, że dni lipcowe są to jeno pierwsze ogniwa w łańcuchu zdarzeń i skutków z nich pochodnich.

Galicyanie pierwszą wiadomość o nieudanym zamachu Karola X. na wolność myśli i słowa, radośnie przyjęli.

Lecz gdy się rozeszła wiadomość o szczegółach walki jak i o przyczynach ordonansów lipcowych, wtedy zapal ich nie znał granic.

Ogarnął on także znaczną część urzędników i wojskowych niemieckich.

Znajduje się pomiędzy nimi bardzo wielu ludzi szlache-tnych i zacnych, co zdolni są uczuć wszystko co piękne i wzniosłe.

Ich położenie nie pozwala im jednak objawiać głośno tego uczucia, bo po największej części bez majątku jedyne utrzymanie mają ze służby rządowej, która w ogólności przechodzi z ojca na syna.

To ich położenie nie wylacza wszakże głębokiego uczucia godności człowieka.

Wiedzieli oni dobrze, że gdyby się był udał zamach je-

zuickiego Karola X., wtedy prawa człowieka w Europie na długo byłyby zostały przygniecione.

I urzędnik austriacki, równie jak drudzy do praw tych wzdycha.

Lwów przedstawiał w początkach Sierpnia 1830 roku obraz niepospolitego ruchu umysłowego.

W publicznych miejscach wrywano sobie dzienniki, o najmniejszą nowinę cheiwie się pytano.

Były jak powiadają, już wtedy tajne namowy pomiędzy obywatelami o to, coby czynić wypadło, gdyby się zdarzenia ponad Odrę zbliżyły.

O inicjatywie w królestwie kongresowem nikt nie myślał, wyjąwszy może kilku, którym spisek koronacyjny był wiadomy i którzy tym sposobem o elementach zaczepnych w samym kraju wiedzieli.

Moje położenie osobiste było wtedy szczególne i nawet przykre: wielką część młodzieży znałem blisko z uniwersytetu, obywatele zaś z towarzyskich stosunków.

Nie tailem nigdy mojego sposobu widzenia rzeczy politycznych; powodowany jednak położeniem mojem, nie objawiałem go wyraźnie.

Ta okoliczność, jak i stanowisko ojca mego, którego znano jako urzędnika do Austrii i do jej systematu mocno przywiązanego, sprawiły, że wielka część dawnych znajomych moich, pewną zachowała ostrożność w mówieniu ze mną.

Cały więc ruch umysłowy od pierwszych wiadomości o rewolucyi lipcowej i wzmaganie się go aż do następnych czynów, to jest aż do udziału Galicyanów w wojnie przeciw Moskalom, znałem tylko przez własne dostrzeżenie; lecz to łatwiejsze było, jak się zdawać może, albowiem stosunki moje z dawnymi znajomymi ciągle trwały, a ich niecierpliwy entuzjazm często się zdradzał.

W miesiącu Wrześniu 1830 zaprosił mnie do siebie pewien obywatel na przenosiny.

Mieszka on w bliskości pól historycznych.

Obszerny dom mieścił w sobie wszelkie wygody.

Wśród pokojów wytwornie przyozdobionych znajdowała

się sala ubrana w ryciny tego rodzaju, o których wyżej wspomniałem.

Były tu i obrazy dawnych ułanów legionowych i wizerunki sławnych Polaków.

W tej sali tedy młodzi obywatele, gościnną uprzejmością właściciela sproszeni, pozabierali miejsca i oddawali się wspaniałym wspomnieniom.

Widać było jak o sprawie ojczystej żywo rozmawiali, od razu cicho, a potem i głośno.

Uważałem, że moja obecność ten święty zapal tamowała; najczęściej więc w takich chwilach wychodziłem do parku nad Dniester, na pola ku słupowi, gdzie kiedyś obozowało wojsko wielkiego bohatera polskiego.

Wiadomość o rewolucyi w Belgii, rozmaite powstania niemieckie, coraz wolniejszy sposób pisania gazet i broszur, które się do nas z zagranicy dostawały, to wszystko coraz więcej umysły Galicyanów rozpałało.

Każdy czuł, że wkrótce coś ważnego dla Polski nastąpi, albowiem są chwile w życiu ludzi i narodów, gdzie się czuciem przewidują zdarzenia, którychby w innych czasach nie odgadł rozum najlepszy.

A tak, co w myślach było, objawiało się słowami.

Oderwanie się Belgii od Holandyi i ruch w Niemczech zdecydowały nareszcie święte przymierze do zabiegów, aby przywrócić w zaburzonych krajach dawny porządek.

Zdaje się, iż od Belgii zacząć postanowiono.

W istocie miał to być zamach pośredni na Francję, która przy słabej sąsiadce z wielu przyczyn byłaby musiała pomagać.

Kto dziś powiedzieć może, jaki byłby był koniec tej wojny?

To pewna, że krew byłaby się strumieniem lała.

Wiadomo, że wojsko polskie miało wyruszyć ku granicom Prus, że korpus litewski przeznaczony był zająć jego miejsce.

W tym samym czasie, to jest na początku Grudnia, wielka część pułków austriackich w Galicyi odebrała rozkaz gotować się do pochodu.

W tem nadchodzi pierwsza wiadomość o rewolucyi listopadowej do dywizyi tarnowskiej, która podobno już w ruchu była. Jenerał dywizyi baron Trapp takową najpierw odebrał. Zatrzymuje on do dalszych rozkazów wszelki pochód wojska i posyła natychmiast gońców do Wiednia i do Lwowa.

Ogólne wieści koło piątego Grudnia w stolicy Galicyi się rozeszły.

Z początku było mocne zdziwienie, lecz prędko zamieniło się w najoczywistszy zapał, gdy się dowiedziano, jak bracia Polacy walkę z Moskalami rozpoczęli, jak bohatersko ją skończyli.

Powtarzano nazwiska tych, co pierwsi ruch ten rozpoczęli i tem bardziej ich wielbiono, że wielu z nich było Galicyanami.

Z początkowego działania, jak z zamachu na życie Konstantego i z zabicia tylu jenerałów, rokowano dalsze krok w krok tamtemu odpowiednie działanie i logiczne rozwijanie rewolucyi, której tylko naprzód ruszać wypadało, aby zwyciężyć.

Jak teraz się dzieli tak i w owym czasie dzieliło się społeczeństwo galicyjskie na trzy wyraźne odcienia: na parafianów, (niechaj mi wolno będzie pożyczyć ten wyraz od znanego autora galicyjskiego) to jest na takich, co przed każdą władzą głowę uchyla; na konserwatorów, to jest takich, co zachowują gorące życzenie dla narodowości, ale stojąc odosobnieni, w niczem się nie narażają, nakoniec na postępowych, do których należy oprócz wielu nazwisk znanych z tradycyi i z majątków, cała masa mniejszych obywateli braci.

Wiadomości z Polski pomieszały wszystkie te szyki: z parafianów zrobili się konserwatorowie, z konserwatorów postępowi.

Parafianie poczęli mówić o ojczyźnie, wzdychali do niej, a niektórzy nawet wasy pozapuszczali.

Twarz pewnego księcia, która dotychczas była gładką jak twarz lorda kanclerza Wielkiej Brytanii, odrazu niby cudem jasnym włosem zarosła, a pewien hrabia, który nie dawno do

Wiednia był pojechał, aby tam u fiskusa służbę rządową przyjąć, zaczął się uczyć śpiewu walecznych naszych żołnierzy: Jeszcze Polska nie zginęła! Jednym słowem assymilowali się z krajem, o ile mogli i przybliżali się do osób z patryotyzmu i wartości wewnętrznej znanych.

Ale z ukontentowaniem przychodzi mi tu powiedzieć, że konserwatorowie z postępowymi zupełnie się połączyli i wszystko na ołtarzu ojczyzny poświęcić byli gotowi.

A cóż dopiero wypadnie powiedzieć o paniach i pannach galicyjskich.

Całe ich uczucie zajaśniało wtedy świetnym blaskiem i objawiało się szczególnie w zachęcaniu młodzieży do boju.

Są to Polki!

Tym wyrazem wszystko powiedziałem.

Księża katolicy, jak zawsze tak i teraz pokazywali się wiernymi synami ojczyzny.

Oby każde duchowieństwo polskie tych zacnych kapłanów za przykład brało, oby na ich wzór budowało Rzym na własnej ziemi miłością ojczyzny!

Z innych obrządków katolickich najbardziej Ormianie się odznaczali, mniej popi unici.

Jezuici w Tarnopolu, jak zawsze tak i wtedy, dwuznaczną rolę odgrywali, bo gdy jedna ich część, na ważne wypadki w Polsce zupełnie obojętną była, druga najżywiej je przyjmowała; słyszałem, że po nieszczęśliwym końcu wojny naszej, tych drugich do innych klasztorów zagranicznych rozślano.

W razie gdyby wojna była się ukończyła pomyślnie, byliby zapewne tamci wyjechali.

Natychmiast działać, było główną myślą Galicyanów.

Opinie wszakże, w jaki sposób działać, nie były jednokowe: młodzi chcieli od razu broń podnieść, starsi jak L. . . . J. . . . P. . . . K. . . . radzili oczekiwać biegu wypadków, a tymczasem przygotowywać broń, konie, amunicję.

Lecz postępowanie owych, którzy władzę z rąk tych odebrali, co z Warszawy Moskali wypędzili, nie było wcale tej

natury, aby podnosiło, a przynajmniej utrzymywało zapał Galicyanów.

Zatrzymaniem w radzie administracyjnej ludzi niepewnego charakteru, czynami i zaniechaniem, sprawiono tak w Polsce jak w Galicyi powszechne zasmucenie.

Lecz gdy ujrzano u steru powstania, otoczonego zaufaniem narodu generała Chłopickiego, wtedy na nowo rozumiano że godzina działań nadeszła.

Wysłano z rozmaitych stron deputacje do dyktatora z zapytaniem, czy cyrkule galicyjskie powstać mają i jak działać należy.

Ale jakież nie było deputacyj tych zadziwienie, kiedy usłyszeli Chłopickiego mówiącego tylko o kongresowej Polsce i o Mikołaju jako królu.

Gdy o projektowanym ruchu wspomniano, podniesionemi rękami błagał, aby o podobnych rzeczach nie myślano.

Nie odmówił on wprawdzie Galicyanom ani prochu, ani skałek, jak zabranym prowincjom, bo tego nie żądali; ale pozbawiał ich większej rzeczy, bo zaufania w człowieka, którego za zbawiciela Polski uważali.

Pomimo że takim sposobem nie wiedziano, jaki obrót sprawa weźmie, niczego jednak nie zaniedbano, aby się jak najprędzej uorganizować.

Największa część obywateli Galicyi postanowiła na potrzeby wojny płacić regularnie procent z dochodów swoich.

Oprócz tego składano inne ofiary: broń, konie i inne sprzęty wojenne.

Damy trudniły się przysposabianiem i zbieraniem bielizny, skubaniem szarpi, zachęcaniem obojętniejszych do poświęceń.

Wszystkiemi temi usiłowaniami kierował komitet, mając licznych dziesiętników i agentów po całym kraju, a zwłaszcza na granicy dla pewniejszego związku z królestwem.

W drugiej połowie Grudnia zaczęli Galicyanie do wojska wychodzić; nie wiadomo mi, ilu do tego czasu cyrkule galicyjskie opuścić mogło, z samego Lwowa wyszło w tym czasie do trzydziestu młodzieży.

Pierwszy, którego wyjście dosyć mocne wrażenie sprawiło, nazywał się Pietrusiński, doktor prawa i filozofii, referent u fiskusa, mąż niepospolitych zdolności.

Był to zarazem pierwszy przypadek opuszczenia urzędu.

Wróćmy teraz na chwilę do rządu austriackiego i obaczmy, jaki wpływ nowiny o nocy 29. Listopada na działania jego wywarły.

Rząd austriacki poznał od razu całą ważność rewolucyi polskiej, nie tylko bowiem wstrzymał wszelkie działania przeciw Niemcom, Belgii i Francji, ale także przewidział, że zdarczenia warszawskie muszą koniecznie wywrzeć wielki wpływ na Galicyą.

Gabinet wiedeński czuł zarazem całą ich ważność co do Moskwy; Austria bowiem cieszy się z każdej klęski, jaką straszny jej sąsiad północny gdzie bądź i kiedykolwiek ponosi. Lecz tylko się cieszy, bo ta chwila jeszcze nie nadeszła, w której pozna do tego stopnia niebezpieczeństwo, że go częściową ofiarą na zawsze oddalić zechce.

I wtedy znowu trwoga o szkodę chwilową, podrzędną, wzięta górę nad interesem prawdziwym, głównym.

Ówczesny gubernator Galicyi książę Lobkowicz przedsięwziął nadzwyczajne środki bezpieczeństwa.

Nie tylko pochód wojsk ostatecznie wstrzymany został, ale nawet zaczęto ściągać do Galicyi nowe wojsko.

Podwojono czujność i ostrożność we Lwowie, dokąd wkrótce nowy pułk węgierski Benzur przemaszerował.

Załoga Lwowa stała się wtedy groźną, bo już pierwiej stały w tem mieście dwa węgierskie pułki Maryassy i Leiningen a jeden pułk galicyjski Nugent.

Podwojono także pocztę, odwachy, straż ogniową.

Projekt zrobienia powstania, doszedł już był do uszu policyi i dla tego też całemu wojsku dano rozkaz, aby po pierwszym alarmie zbierało się na punktach wyznaczonych.

W końcu Stycznia wybuchnął z niewiadomych przyczyn pożar na Zarwaniicy, ulicy żydowskiej i przy tej sposobności zebrały się tłumy ludu.

Wnet stanęła cała załoga pod bronią i zajmowała place

publiczne do późnej nocy. Żołnierzom rozdane były ostre ładunki.

Oprócz tego była wielka czujność ze strony policyi i natychmiast porozsyłano rozkazy, aby granicę suchą od Chwałowic do Pawłowic, od Sanu do Bugu ostro pilnowano i po całym kraju o paszporta się pytano.

Trzeba jednak przyznać, że ten dozór więcej był odporny jak zaczepny i że nie bardzo ciężył ani Lwowowi, ani Galicyi.



ROZDZIAŁ IV.



Wielu urzędników i oficerów niemieckich sprzyjało szczerze sprawie polskiej, gdyż uważali ją ze stanowiska sprawiedliwości i ludzkości.

Ta życzliwość objawiła się najwyraźniej w pułku jazdy H. . . . i w pułku piechoty N. . . .

Było w nich wielu oficerów i żołnierzy, co się otwarcie przeciwko Moskałom oświadczało; trzymając przez czas niejaki kordon nad granicą, chętnie przepuszczali wychodźców niby ich nie widząc.

W końcu Stycznia przybywa do Lwowa pułkownik moskiewski Brendel.

Misya jego była oczywista.

Miał on rozkaz pilnowania rządu i razem mieszkańców Galicyi.

Staje w hôteł de la Russie, życiem huczmem i rozrzutnem stara się młodzież do siebie przyciągnąć; ale wjąwszy jednego Polaka W. . . . L. . . . i jednego lub dwóch z młodzieży niemieckiej, nie udało mu się żadnych zawiązać stosunków.

Musiał się jednak dobrze carowi zasłużyć, bo po skończonej wojnie, w czasie której we Lwowie przesiadywał, obdarzył go Mikołaj tytułem generała i krzyżem św. Anny.

Około dwudziestego Stycznia kilkunastu uczniów z uniwersytetu wybrało się do Polski; w ich liczbie był także W. . . . L. . . .

Zaskoczyli im drogę dragoni, gdy nocą ku granicy jechali; zwrócono ich i prosto do Lwowa przyprawiono, gdzie blisko cztery tygodnie w więzieniu wojskowym siedzieli.

Kiedy ich aresztowano, nie było pomiędzy nimi W. . . . L. . . . Aresztowano także hr. D. . . . obwiniając go o wysyłanie żołnierzy do Polski.

I tamtych i tego Brendel denuncyował.

W pierwszych dniach Lutego nadeszła wiadomość o złożeniu dyktatury i o mianowaniu rządu tymczasowego.

Chłopi w oczach Galicyanów stracił dawny urok.

Ceniono w nim zawsze odważnego patriotę i niepospolitego generała; lecz nie widziano już w nim naczelnika, któryby nad zdarzeniami górował.

Efekt tego złożenia był dobry.

Równie dobry wpływ wywarło ukonstytuowanie rządu tymczasowego.

Nazwisko prezesa księcia Adama Czartoryskiego uważano za najpewniejszą rękojmię poprowadzenia sprawy na drodze zbawienia.

Skład reszty członków rządu, do którego ludzie czynni i pracowici należeli, wzmagał jeszcze tę nadzieję i powiększał energię Galicyanów.

Lecz co jedną i drugą do najwyższego stopnia podniosło, to detronizacja Mikołaja.

Zaproponowaną przez Sołtyka, wspartą przez Wołowskiego, przeprowadził Jan Ledochowski, zawoławszy:

— Nie ma Mikołaja!

A izba i Polska powtórzyła radośnie:

— Nie ma Mikołaja!

Za niemi Europa zdumiona powtórzyła:

— Nie ma Mikołaja!

Jak Temistokles Grekom flotę spalił, aby ich do zwycięstwa przymusił, tak wykrzyknikiem tym zerwał w t e d y poseł

Jędrzejowski wszelką nadzieję ugody między Polską a carem, zostawując jej j e d y n ą drogę zbawienia.

Odwagi wojskowej mieliśmy przykłady niezliczone, odwagi cywilnej tylko ten jedyny.

I ta odwaga była by Polskę zbawiła, gdyby w duchu jej krok w krok dalej naprzód było postępowano, wstecz się nie oglądając.

Detronizując Mikołaja, trzeba było gotować się na śmierć lub na zwycięstwo.

Inaczej się stało!

To faktum jednak wiecznie pozostanie; należy mu się jedna z najpiękniejszych stronicy w historii Polski.

Zawiść i niechęć miną, ale decyzja izb polskich 25. Stycznia 1831 roku na zawsze w dziejach narodu zapisaną zostanie.

Uważano u nas tę uchwałę, jako krok ostateczny; sądzono że odtąd półśrodki ustaną.

Gotowała się więc młodzież, gotowali się obywatele do wyjścia liczniejszego, gdyż już od dawna wszelką myśl podnoszenia oręża w Galicyi zaniechano.

I moje postanowienie było wtedy ostateczne; do tego czasu obawa mnie zatrzymywała, że może nie przyjdzie do wojennych kroków z Moskalami.

Widywałem na ten czas niektórych znajomych, mieszkających w hotelu Rosyjskim; po ich ruchach i czynnościach łatwo poznać można było, że się do Polski wybierają.

Pewnego dnia udaję się więc do jednego z nich prosząc aby mi wyjazd ułatwił.

Z przykrością przyszło mi usłyszeć, jak mi to odradzał i mówił, że sam o wyjeździe nie myśli.

Pałasze, pistolety i siodła w tem samym pokoju porozrucane, zaprzeczały temu zapewnieniu.

Był to jeden z najzaciewniejszych młodzieńców.

Roztropna ostrożność tak ze mną postąpić nakazywała, ponieważ nie wiedział jak uważać te moje oświadczenia.

Zrozumiałem go od razu i od tego czasu postanowiłem nie zwierzać się już więcej nikomu.

Dwa dni potem powiadano mi, że z pięcioma innymi do Polski ruszył,

Sam tedy zacząłem wyjazd mój przysposabiać; była to jednak rzecz nie łatwa dostać się do granicy bez pomocy obywateli i bez stosunków.

Pomimo tego udało mi się bez niczyjego przyczynienia się i jakim takim fundusikiem wszystko do tego celu przysposobić, a gdy dnia 8. Lutego wiadomość o wkroczeniu wojsk moskiewskich do Polski, we Lwowie otrzymano, postanowiłem 10. stolicę opuścić.

Była to chwila, w której umysły co raz bardziej wrzały.

Więści z Polski, wiadomości o wychodzących Galicyanach, doniesienia zagraniczne o entuzjazmie, jakie wywołało w całej Europie powstanie listopadowe, wszystko to w wysokim stopniu natężyło umysły.

Chociaż to było w samym środku karnawału, mało jednak kto o tańcach i zabawach myślał.

Panie i panny zajęte były pracami przeznaczonemi na ofiarę dla ojczyzny, a chwile odpoczynku poświęcały rozmowom o krajowych rzeczach.

Namawiały młodzież do spieszenia na pole obowiązku i chwały, a tym, co się nie bardzo skorzy zdawali, posyłały listy bezimienne z kądzielą lub zajęczą skórką.

Słowem, jak powiedziałem, cała Galicya zawrzała.

W takim stanie rzeczy opuściłem Lwów; zostawiłem za sobą miasto, w którym większą część życia przepędziłem, gdzie się znajdowała luba moja rodzina.

Jechałem bez pomocy, bez znajomych, naprzeciw niewiadomych kolei.

Lecz co mówię! Znajdowałem pomoc w uczuciu wielkości sprawy, za którą walczyć myślałem; znajomych i przyjaciół widziałem od tej chwili w każdym Polaku, który tak, jak ja za oręż chwycił. Przed samym wyjazdem zwierzył mi się dawny znajomy Kamil z chęcią walczenia za Polskę.

Pojechaliśmy tedy razem ku granicy omijając Żółkiew i Belz.

Miałem sposobność przekonania się o dobrych chęciach ludu, bo jak gdybyśmy na czole mieli napisane, odgadywano w dwóch miejscach na popasie, dokąd jedziemy i czy to byli rzymsko-katolicy, czy Rusini, czy żydzi, wszyscy błogosławili nas na drogę.

O milę od granicy musieliśmy się dla bezpieczeństwa skryć przez noc i dzień.

I tu życzliwość obywateli grzecznosciami nas obsypała, a znajomi Kamila nad samą granicą przyprowadzili mu trzy konie jako dar dla Polski.

W nocy z dnia 11. na 12. Lutego po wielkich trudach i błędzeniach dostaliśmy się nareszcie do Królestwa polskiego do wsi Rzeplina, przebywszy granicę pod Ułwówkiem.

Ponieważ trakt główny do Warszawy przez Moskalów był zajęty, musieliśmy jechać do Tomaszowa i ztamtąd do Szebrzeszyna wzdłuż granicy austriackiej.

Tu mało brakowało, żeśmy się w ręce Moskalów nie dostali, bo gdyśmy z lewej strony do ostatniego miasteczka przyjechali, wchodziła tam właśnie z prawej brygada jazdy generała Kawera, tego samego, którego później generał Dwernicki pod Kurowem pobił.

Położenie nasze było dosyć trudne, albowiem mieliśmy z sobą trzy konie luźne, pod siedzeniem pałasze i pistolety a około siebie kręcących się Kozaków.

Szczęśliwa myśl wyratowała nas z niebezpieczeństwa.

Widząc, że starszyzna przed gospodą z koni zsiada, kazałem tam wprost zajechać, bo uchodzić dalej nie było już czasu.

Uważałem to za jedyny sposób unikania indagacji ze strony podwładnych oficerów, od których mniej wychowania i tem samem mniej grzeczności niż od starszych spodziewać się można było, a z którymi bliżej się stykać było to samo co wystawiać się na odkrycie celu naszej podróży. Skutek pokazał, że mój się w rachubie mojej nie omylił.

Stańło z nami razem w karczmie dwóch pułkowników,
Bronikowski, pamięt. polskie.

jeden od dragonów zwany Dymitriew, drugi od strzelców konnych.

Pierwszy był człowiek z wychowaniem światowem, mówiący językami europejskimi, drugi Moskal na stajaszczy, ale za to dobroduszny w całym znaczeniu tego wyrazu.

Gdyśmy się razem zeszli, zapytywali mnie, co przewidzieć można było, zkąd, dokąd i w jakim interesie jadę.

Odpowiedziałem że jestem wójtem gminy Rzeplina, mego towarzysza udałem za tamtejszego pisarza i dodałem, że jadę do Rachowa, aby niektóre sprzęty do rodziny mojej należące zebrać i że dla tego konie luźne z sobą prowadzę.

Zdawali się wierzyć mi i przestrzegli, że bezpiecznie dalej jechać nie mogę, bo patrole ich wszędzie są porożyslane i mogłyby nas zatrzymać, dla tego radzili, abym się udał do ich generała po pismo zapewniające nam bezpieczeństwo. W takiej alternatywie udałem się do samego Kawera, który mnie dosyć ściśle wy badał i potem do adjutanta swego po otrzymanie paszportu odesłał.

Nie zapomnę nigdy strachu burmistrza który się natenczas u generała znajdował.

Poznawszy on od razu, że tym nie byłem, za kogo się udawałem, nie mógł się śmiałości mojej dosyć nadziwić i sam mi o tem wieczorem mówił.

Żyd w karczmie i inni mieszkańcy to samo odgadli, a nikt nas Moskałom nie wydał. Resztę wieczora przepędziłem z pułkownikiem.

Dymitriew namawiał mnie, abym wszedł do służby moskiewskiej, obiecując mi stopień junkra.

Rozmowa z oficerami była z innych względów zajmująca, bo gdy głowy czajem rozgrzali, wtedy wolniej o rewolucyi mówić zaczęli; co chwila jednak dopytywali się: k u d a K r a k u s y ? Dziwny to był przypadek.

Jadę do Polski, aby się bić przeciw Moskałom a pierwsze towarzystwo wojskowe, w którym wieczór przepędzam, jest moskiewskie: nie mam papierów a generał moskiewski sam daje mi na drogę paszport.

Rzecz godna uwagi, że Moskale wszedłszy w granicę

królestwa polskiego, nie uważali tego kraju za nieprzyjacielski. Wojsko trzymane było w wielkiej subordynacyi, wszystko placono gotowemi pieniędzmi.

Co większa szanowali ale swoim chytrym sposobem, nawet strażę bezpieczeństwa.

Byłem świadkiem, kiedy szef sztabu Kawera burmistrzowi Szebrzeszyńskiemu uzbrojonych w piki mieszczan zwołać kazał i pod swoje rozkazy podciągnął.

Było w tem coś zadziwiającego widzieć siły przez rewolucyę utworzone, obrócone niejako na korzyść tych, przeciw którym walczyć miały.

Kawer kazał temu pospolitemu ruszeniu tylko kokardy poodejmować i tego samego wieczora użył mieszczan Szebrzeszyńskich do robienia patrolów.

Biedni mieszczanie nie wiedzieli co się z nimi dzieje, kiedy nagle ujrzeni się pod rozkazami Moskałów.

Rozmawiając z pułkownikiem moskiewskim i z innymi oficerami zapytałem wtedy, kiedy już cokolwiek w głowie mieli, czy generał Kawer jest Kurlandczyk? o czem wiedziałem.

Odpowiedzieli mi z miną narzekającą, że nie tylko on, ale wszyscy prawie generałowie rosyjscy są Niemcy.

Pułkownik Dymitriew bojąc się, aby kolega jego jeszcze szczerzej się nie rozgadał, pociągnął go za mundur i przerwał rozmowę.

Nazajutrz wyjechaliśmy o trzeciej z rana podwodą, którą zacny burmistrz dostarczył i pomimo bezpieczeństwa, które nam paszport moskiewski zapewniał, takimi bocznymi drogami prowadzić nas kazał, żeśmy się nigdzie z Moskałami nie spotkali.

Okolo drugiej stanęliśmy w Janowie, gdzie zaszły nowe trudności. Gdy tu po raz pierwszy natrafiliśmy na władzę polską, udaliśmy się natychmiast do komisarza obwodowego, aby go prosić o paszport i dalszą podwodę.

Przed mieszkaniem jego zastałem mnóstwo bryczek i kolasek, w domu zaś samym jego liczne towarzystwo mężczyzn, uzbrojonych w rozmaite konfederatki, uzbrojonych w karabele

rozmaitego kształtu i rodzaju i cokolwiek rozochoconych przy śniadaniu.

Gdy im opowiedziałem nasze przygody pomiędzy Moskalami, nie chcieli od razu wierzyć i niezawodnie podróż nasza byłaby się była opóźniła innemi trudnościami, gdyby nie stary jeden obywatel w kontuszu, który z nami po niemiecku zaczął rozmowę i przekonawszy się z niej o naszej uczciwości i naszym patryotyzmie, za nieznanym nie był zaręczył.

Wtedy całe towarzystwo witało nas serdecznie, zapraszając do wspólnej uczty.

Lecz niedługo ta radość trwała, bo gdy ledwie w pół godziny później wiadomość nadeszła, że o milę od Janowa Kozacy się pokazują w okamgnieniu sala się wypróżniła, a po chwili mało co kolasek i bryczek przed domem zostało.

Dopóki będziemy ulegali gwałtowności wrażeń chwilowych, dopóki tylko pod ich wpływem najczęściej działać będziemy, dopóty i czyny nasze zmieniać się będą wraz z wypadkami.

Na noclegu dokąd potem i my wyjechali, dopędził nas sam komisarz uciekając przed Moskalami z biórem i kasą obwodową.

Nie wiem czy Moskale do samego Janowa dotarli.

Dnia 15. Lutego przybyliśmy pod Rachowem zamarniętą Wisłę, która w kilka minut po naszym przejściu w tem miejscu puściła.

Znowu więc uniknąłem szczęśliwie wypadku.

Odtąd jechaliśmy już bez złych przygód i dnia 20. Lutego wieczorem stanęliśmy w Warszawie.

Koło, jakie nam robić wypadało, aby się bezpiecznie do niej dostać, zabrało nam dziesięć dni czasu i utrudzało podróż, ale i ta zwłoka nie była bez korzyści, bo miałem sposobność poznać ducha, jaki w kraju panował.

Widziałem jak nas wszędzie przyjmowano skoro się dowiedziano, że jedziemy z Galicyi służyć wspólnej sprawie; widziałem jak nam wszędzie od Janowa straż bezpieczeństwa służby pilnowała, jak się wszyscy od chłopka do pana za Polską wolną i niepodległą oświadcza.

Gdym do Warszawy przybył, pierwszą myślą moją był wybór pułku, chciałem albowiem natychmiast do wojska wstąpić.

Znajomi, których jeszcze tego samego wieczora mnóstwo w kawiarni wojskowej i w hotelu litewskim spotkałem, radzili mi naturalnie do tego wniknąć, w którym sami służyli, lub w którym najwięcej było Galicyanów.

Miałem tedy wybór między złotą chorągwią, legią nadwiślańską i piątym pułkiem ułanów.

Złota chorągiew formowała się w Warszawie, po największej części z Galicyanów; lecz nie miała ani koni, ani broni.

Legia nadwiślańska zas z samych Galicyanów złożona, w Staszowie dopiero zaczęła się zbierać.

Gdy zaś nieprzyjacieli już tylko o dwie mile od Warszawy się znajdował a ja natychmiast służyć zamysliłem, postanowiłem wejść do piątego pułku ułanów, którego dwa szwadrony chrzest ogniowy pod Dobrem już były odebrały.

Pułk ten kosztem Zamojskich utworzony, składał się częściowo ze starych żołnierzy, częściowo z ochotników, pomiędzy którymi także bardzo wielu było Galicyanów.

Jak najlepiej umundurowany i uzbrojony miał dzielne konie i był tyle szczęśliwy, że od początku dostał się pod komendę dawnego, doświadczonego i wieloma bliznami w usłudze krajowej okrytego oficera wyższego.

To wszystko sprawiło, że ten pułk w wojnie wielce był użytecznym; dzieląc nieustannie od początku do końca trudy i niebezpieczeństwa całego wojska, znajdował się niemal

we wszystkich większych bitwach i wyprawach robiąc obok tego ciągłą służbę forpocztową i patrole.

Zdaje mi się, że formacje wszelkich legij szlacheckich podczas wojen narodowych, powinny być zaniechane.

Są one stratą czasu, pieniędzy, nareszcie i ludzi; za to co jedna legia kosztuje, możnaby trzy pułki uformować, podzieliwszy pomiędzy nich ochotników, którzy i prędzej i skuteczniej w pułkach sprawie służyć mogą, niż zgromadzeni w legion.

Jako wzór przyszytych formacji stawiałbym pułk ułanów.

Ochotnicy rozdzieleni pomiędzy dawne kadry, prowadzeni przez zasłużonego oficera, niezawodnie jak pułk piąty, dobrze się ojczyźnie zasłużą; bo jakież inny mógłby być rezultat tam, gdzie pod dobrym kierunkiem zapal z doświadczeniem się łączy?

Dnia 22. Lutego udałem się do obozu za Pragę, aby prosić pułkownika piątego ułanów Stanisława Gawrońskiego o przyjęcie mnie do pułku, a co więcej o bezpośrednie przypuszczenie do szwadronów, które stały na linii bojowej.

Skłonił się do tego pułkownik i dał mi piśmienne zlecenie do kapitana Sienkiewicza, który za dwa dni z trzecim szwadronem do obozu miał wymaszerować, aby mnie przyjął. Jakoż nazajutrz w tym szwadronie jako prosty żołnierz przyjęty zostałem.

Gdy do Warszawy przybyłem, Galicyanie znajdowali się już dosyć licznie we wszystkich broniach i niemal po wszystkich pułkach.

Ci należeli do liczby tych, co przed wkroczeniem Moskali dostali się do Polski, kiedy droga do armii głównej otwartą była.

Lecz od czasu, jak związek z nią od strony Wisły przecięty został, zbierała się wychodząca z obwodów ruskich młodzież w korpusie generała Dwernickiego a z okolic pomiędzy

Sanem, Wisłą i Karpatami w Staszowie. Inni spieszyli pojedynczo do Warszawy.

Wszyscy niemal wchodzili w szeregi uzbrojeni na koniach własnych, w zapasy wojenne dobrze opatrzeni.

Ławki uniwersytetu i liceów coraz więcej się wypróżniały i profesorowie widzieli, jak się dzień w dzień zmniejszała liczba słuchaczy, co szli pod Grochów, Dębe i Ostrołękę walczyć za religię, prawa i historję swoją.

Gdy wyjątek ten z pamiętników już do druku podany został, doszła wiadomość o tegorocznych na sejmie galicyjskim wnioskach o zmianę stosunków między właścicielami i włościanami.

Staraniem Chochlika Wasilewskiego i kilku innych zacnych obywateli przed dwoma laty przygotowana i przez tegoż samego na sejmie 1843 wniesiona, doszła kwestya ta w tym roku do takiego stopnia jasności, że od tego czasu najrzeczywistszych, najszczęśliwszych rezultatów po niej spodziewać się można.

Wniosek zaś hrabiego Alfreda Potockiego, najbogatszego właściciela w Galicyi, aby włościanom własność gruntów nadać i księgi hipoteczne dla nich zaprowadzić, nadaje dążeniom tym charakter wyraźny.

Przyjaciela ludzkości i Polski przyjmują te słowa tego możnego pana w całym ich znaczeniu i spodziewają się, że je potwierdzi przykładem, że wnioski komisji, narady sejm, decyzję rządu wyprzedzi czynem.

Tym zaś, którzy w cichości pracowali, nim się głośno odezwać mogli, niechaj nagrodą będzie przekonanie o wielkich usiłowań ich skutkach, które od pokolenia do pokolenia wznęść będą.

Gdym przed kilku laty do Westminster Abby, tym Panteonie Wielkiej Brytanii chodził, uderzył mnie pomnik, przedstawiający klęczącego murzyna z rozkutemi kajdanami, a przed nim mężczyzny ze szlachetnym na twarzy wyrazem.

Był to grób Foksa.

O! Jak mi się w tej chwili te posągi żywo przypominają!

Za życia i po śmierci, pokolenie po pokoleniu błogosławieństwo czeka tych, którzy z własną stratą pęta ludzi skruszyć umyślili.

Przy takich staraniach obywateli galicyjskich muszę wspomnieć o publikacjach niektórych anonimów.

Ich staraniem zdaje się być wyszukiwać i na jaw wydobywać podłości i brudy.

Jak owe nocne gady, znajdują tylko upodobanie w błotach i kałużach.

Wolno było niepospolitemu pisarzowi galicyjskiemu stylem Aristofanosa przechłostać samolubów tej krainy, wolno mu było jako cenzorowi morum karcieć skrzywienie obyczajów i uczuć pewnej koteryi.

Ale nie wolno lada skrybentowi i pod wygodnem ukryciem anonima rzucać potwarze na swoich współrodaków.

Bogdajby im się kiedyś tak nie stało, jak owemu recenzentowi, co przyszedłszy jednego razu do pewnego lubownika nauk i sztuk pięknych, ofiarował mu za nagrodę dziełko, w którym wykazał błędy Eneidy.

Mecenas każe na to przynieść dwa woreczki, jeden próżny, drugi pełny zboża i rzecze do recenzenta, aby ziarno od plew oddzielił i niemi napełnił próżny worek, który mu w zamian za recenzję ofiarował.

Dziś kiedy dążenie niemal całej Galicyi ku powszechnemu dobru skoncentrowane, kiedy tam usiłowania z najrozmaitszych stron ku polepszeniu są skierowane, nie godzi się ogłaszać za typ powszechny wad pojedynczych; ale owszem należy słowem, piśmem i czynem rękę tym podawać, którzy dobrze chcą. Nie jest szlachetnie szukać gdzieś tam po lochach i kryjówkach plam i ułomności, kiedy się widzi do koła w całej jasności światła usiłowania i wzniosłe uczucia.

Nie jest mądrze rozdzielać i rozdrażniać, gdzie trzeba łączyć i godzić.

Przypominajcie sobie ostatnie słowa Zemsty Aleksandra Fredry:

— Jeno bądźmy wszyscy razem, a Bóg nam dopomoże.



POWSTANIE

powiatu Latyczowskiego

NA PODOLU.

Pamiętnik Erazma Dobrowolskiego.

1831.

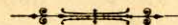


POWSTANIE POWIATU LATYCZOWSKIEGO NA PODOLU.

PAMIĘTNIK

Erazma Dobrowolskiego

1821.



ROZDZIAŁ I.



Pierwszą wiadomość o powstaniu Warszawy w dniu 29. Listopada, przywiózł nam żyd, jadący w interesie handlowym z Łucka do Międzyboża.

Jakie wrażenie na mnie sprawiła, trudno wyrazić, bo i w moich żyłach biła krew polska i mnie obchodził los nie-szczęśliwej ojczyzny.

Radość, zdziwienie, a przytem niecierpliwość powzięcia pewniejszych wiadomości przejęły całe moje jestestwo.

Znajdowałem się wtenczas w dobrach księcia Czartory-

skiego w Stawnicy kluczu Międzybozkim, gdzie byłem lustratorem.

Przejeżdżały tamtędy rozmaite osoby, znajome i niezajome mi, spostrzegłem, że wiadomość ta wszystkich zajęła, ale pod rządem despotycznym tylko z ostrożnością można było o niej mówić.

Musiałem jak inni w głębi serca zamykać swoje uczucia.

Myśl przynajmniej nie skrepowana pracowała nieustannie, jak w tej pożądanej kolei ojczyzny być jej użytecznym.

Dwa szczególnie zajmowały mnie projekta: rozmyślałem czy jechać do Warszawy przekradając się przez Galicyę, czy zostać na miejscu i tam starać się być sprawie polskiej użytecznym.

Stałem na pierwszym.

Miałem wyjechać z kolegą szkolnym który często przyjeżdżał do Stawnicy, oznaczyliśmy już dzień wyjazdu, umówiłem się z żydem moim faktorem, żeby nam koni dostarczył i wszystko było już do wyjazdu gotowe.

Było to w nocy; w chwili, kiedyśmy już do sanek wsiadać mieli, kiedy już bawiącemu wtenczas w Stawnicy koledze memu znak dałem, bratowa jego domyślając się naszego zamysłu, zatrzymała go, wyszedłem więc sam i z razu niepewny, czy mam sam jechać, czy na niego czekać, wnet wziętem postanowienie, wsiadłem do sanek i przy świetle księżycy z faktorem i woźnicą ruszyliśmy w drogę.

W przejeździe przez lasy księcia Molo Mytkowickie, usłyszałem wycie wilków i pomyślałem, że to zła wróżba; ale sanki lekko się sunęły, konie dobrze biegły i szczęśliwie przebyliśmy lasy, pędząc drogą do Tarnorudy, położonej nad samą granicą austriacką.

Nazajutrz stanęliśmy w wiosce p. Gawrońskiego; nieznałem go, ale słyszałem o jego poczciwości.

Zaszedłem do niego wieczorem, odkryłem mu się z moim zamiarem, w nadziei że mi ułatwi przeprawienie się przez granicę, byłem u niego na wieczery, potem wróciłem do karczmy, przenocowałem tam i zamiast jechać dalej, jechałem na powrót do dóbr księcia.

Ażeby nie ściągnąć najmniejszego podejrzenia, zacząłem znowu lustrować folwarki.

Zkąd ta raptowna zmiana i postanowienia z drogi?

Usłuchałem rady zdrowej; w wojsku regularnem nie byłbym zastąpił nawet żołnierza, na miejscu mogłem się czynnie przyłożyć do powstania.

Jakoż powróciwszy do domu zająłem się przygotowaniem powstania w dobrach księcia.

Zaraz z początkiem zimy poleciłem nadleśnemu, aby kazał wyciąć tyk mierniczych prostych ile tylko być może, a to niby dla pomiaru geometrycznego, w rzeczy zaś na drzewca lanc ułańskich.

Jeżdżąc po folwarkach miałem sposobność dowiedzenia się, gdzie było jakie siodelko, gdzie się znajdowały pałasze, strzelby, pistolety, ażeby w razie potrzeby można było je zabrać, albo darmo, jeśliby właściciele na to się zgodzili, albo za opłatą z kasy księcia.

Do robienia kul i dostawiania prochu użyłem Strugalewicza i którym ufalem i o których mogłem się przekonać, że byli przychylni sprawie polskiej.

Kupiłem też kilka koni dla siebie, a pomiędzy temi dwa od przysłego naszego dowódcy Nagórniczeskiego.

Kiedy tak cichaczem robiłem przygotowania, doszła nas wiadomość, że Kolysko na Ukrainie powstał, że Leon Stempowski zrobił powstanie w powiecie Płoskirowskim.

Nadjechał wreszcie major Chrościkowski, delegowany od rządu narodowego.

Zajechał on był od dziedzictwa moich znajomych, na których z pewnością rachować mogłem.

Nie widziałem go, ale mnie zapewniano, że tam w obec kilkunastu obywateli, którzy się na naradę zjechali, ogłosił powstanie ogólne na 18. Kwietnia.

By to na kilka dni przed tym terminem.

Wszystkie te wiadomości nagliły przysposobić wszystko do powstania.

Ale w dobrach księcia nie byłem przypuszczony do zaufania komisarza, u którego w tym względzie odbywały się

narady i na potrzeby powstania nie miałem prawa asygnowania do kasy.

Nareszcie gdy komisarz wyjechał do Galicyi z hr. Waleskim, żadnego rozporządzenia, ani co do dóbr, ani co do powstania nie zostawiwszy, musiałem liczyć tylko na własne usiłowania.

Byłem w Hoholach u mojej matki, kiedy jeden z wysłańców Chrościkowskiego dał mi znać, żebym na 18. Kwietnia do powstania był gotów.

Ruszyłem więc czem prędzej do Łysanowiec, gdzie mieszkałem i ztamtąd pospieszylem do Kalinówki, gdzie była gorzelnia wielka, a przy niej kuźnia; tam sprowadziwszy kilku kowali, jednej nocy pod dozorem kazałem okuć 40 lanc pierwszej już tam przewiezionych i czarno pomalowanych.

Potem objechałem klucze i gdzie tylko było jakie siodło porządne, strzelba, pistolety, wszystko to zabrałem i moją brykę sprowadziłem do Łysanowiec, gdzie przy pomocy złożyłem to wszystko porą nocną w szpiczlerzu pod moim kluczem.

W szpiczlerzu tym lały się także kule do pistoletów i broni ręcznej, i tam był nasz skład prochu.

Dodać to winienem, że wszyscy chętnie bezpłatnie oddawali broń swoją.

Wszystkie te przygotowania uszły bacności policyi, może dla tego, że podróże moje uważane były za przejeżdżanie obowiązkowe z dóbr do dóbr, może też i domyślano się moich zamiarów, ale nie chciano pociągnąć mnie do odpowiedzialności z obawy, abym w razie dla mnie niebezpiecznym, nie poburzył wszystkich chłopów do powstania, co jako lustratorowi dóbr i lubionemu od włościan nie było rzeczą niepodobną.

Dla tej zapewne przyczyny, lubo prawie otwarcie kupowałem konie, lubo częściej niż dawniej z miejsca na miejsce przejeżdżałem, asesor, który mieszkał w Międzybożu i zapewne o moich przygotowaniach miał doniesienia, zostawiał mnie w spokojności.

W parę dni potem Chrościkowski odwołał termin powstania.

Odwołanie to zmarnowało wiele usiłowań, wielu oburzyło, naraziło próżno, zniechęciło, a co do mnie nie zmieniło zamiaru zrobienia powstania.

Będąc w Stawnicy rozmawiałem o tem z

— A cóż panie kiedy zrobisz powstanie? — zapytałem go.

— Zaczniij tylko — odpowiedział — a ja się do ciebie przyłączę.

Tak więc zniecierpliwiony, cały początek na siebie wziąłem.

Zawołałem dwóch oficyalistów Struglewicza i którym już pierwszej młodych ludzi, pisarzy, lokajów do powstania przyspasabiać i werbować kazałem i powiedziałem im, żeby ich uprzedzili, że dziś w nocy wychodzimy na powstanie.

Punkt zebrania w Stawnicy naznaczyłem.

Zdziwiło to ich nieco, że im zostawiłem czas tak krótki; jedni pospieszili, drudzy nie dotrzymali placu, nie poszli, zostali w domu.

Tego samego dnia ruszyłem ze Stawnicy do Łysanowiec, zabrałem moje konie, siodła, broń i z kilku ochotnikami z czynszowej szlachty, przybyłem zaopatrzony w cały rynsztunek wojenny do Stawnicy o godzinie 10 wieczorem.

Zwołałem dziesięciu Kozaków, skłamałem przed nimi, że książe jest królem polskim i żąda ich pomocy, spytałem się ich, czy pójda ze mną bić się z Moskalami i odpowiedzieli mi jednomyślnie że pójda.

Dałem każdemu po sześć rubli srebrnych na rękę i kazałem im natychmiast konie siodłać.

Szlachcie czynszowej dałem także po sześć rubli srebrnych, ale na hańbę ich muszę tutaj wspomnieć, że niektórzy byli tak nikczemni, że wzięli pieniądze, a kiedy przyszło siadać na koń, już ich nie było.

Z bólem serca przypominam także sąsiadów obywateli, trzech chłopów jak dęby, którzy robili wszelkie przygotowania do powstania, mieli konie, broń, siodła, jeden z nich był dobrym siodlarzem, a jak przyszło do rzeczy, stchórzyli i zostali w domu.

Nim wyruszyłem ze Stawnicy na wojaczkę, napisałem raport do policyi latyczowskiej tej treści:

— Dobrowolski zabrawszy konie ze stajni księcia i Kozaków, opuścił Stawnicę dnia

Zrobiłem to w tym celu, żeby zasłonić dobra księcia i złożyć całą winę na mnie.

Z kasy księcia wziąłem wtenczas 2000 rubli srebrnych, ale aby być wolnym od zdawania rachunków, oddałem te pieniądze kontrolorowi kluczowemu, który był obowiązany z nich się wyliczyć.

Dla czego nie zabrałem wszystkich pieniędzy z kasy księcia, tego nie wiem, a mogłem to zrobić i dostarczyć je księciu.

Ale konie wierzchowe ze stajni księcia wszystkie zabrałem; było ich 15, kozackich było 10, moich 5.

Uformowałem więc pluton kawalerji złożony z 30 ludzi na dzielnych koniach.

Każdy kawalerzysta miał lancę dobrze okutą, a prócz tego, każdy miał albo pistolety, albo strzelbę, albo pałasz.

Uformowawszy tym sp. sobem pluton z 30 koni, wyruszyłem o godzinie 3 z rana, maszerując dwójkami.

Kiedyśmy przez Międzybóż przechodzili, za ledwie na brzask się zabierało.

Jechaliśmy w ciszy i nie spotkaliśmy żywej duszy w Międzybożu.

Był tam wtenczas pułkownik rosyjski od ułanów, Glaznap, co wrócił z pod Boremla raniony.

Zapomniałem o nim i nie aresztowałem go, chociaż dla ostrożności należało to uczynić, bo o naszym przemaszerowaniu mógł zdać i zapewne zdał raport władzy wojskowej.

Dopiero kiedyśmy Międzybóż minęli, spotkaliśmy starą kobietę, która nam pobłogosławiła słowami:

— Nech wam Boh poszczasty!

Dalej maszerując spotkaliśmy żyda, który zdjął jarmułkę, ukłonił się nisko i życzył nam wszelkiej pomyślności.

Przechodząc przez las Międzybozki, posłałem Kozaka do nadleśnego mego kolegi szkolnego, ale gdzieś się schował, bo go Kozak nie mógł znaleźć.

Tak maszerując udaliśmy się wprost do Aleksandra Gołyńskiego, który mi powiedział, że wkrótce w 8 koni do mnie przybędzie, a teraz z nami iść nie może, bo jeszcze się nie przygotował.

Tymczasem poczęstował nas wódką i dał chorągiewki do lanc, bo moje ich nie miały.

Później dopiero dowiedziałem się, że chorągiewki znajdowały się w Stawnicy, ukryte w krześle, a uszyte ręką zacnej osoby, która już nie żyje.

Gdy konie nieco wytchnęły, ruszyłem do Jabłonówki, własności marszałka powiatu Latyczowskiego, także mego kolegi szkolnego; ale się schował.

Za to wyszedł na przeciwko mnie i powitał serdecznie major Nagórniczewski, później nasz dowódzca.

Natychmiast wskazał nam miejsce w lasach Jabłonowieckich, przybył tam później i porozstawiał pikiety.

Poprzywiązywaliśmy konie do drzew, a właściciel Jabłonówki przysłał nam rondel zrazów.

Z tego stanowiska nazajutrz wieczorem przenieśliśmy się w głąb lasu Jabłonowieckiego na pochyłość góry gęsto zarosłej.

Tu przybyło do nas kilku powstańców, jeden adwokat z Latyczowa, Marcinkowski z Starego Konstantynowa i inni. Tutaj także w nocy przy świetle ognisk pozapalanych przy szumie mroźnego wiatru, składaliśmy przysięgę wierności naszemu dowódcy Nagórniczewskiemu.

Surowa postawa ludzi, co domy i rodziny dla świętego celu poopuszczali i dzikość miejsca, nadawały tej przysiędze coś uroczystego i wzniosłego.

Z lasów Jabłonowieckich przenieśliśmy się do lasów Zeniszkowieckich Sierakowskiego.

Tutaj w kilku dniach powiększyła się drużyna powstańców.

Przybył Aleksander Gołyński w ośm dzielnych koni; sam dowódzca sążnisty z twarzą wąsami ogromnemi pokrytą, postawą marsową, miał minę starego wojskowego. Przybył także we 12 równie dzielnych koni.

W tych lasach staliśmy więc dosyć długo i nie było dnia, żeby nowi powstańcy do nas nie przybywali, tak że w przeciągu dni dziesięciu nasza cała jazda liczyła do 100 koni.

Czas ten nie był stracony, bośmy go obracali na uczenie się mustry i robienie ładunków.

Ztąd jeździłem wzięwszy z sobą kozaka Międzybozkiego do Hohol do mojej matki, która tyle miała ducha patryotycznego, że mię bez uronienia łązy modlitwą tylko pobłogosławiła i pożegnała. Siostry się rozplakały i ja łez wstrzymać nie mogłem.

Ostatni ten raz moją matkę kochaną widziałem. Siostry moje widziałem jeszcze, bo przyjeżdżały odwiedzić mnie w obozie.



ROZDZIAŁ II.



Kiedyśmy tak dosyć długo biwakowali w lasach Zeni-szkowieckich, zdarzył się następujący wypadek.

Jeden z powstańców, Drużbacki, który później życie sobie odebrał w Galicyi, posłał do swojej siostry, mieszkającej blisko ztamtąd swego kozaka na moim siwym dzielnym koniu, prosząc jej, aby nam przysłała furażu dla koni, a nam żywności.

Kilka godzin upłynęło, kozak nie wracał i byliśmy w wielkiej niespokojności, aż dowiadujemy się, że w tej samej wsi mieszkający Biernacki, niegdyś mój kolega szkolny, niegodny nosić imienia Polaka, naszego kozaka związał, do bryczki swojej zaprzął i osobiście ruszył do Kamieńca podolskiego z raportem najhaniebniejszym do rządu, nazywając nasze powstanie bandą lotrów, włóczącą się w jego okolicy i prosząc dla bezpieczeństwa własnego o załogę wojskową.

Kiedyśmy się o tem dowiedzieli, wypadło dla ukarania tak nikczemnego człowieka natychmiast za nim posłać w po-goń, sprowadzić go do obozu i tam przykładnie na przykład powieszeniem na pierwszej gałęzi ukarać; ale nie tak się stało.

Nasz dowódzca wysłał Aleksandra Gołyńskiego w 10 koni z poleceniem, ażeby w jego domu wszystko zrujnował.

Gołyński spisał się gracko, zboże ze spichrza rozdał włościanom i żydom, meble i wszelkie ruchomości domowe, bez

żadnej szkody wioski potłukł, jednym słowem, wszystko co tylko mógł, zniszczył.

Była to pierwsza nasza wyprawa, smutna wprawdzie, ale sprawiedliwa.

Przez dni kilkanaście dla uorganizowania się, dla jakiegokolwiek wyćwiczenia się w mustrze i obrotach wojskowych, dla powiększenia liczby powstańców, którzy codziennie przybywali, naostatek zapewne i dla tego, że nie mogliśmy prowadzić regularnej wojny z Moskalami, przechodziliśmy nocami i w największej ciszy z lasu w las, a w dzień zakryci gęstwina, stawaliśmy na spoczynek i popasaliśmy konie.

Jakiś staruszek z czasów Kościuszki jednym konikiem i wózkiem służył nam w wielu miejscach za przewodnika.

Moji żołnierze Kozacy i inni, co nie mieli grosza, byli płatni codziennie po złotówce; z tego powinni byli się żywić. Ci zaś, co mieli pieniądze, nic nie pobierali.

Z obozu napisałem do Olszewskiego, jako po wyjeździe komisarza do Galicyi i po wyjściu lustratora na wojaczkę, z porządku zastępującego miejsce rządcy dóbr Międzybozkich, ażeby przysłał nam skór, ile ich tylko było w magazynie i dobrego rymarza z dóbr, inaczej sprowadzimy go do obozu i powiesimy.

Nie wiem, czy się tego przestraszył, czyli powodował się uczuciem dobrego Polaka, ale to pewna, że w parę dni po przesłaniu mej karteczki przez Kozaka już była w obozie fura ze skórami z magazynu księcia i z dobrym rymarzem, który ciągle nam towarzyszył, zdaje mi się aż do Galicyi i zawsze miał co robić, nasze siodła nie wojskowe, źle opatrzone, ciągle się psuły.

Kiedy liczba powstańców do 150 koni wzrosła, tak żeśmy porządny formowali szwadron, dowódzca nasz zaprojektował naówczas uderzyć na Latyczów, nasze miasto powiatowe, gdzie była złożona broń, pozabierana od obywateli wkrótce po wybuchnięciu powstania w Warszawie.

Ażeby zaś ta wyprawa udała się, posłał adwokata z Latyczowa . . . , który sam oświadczył się z chęcią tej usługi,

polecając mu przekonać się o ilości i rozłożeniu siły wojskowej, oraz dowiedzieć się, gdzie była broń złożona.

Adwokat pojechał do Latyczowa furą chłopską i powróciwszy uwiadomił dowódcę, że tylko kilkunastu inwalidów i czterastu ułanów składało załogę tego miasta.

Ale nie mógł tego wiedzieć, że tej samej nocy, w wilię naszego ataku, przybył do Latyczowa, lubo bez broni, batalion rekrutów.

Nie wiem, dla czego nie atakowaliśmy Latyczowa w nocy, kiedy jak mi się zdaje, lepiej niż za dnia użyć powstańca, który nie przyzwyczajony do boju, nie tak łatwo może zajrzeć śmierci w oczy, jak żołnierz regularny, dobrze wyćwiczony i z bojem już niejako otrząskany.

Koniec końcem, przedsięwzięliśmy uderzyć na Latyczów, ile zapamiętam, do dnia.

Nasz dowódzca zrobił takie rozporządzenie:

Aleksander Gołyński miał we 12 doni wpaść do miasta jedną rogatką, kiedy reszta naszej siły miała uderzyć drugą stroną.

Oddział złożony z kilku koni, nie pamiętam pod czyjem dowództwem, był przeznaczony do zabrania kasy.

Inny oddział pod dowództwem Malinowskiego był posłany za szukaniem kapitana sprawnika Kułakowskiego z poleceniem, żeby go powiesić.

Gołyński i Malinowski wpadli do miasta podług rozporządzenia, jak tylko zadniało.

Pierwszy przełamał rogatkę Latyczowską i ucierał się z ułanami, którzy wybrawszy się pieszo do niego strzelali.

Drugi szukał Kułakowskiego po wszystkich pokojach; w stajni, piwnicy, ale zapomniał go szukać pod strychem, gdzie ten łotr, który dokuczał obywatelom i obdzierał ich, był schowany.

Może Malinowski młodzieniec niewinnego serca, nie oswojony z przykrą sobie powierzoną wyprawą, kapitana sprawnika znaleźć nie chciał.*)

*) Ten sam kapitan sprawnik w parę lat później był w Hoholach u

Kiedy tak dwa te oddziały rozkaz swój pełniąc, czujność nieprzyjaciela w mieście obudziły, tymczasem my z główną siłą jakoś nie spieszyliśmy się bardzo.

Byliśmy blisko Latyczowa, mogliśmy nocą bliżej podejść, przenocować w lasach latyczowskich, a skoro dzień na miasto uderzyć.

Ale zatrzymaliśmy się przed karczemką, piliśmy wódkę i marnowaliśmy czas drogi, narażając Gołyńskiego i Malinowskiego i dając czas oficerowi do przygotowania na nas rekrutów.

Jużeśmy słyszeli strzały, a jeszcześmy nie pospieszali.

Nareszcie z pagórka posunęliśmy się całym pędem ku miastu.

Przy rogatce był włościanin; ten bez długiego oporu otworzył ją i klusem puściliśmy się w miasto.

Dowódzca nasz zakomenderował, ażeby ci, co mieli strzelby zsiadli z koni i uformowawszy dwa szeregi piechoty, poprzedzili jazdę.

Zsiadło z koni kilkunastu i rozpoczęło walkę.

Żołnierze załogi uformowali się w jeden szereg przed odwachem z oficerem na czele i zaczęli do nas strzelać.

Nasi dali także ognia; już żołnierz jeden rosyjski padł, już zginął powstaniec Mólniewicz a inny odważny młodzieniec Dobkiewicz* został raniony.

mojej matki na śledztwie, ale może przez wdzięczność, że go nie powieszono, nie wywierał wielkiej zemsty. Wyrzucał jednak matce, że jej syn chciał go powiesić, chociaż to nie mój był pomysł, ale albo naszego dowódcy, albo czyj zresztą nie wiem.

*) Dobkiewicz dziś emigrant miał wtenczas lat 16, kiedy do obozu naszego z Kozakiem przybył.

Ojciec jego, którego nie można obwiniać o złe uczucia, przez wzgląd zapewne na zbyt młodzieńczy wiek syna, kazał go pilnować, wiedząc, że syn jego pała chęcią walczenia z Moskalami.

Powtórzyły się strzały z jednej i z drugiej strony.

Już powstaniec zwany Czerkas na dzielnym koniu woła hura! I za jednym poskokiem sięga Moskala przed odwachem swoją lancą, kiedy w tej samej chwili otwiera się brama austeryi tuż przy odwachu i raptem wypada z niej kilkuset rekrutów z ogromnymi dragami i żerdziami.

Konie nasze widokiem tym przestraszone mięszają szeregi tych, co z nich zsiadli, robi się niesłychany nieład, a Czerkas jak był na czele do ataku, tak pierwszy ucieka — krzycząc:

— Uciekajmy, bo zginiemy!

Wszyscy się oglądają i szukają oczami dowódcy, a on nie wiadomo, gdzie się obraca; ztąd popłoch powszechny. Uciekamy, chociaż nikt nas nie goni. Czerkas jak ruszył, tak tego samego dnia stanął w Galicyi.

Wyjechaliśmy z Latyczowa tą samą drogą, którąśmy wjechali, ale kiedyśmy się w lesie za Latyczewem zatrzymali i obliczyli, nie było nas i połowy. Ze 150 koni, pozostało najwięcej 70.

Przeszło połowa naszego szwadronu, złożona z młodzieży niedoświadczonej, przestraszona tak niepomyślnym wypadkiem pierwszej naszej wyprawy, rozprószyła się w różne strony, znikła.

Jakże nam było smutno, kiedy w lesie każdy z nas się zastanawiał, dla czego uciekał.

Łatwo to pojąć bo i nadzieje nasze zawiedzione, i jeden na drugiego oczu podnieść nie śmiał.

Nie znam się na sztuce wojskowej, ale przekonany jestem, że mogliśmy Latyczów wziąć jak najłatwiej, gdyby inaczej to wyprawa była prowadzona.

Młody Dobkiewicz potrafił udaremnić czujność pilnujących go i puścił się w drogę ku naszemu obozowi.

Spostrzeżono się i posłano w pogoń za nim kilku Kozaków. Ścigano go dwie mile, ale nadaremnie.

Zapał taki do boju był prawie powszechny. Szkoda, że nie umiano go obrócić na korzyść sprawy polskiej.

Tu błędy nawet dla wojskowego, są widoczne: Moskale przygotowali się do boju, widzieli Godyńskiego przed jedną rogatką, a my późniac się z przybyciem, daliśmy im czas do przygotowania się i do uzbrojenia jako tako rekrutów. Tak ta klęska każdego obchodziła, taką boleścią nas przejęła, że tylko nosy pospuszczaliśmy i jechaliśmy, jak gdyby za pogrzebem, jeden do drugiego słowa nie śmiać przemówić.

W takim milczeniu, które tylko parskanie koni kiedy niekiedy przerywało, zatrzymaliśmy się w miejscu, którego nazwisko już nie pamiętam.

Oprócz straty w ludziach i koniach, klęska ta przyniosła sprawie nierównie większą szkodę wpływem na ducha mieszkańców.

Oslabiła go, zmniejszyła ufność w własnych siłach, wstrzymała od dalszych usiłowań wielu obywateli. Nieocenioną stratę poniosło powstanie, żeśmy broni obywatelom zabranej a którą cały powiat mógłby się być uzbroić, Moskałom wydrzeć nie umieli.

Jeszcześmy się kilka dni wałęsali po lasach; nareszcie dla dania wypoczynku i sobie i koniom, bo od miesiąca byliśmy pod gołym niebem, umyśliliśmy pierwszy raz przenocować w Szyincach, dziedztwie marszałka Sarneckiego, który dawniej ale po naszej klęsce.

Kiedyśmy przyszli do jego domu, nie mogliśmy się nawet z nim widzieć.

Zastaliśmy tylko jego matkę, bardzo zacną staruszkę, która nas jak najgościnniej przyjęła.

Dla naszych koni szpiclerz i stodoły, dla nas kuchnia i spiżarnia były otwarte.

Tu przybyły moje siostry i doniosły, że oddział z korpusu Rydygiera, złożony z kilku batalionów piechoty, dwóch szwadronów z działami, ma nas ścigać.

Mieliśmy się więc na ostrożności, pikiety rozstawione były na traktach, postawiono także wartę popowi, ażeby nie wychodził, bo mógł być dać znać o nas władzy wojskowej.

Odpoczywaliśmy w Szyincach przez dwa dni. Wieczorem

przed wyjściem, dowódzca nasz zwołał radę i na niej postanowiono iść nocą ku Barowi.

Tylko cośmy przy świetle księżyca za wieś wyszli, spotkałiśmy jakąś jazdę.

Było to 50 Kozaków, którzy eskortowali oficera, wiozącego do generała swego raport o naszej sile.

Szpica nasza zawołała:

— Kto idzie?

Odpowiedziano:

— My swoi Kozaki.

Natychmiast nasz dowódzca i Gołyński dali dwa strzały i zsadzili z koni dwóch Kozaków; reszta poszła w nogi. Puściliśmy się za nimi w pogoń, a na czele nas pędził pierwszy Kozak z naszego powstania Wysznia, krzyząc:

— Za mnoju Lachy!

Niebawem dopędził jednego i zabił go lancą.

Ubiliśmy w tej pogoni kilku innych, wzięliśmy cztery konie i podoficera kozackiego, od którego dowiedzieliśmy się, że ci Kozacy eskortowali oficera, wiozącego o nas raport. Podoficer ten był przy nas aż do wkroczenia do Galicyi, gdzieśmy go puścili.

Przy zabitych Kozakach, znaleziono kilkadziesiąt dukatów, które nasi Kozacy zatrzymali i potem przepili.

Nie mogliśmy schwytać wszystkich koni po zabitych Kozakach, bo za swemi pobiegły.

Nie ścigaliśmy dłużej uciekających, bo wpadli wnet do lasu, a my, bojąc się jakiej zasadzki, wróciliśmy do oddziału.

W kilka dni potem połączyliśmy się niedaleko lasów czerniatyńskich z powstaniem winnickiem, które miało dwóch dowódców, Olszewskiego i Chłopickiego; a liczyło 100 koni.

Nasi powstańcy, którzy się byli rozpierzchnęli, przyłączyli się znowu, tak, że mieliśmy do 250 jeźdźców na dobrych koniach.

Z tak połączoną siłą uderzyliśmy na Bar na pamiątkę niegdyś konfederacyi.

W Barze było tylko kilkunastu inwalidów, którzy za zbliżeniem się naszym pochowali się w dziury.

Golyński posłany naprzód, żeby otworzył i wypróżnił magazyn mąki i owsa, skutecznie to i zapasy rozdał chłopom i żydom.

Żydzi przyjęli nas z największą radością i bardzo nam sprzyjali, nie bez przyczyny. Były w tem mieście odwieczne procesa między nimi a rządem, co dawało urzędnikom rosyjskim nieustanną sposobność ich zdzierania.

Przybywszy tam, wszystkie te papiery procesowe wrzuciliśmy w błoto.

Zabraliśmy tam kilka koni pocztowych i spustoszyliśmy kabak.

W magazynie wojskowym były kule działowe, granaty i bomby; kilka fur tej amunicji zatopiliśmy w rzeczce.

Zatrzymaliśmy tylko kilkadziesiąt sztuk broni palnej i uzbroiliśmy nią uformowany na prędce oddział piechoty.

W końcu zniszczyliśmy orły rosyjskie, co tu były w wielu miejscach.

Jednem słowem zrobiliśmy Moskalom na kilkadziesiąt tysięcy rubli szkody.

Gdyśmy takie świetne zwycięstwo odnosili, wprawdzie bez spotkania się z wojskiem moskiewskim, radowała się dusza i dla dodania sobie wesołości podpiliśmy miodkiem, a potem żeby uniknąć nieprzyjaciela, co miał pomścić swe straty wyruszyliśmy z miasta,

Za miastem wszczęła się kłótnia między dowódcami powstania Winnickiego, Chłopickim i Olszeskim.

O co im poszło, nie pamiętam, ale wiem, że przyszło aż do wyzywania się na pojedynek.

Perswazyja Dzierżka, a potem pogróżka naszego dowódcy Nagórnicego, że jeśli się nie pogodzą, tedy od nich się odłączymy, tyle na nich wrażenia sprawiły, że się pogodzili. Tutaj nasz dowódca, jako zdolniejszy i więcej mający doświadczenia, prawie jednomyślnie uznany był za dowódcę obudwu powstań.

Zwerbowaaliśmy w Barze kilkunastu ochotników ze szlachty czynszowej, ludzi dworskich i

Z Baru poszliśmy jeśli się nie mylę, do lasów Czerniatyńskich, w jakim celu tego nie wiem.

Wkrótce doszła nas wiadomość, że powstańcy pod dowództwem Kolycki zostali rozbici pod Majdankiem niedaleko Latyczowa, a w parę dni potem połączyliśmy się z tymi powstańcami.

Lasami Zienkowieckimi niedaleko Hohol zaszliśmy na nocleg do Bebech folwarku Czerkiesa, a ztąd wyruszyliśmy wprost drogą do Galicji.

Dlaczegośmy tak uciekali, kiedy nas było przeszło 500 koni, tego nie wiem, dla czegośmy się nie połączyli z pułkownikiem Rózyckim, tego nie wiem; to tylko mi wiadomo, że ostatni marsz odbyliśmy dniem i nocą i aż z rana przeszliśmy Zbrucz pod Stanowem i stanęliśmy w Galicji.

Władze miejscowe austriackie przysły nas powitać gościnnie.

Odprowadzono nas o milę od granicy, aby korpus Rotha za nami do Galicji się nie zapędził i rozbrojono nas.

Smutno było rozstawać się z bronią. Ja moje pistolety tureckie darowałem jakiemuś Niemcowi.

Austriacy zapędzili nas do Hałata i otoczyli strażą wojskową, ztąd nasi powstańcy, ci co mogli puciekali i przeszli do Królestwa Polskiego.

Ja uciekłem z M Strugalewiczem i Brzozko do Brockiego Eugeniusza, który nas najgrzeczniej przyjął. Cały tydzień tu hałmakowaliśmy, poczem z innymi dostaliśmy się do Królestwa.



POWSTANIE

w puszczy Białowiezkiej.

Pamiętnik doktora Józefa Szczapińskiego.

1831.



POWSTANIE W PUSZCZY BIAŁOWIESKIEJ.

PAMIĘTNIK

doktora Józefa Szczapińskiego.

1831.

ROZDZIAŁ I.

Myśl zrobienia powstania w puszczy Białowieskiej podał mi w Grodnie Tomasz Kraskowski przy końcu Stycznia 1831 roku. Opisawszy ją, jako miejsce najstosowniejsze do prowadzenia wojny partyzanckiej, dodał: — że w tym przedmiocie rozmawiał już ze swym szwagrem Ronką forstmajstrem i z niektórymi leśnikami, którzy przyrzekają wywrzeć wpływ na 300 skarbowych strzelców, żeby do powstania należeli.

Sami rozpocząć go nie chcą, ale czekają na nasze przybycie, ażebyśmy podnieśli ducha w tamecznych i okolicznych

mieszkańcach i przykładem naszym zachęcili ich do należenia do rewolucyi.

Projekt do przyłożenia się do zrobienia tam powstania chętnie przyjąłem, ale formalnie się oparłem wystąpieniu z nim na czele insurekcyi utrzymując, że ani on, ani ja nie zdołamy wzbudzić zaufania w tamtych stronach, jako nieznanymi przez nikogo i mało znaczenia mający, a cóż dopiero mówić o możliwości wywarcia na kraj jakiegokolwiek wpływu; że trzymając się opinii podówczas powszechnej w naszym narodzie, powinniśmy postawić na czele osobę, która przez swe imię urząd i stosunki z obywatelami, mogłaby skuteczniejszy wpływ wywrzeć i zachęcić do współdziałania.

A chociaż on mi zacytował wiele osób w rewolucyi francuskiej, które nie mając w początkach znaczenia, z czasem go nabyły i stały u steru rządu, nie mógł jednak na mnie wytargować, acz do spółki, naczelnikowstwa, gdyż stale trwałem w tem przekonaniu, że chcąc skutecznie służyć krajowi trzeba się wyrzec wszelkich osobistych widoków i działać w takim duchu, jaki jest przezeń zrozumiany.

Po niejakej jeszcze nad tym przedmiotem dyskusyi przystał nareszcie Kraskowski na moje zdanie i wybór padł na Karola Niemcewicza, marszałka Brzeskiego, którego urząd i imię nie jednego mogłyby pociągnąć do powstania.

Właśnie w tym czasie K. Niemcewicz bawił w Grodnie, przysłany tam niby do pomocy gubernatorowi, a w istocie oddany pod dozór policji za winy przeciw Rosyi stryja jego Juliana Ursyna Niemcewicza.

Kiedy bowiem Wielki książę Konstanty wygnany z Warszawy, przybył na Litwę, zatrzymał się dla odpoczynku w Adamkowie, majątku Karola Niemcewicza.

Księżna Łowicka, żona Wielkiego księcia najpierwsza weszła do tego mieszkania, a spostrzegłszy w bawialnym pokoju na ścianie zawieszony portret Juliana Niemcewicza, zapytała gospodarza domu, czyli był krewnym lub tylko imieniem jego?

Otrzymawszy odpowiedź, że był jego synowcem, rzekła

— A więc to jest portret stryjaska pańskiego, który nam tak piękną promenadę sprawił.

Więcej ani słowa do niego nie przemówiła, ale zawiadomiła męża, w czym są domu.

Natychmiast Wielki książę kazał mu wyjechać do Grodna, niby na pomocnika dla gubernatora Bobiatyńskiego.

W tej drodze eskortował go pułkownik kozacki, który miał zapewne polecenie oddania go pod dozór policji.

Tak więc podejrzana osoba od rządu rosyjskiego, tem bardziej przez nas pożądana była.

Projekt z Kraskowskim ułożony, zakomunikowałem Aleksandrowi Makowskiemu i innym, którzy ze mną czynnie od trzeciego dnia rewolucyi wybuchłej w Warszawie działali.

Ci wzięli na siebie, jako bliżej żyjący z Niemcewiczem, obowiązek dowiedzenia się, czyby chciał przyjąć naczelnictwo mu proponowane?

Tymczasem dowiadywałem się od Kraskowskiego, jaki jest duch pomiędzy strzelcami Białowieskimi.

Na co on mi zwykle odpowiadał, że lada dzień spodziewa się przybycia do Grodna Prokopowicza, albo Jakóba Szrettera, którzy nas o wszystkim co się tam dzieje zapewne zawiadomią.

Czas na oczekiwaniu upływał, ale też i zimna pora roku nie pozwalała jeszcze rozpocząć powstania w miejscu pokrytem śniegami, któreby dopomagały nieprzyjacielowi do odkrycia śladów naszego pobytu.

Nadto wypadało najprzód skomunikować się z innemi guberniami, ażeby przez rozpoczęcie przedczesne powstania w tamtych stronach, nie zniweczyć działania rewolucyjnego w zabranych prowincjach.

Nareszcie w miesiącu Lutym tegoż roku przybył do mnie Jakób Szreter (ojciec) z doniesieniem, że strzelcy puszczy Białowieskiej zupełnie są przygotowani do powstania i czekają tylko na nasze tam przybycie.

Wiadomość tę natychmiast zakomunikowałem K. Niemcewiczowi, a sam wzięłem na się obowiązek wybadania ducha mieszkańców gubernii wileńskiej i dowiedzenia się o czasie

rozpoczęcia tam działań rewolucyjnych i przysposobienia komunikacji między Wilnem i Grodnem.

Jakoż dnia 10. Marca 1831 r. za mojem własnem staraniem zostałem odkomenderowany do przewiezienia trzystu chorych z Grodna do Wilna.

W drodze tej dziesięciodniowej starałem się podburzyć umysły drobnej szlachty przeciwko rządowi rosyjskiemu następującym sposobem.

Na każdej stacyi dawano mi osobną podwodę; w drodze oddalony nieco od mego transportu, naprowadzałem rozmowę z woźnicą na wypadki rewolucyjne w królestwie Polskiem i zapytywałem, co zamyśla robić szlachta zaściankowa?

Prawie każdy ze zmieniających się co stacya powozicieli moich spozrzał po mnie z niedowierzaniem i zdania swego w tej mierze odkryć nie chciał.

Bo też trudno było spodziewać się, ażebym mógł zjednać ufność w człowieku, który mię widział ubranego w mundur moskiewski.

Lecz kiedy oświadczyłem, że jestem Polakiem i dobrze życzę mojemu narodowi, natenczas czoło każdego z nich rozjaśniło się i nie mogło utaić ich uczuć patriotycznych.

Wtedy, niby pod sekretem, najlepszy sposób rozszerzania wieści, mówiłem im, iż wiem z najpewniejszych źródeł, bo od samych jenerałów moskiewskich, że Mikołaj wydał tajemny ukaz brania szlachty w rekruty.

Nie zdarzyło mi się napotkać ani jednego z nich, żeby się nie oburzył na tę nowinę, a wielu było takich, którzy w zapale gniewu oświadczyli, że mają zapas broni i amunicyi i potrafią stanąć w obronie swoich przywilejów.

Owóż jest dowód, jak w rewolucyi do rozmaitych klas ludzi, rozmaitym językiem przemawiać należy.

Bo czego nie dokaże czysty patriotyzm, niezawodnie osiągnie pożądaną skutek wzbudzenie osobistego interesu.

Przybywszy do Wilna zastałem wiele osób, przybyłych tam z rozmaitych stron dla naradzenia się o powstaniu zabranych prowincyj

Stanowczy rezultat z narad był, że działanie rewolucyjne mają rozpocząć powiaty gubernii Wileńskiej, najbardziej od wojska rosyjskiego oddalone, następnie inne powiaty tejże gubernii, jako też Grodzieńskiej, obwód Białostocki i dalsze.

Jakoż w czasie mej bytności w Wilnie, rozpoczęło się powstanie na Żmudzi i Moskale przypisywali je na ówczas buntowi wieśniaków, nie chcących iść w rekruty.

Powróciwszy do Grodna zawiadomiłem patriotów o tem, co uradzono w Wilnie i czekaliśmy tylko na rozkaz ztamtąd do rozpoczęcia powstania w naszych stronach.

W kilka dni potem przybył emisaryusz z Wilna, donosząc o zrewoltowaniu się już Żmudzi, powiatu Trockiego i innych, oraz przedstawując potrzebę działania u nas.

Jakoż natychmiast wysłaliśmy wyznaczone uprzednio osoby do podniesienia rewolucyi w powiatach gubernii Grodzieńskiej.

Ja zaś z Kraskowskim udałem się do K. Niemcewicza i opowiedziawszy jak rzeczy stoją, żądałem stanowczej jego decyzyi względem przyjęcia dowództwa powstania Białowieckiego.

Przyjął takowe Niemcewicz, ale z powodu nieznamomości sztuki wojskowej, uważał za potrzebne przybranie osoby takiej, któraby umiała uorganizować powstańców.

Udaliśmy się więc z tą propozycją do niektórych eks-wojskowych, ale ci, nie mając wiary w siły narodowe, nie chcieli podzielać nawet myśli powstania.

Jeden tylko z eks-wojskowych, assesor Żyliński, były kapitan wojsk polskich, dawny legionista, na nasz projekt przystał.

Nie mając więc z czego robić wyboru, jemu powierzyliśmy dowództwo wojskowe.

Kraskowskiego wysłaliśmy natychmiast do Ronki z zawiadomieniem, że wkrótce z Niemcewiczem przybędziemy do puszczy.

Żyliński także zaraz pojechał do swego majątku dla pożegnania się z familią, przyrzekłszy razem z nami ztamtąd udać się do powstania.

Dnia 6. Kwietnia, to jest we trzy dni po wysłaniu Kraskowskiego do Ronki, zabrawszy broń, jaką uzbierałem, z K. Niemcewiczem wyjechaliśmy z Grodna do puszczy Białowieskiej, lecz nie na trakt Białostocki, ale na Lidzki, w celu zakrycia śladu drogi naszej realnej.

Ujechawszy mil kilka, przeprawiliśmy się promem przez Niemen i przybyliśmy w Wołkowyskie do Żylińskiego.

Lecz na nieszczęście zastaliśmy go leżącego w łóżku, gwałtownie reumatyzmem dotkniętego, a tem samem nie mogącego nam towarzyszyć w podróży.

Nie chciało mi się wierzyć tej chorobie, ale nie mogąc go przymusić do jechania z nami, w dalszą udaliśmy się drogę.

Przybywszy do obywatela . . . , mój towarzysz u niego pozostał, a ja zmieniawszy odzienie wojskowe na cywilne, sam jeden pojechałem do puszczy Białowieskiej.

Przybywszy tam udałem się do mieszkania Jakóba Szrettera, który mi znowu oświadczył, że już wszystko przygotowane do powstania i wskazał mi drogę do miejsca w puszczy, w którym Kraskowski ze strzelcami przebywa.

Zawiadomił mię zarazem, że Niemcewicz jest u generała Tyszkiewicza i że wkrótce tędy przejeżdżać będzie do Królowego Mostu, mieszkania Ronki.

Jakoż zaczekawszy nieco na drodze, połączyłem się z Niemcewiczem, który mi powiadał, że Tyszkiewiczowi proponował dowództwo powstania, ale on takowego przyjąć nie chciał.

Podwiózłszy mnie Niemcewicz do punktu przez Szrettera wskazanego, w swą pojechał drogę, a ja nająłem podwodę u strzelca . . . i udałem się do Podcerkiew, miejsca pobytu Kraskowskiego.

Gdzie przybywszy zastałem go uczącego się strzelać do celu i dwóch strzelców przy nim.

Zapytałem go :

— Czy to jest całe powstanie ?

Odpowiedział :

— Więcej powstańców nie ma, bo chociaż strzelcy są

gotowi do powstania, jednakże czekają wraz z niektórymi leśnikami w tym względzie rozkazu Ronki, który się waha z jego wydaniem, z powodu, że nie wszyscy leśnicy usłuchają takowego, będąc albo rodowitymi Moskalami, albo zmoskwiałymi Polakami.

Tych więc najprzód trzeba zgładzić z tego świata, żeby nie stali na przeszkodzie, a wtedy i Ronko i wielu wahających się jeszcze leśników i strzelców przystąpi do działania.

Nic mu na to nie odpowiedziałem, lecz zapytałem go :

— Gdzie jest broń i amunicya ?

Odpowiedział mi :

— Wszystko to jeszcze w Królowym Moście.

Z tego wszystkiego przekonałem się, że wiele jeszcze mieliśmy przeszkód do zwyciężenia przed zaczęciem nawet w tamtych stronach powstania.

Nie mogąc więc sami nic rozpocząć bez zezwolenia Ronki, czekaliśmy na jego odpowiedź przez dwa dni.

Lecz dnia trzeciego nie doczekawszy się onej, namówiłem Kraskowskiego, żebyśmy poszli do Królowego Mostu i z ust Ronki stanowiącą decyzją otrzymali.

Gdy się na to zgodził mój towarzysz, przybyliśmy do mieszkania Ronki, gdzie zastaliśmy Niemcewicza.

Przystąpiwszy wnet do rzeczy, zażądaliśmy od Ronki stanowiącej decyzji względem przystąpienia jego do działań rewolucyjnych lub odmówienia należenia do nich.

W ostatnim przypadku oświadczyliśmy, że opuścimy puszcze, a udamy się w inne strony w celu zrobienia powstania.


Ronko, zamiast wahania się, jak mi Kraskowski powiadał, oświadczył: że zawsze był gotów poświęcić się dla sprawy wolności, byleby wiedział z jakimi ludźmi ma rozpocząć tak wielkie dzieło, jakim jest powstanie, nie ograniczając się na przystąpieniu doń strzelców, ale i okolicznych mieszkańców, słowem jak największej liczby dobrze myślących Polaków.

— Teraz zaś, dodał, kiedy widzę, z kim mam do czynienia, udowodnię czynem chęć należenia do rewolucyi polskiej.

Zaraz nam tedy pokazał plany szczegółowe całej puszczy Białowieskiej, oraz broń, proch i ołów na kule, nadto wymienił

liczbę leśniczych i strzelców, na których rachować można było.

Z tego wniosłem, że ten człowiek więcej niż wielu z nas o powstaniu myślał i do niego robił przygotowania.

To natchnęło mnie prawdziwym szacunkiem dla człowieka, który będąc cudzoziemcem, (Ronko był rodem Szwajcar) wychowany w Petersburgu kosztem rządu rosyjskiego, posiadając tak piękną posadę, poświęcił wszystko dla Polski, wybijającej się na wolność z pod jarzma tyra-


ROZDZIAŁ II.



Po otrzymaniu Ronki obietnicy wydania rozkazu strzelcom do zebrania się w Zubrowym Kucie, skoro powstańcy zaczęli przybywać, sami udaliśmy się w toż miejsce, zabrawszy z sobą wóz naladowany bronią i amunicją.

Tam przybywszy obrachowaliśmy nasze siły i pokazało się, że całe powstanie składało się z Niemcewicza, Kraskowskiego, mnie i kilku strzelców.

Z tak małą siłą nic nie można było przedsięwziąć, musieliśmy przeto czekać spokojnie na przybycie z pobliskich stron obywateli, których zawezwaliśmy do współdziałania.

Lecz ci nie bardzo z przyjazdem się spieszyli, bo rzadko kto chce należeć do rozpoczęcia ważnego dzieła, a woli przystąpić do gotowego.

Jeżeli zaś który z nich przybył, tedy spostrzegłszy tak małą naszą siłę, odjechał wymawiając się potrzebą swojej obecności w innych stronach dla robienia powstania, lub dla udania się po broń, amunicję i t. p., słowem pod pozorem rozmaitych przyczyn, starano się wyjechać z miejsca, tworzącego się powstania. W takim stanie odbierania tylko wizyt, przetrwaliśmy do końca Kwietnia.

W przeciągu tego czasu przybył także do nas kapitan Żyliński; ale zastawszy nas zaledwie kilku, odjechał do domu, obiecując przybyć skoro się liczba powstańców zwiększy, o czem miał go Niemcewicz listownie zawiadomić, co też Niemcewicz wkrótce dokonał, oznajmując mu, że wszystko już jest gotowe i całe powstanie jego tylko oczekuje.

Na mocy tego pisma przybył Żyliński zbrojno w 7 koni, a chociaż mało co więcej nas zastał, jak pierwszym razem, musiał jednakże pozostać skompromitowany się przyjazdem do nas z uzbrojonymi ludźmi.

Dnia 1. Maja przybył do nas A. . . . sekretarz policyi z Prużany, a zabawiwszy chwil kilka, chciał powrócić do domu, jak powiadał dla zabrania broni tam zostawionej.

Na co nie pozwoliłem, gdyż obowiązek, jaki pełnił w służbie rosyjskiej i stosunki jego familijne, zrodziły we mnie podejrzenie o nim do tego stopnia, iż lękając się, żeby za powrotem do domu nie zawiadomił Moskali o naszej sile, zatrzymałem go u nas gwałtem i czuwałem nad nim z bronią w ręku przez noc całą, żeby nam nie uciekł.

Pokazało się później, że obawa moja była próżna, gdyż przez cały ciąg powstania był on uważany za uczciwego człowieka, doskonałego Polaka i dobrego żołnierza. Lecz z nieznanym, roztropność nakazywała użyć takiego środka otwartości.

Nazajutrz po przybyciu, tenże sam A. . . prawem odwetu zatrzymał innych, przybywających do nas obywateli i odtąd strzegł ich wspólnie ze mną, żeby się nam nie wymknęli.

Przyznaję, że takie postępowanie było gwałtowne, ale też i rewolucyjne także; inaczej postępując, wątpię czybyśmy kiedyś tam byli zrobili.

Że zaś od tego wypadku datuje się wzrost siły naszej i początek działań naszego powstania, łatwo daje się wytłómaczyć. Bo zatrzymani możniejsi obywatele, już nietylko dla dobra ogólnego, o czem nie wątpię, ale zarazem dla własnego bezpieczeństwa posłali po ludzi do swych majątków i przez to znacznie liczbę powstańców powiększyli.

Wkrótce też potem Kazimierz Houwałt przybył z Łuki z trzydziestu kilku doskonałymi strzelcami i Ronko z kilku leśnikami i liczebnie ze 200, a rzeczywiście z 80 strzelcami do nas się przyłączył. W ogóle liczba powstańców nie przechodziła trzystu, a i ta nie była stałą, gdyż strzelcy skarbowi pokazawszy się na chwilę w obozie, przyjąwszy żywność, rozchodzili się po swych mieszkaniach w puszczy rozpołożonych.

Nieco później zaradził choć w części, kapitan Żyliński temu nieladowi, podzieliwszy wszystkich powstańców na dziesiątki i naznaczywszy dziesiątników, którzyby porządku i służby pilnowali. Sprowadzoną i opatrzoną broń rozdano pomiędzy tych, którzy swojej nie mieli, ci zaś którzy ją z sobą przynieśli, odbierali z naszych składkowych pieniędzy nagrodę.

Wszyscy zaś zajęliśmy się robieniem ostrych ładunków i odlewaniem kul. Zakupiliśmy nie mało kos i sprowadziliśmy z pobliskich wsi kowali z narzędziami dla osadzenia kos w taki sposób, aby mogły być użyte w czasie boju.

Bo chociaż mieliśmy podostatkiem broni palnej, ale ta będąc starą, potrzebowała do naprawy długiego czasu.

Porobiliśmy baraki, magazyny na żywność, słowem obóz nasz bardziej był podobny do małej wsi, jak do chwilowego stanowiska partyzantów.

Wystawiliśmy z darni ołtarz, przy którym ksiądz Harczyński kapelan powstania odprawiał nabożeństwo.

Działania nasze rozpoczęliśmy od zabrania żywności, prowadzonej do czynnej armii rosyjskiej. O miejscu przejścia podwód zawiadomili nas ci, którzy je prowadzili.

Przeto Krzywobłocki w tę stronę posłany został, a doczekał się ich przybycia, przyprowadził do obozu 26 podwód i 40 ludzi z deputatem, którzy przyłączyli się do naszego powstania. Jest to piękny przykład poświęcenia się naszych poczciwych wieśniaków, którzy na odgłos powstania do niego przychodzili, nie mając innego widoku, jak wydobyć się z pod jarzma moskiewskiego.

Zabór wyż wzmiankowanej żywności był powodem wysłania na śledztwo do puszczy Białowieskiej oberforstmajstra pułkownika Kowalskiego i sowietnika Nieczywołodowa.

Ci urzędnicy przekonali się osobiście o istocie rzeczy, dostawszy się dnia 10. Maja w nasze ręce.

W obchodzeniu się z nimi okazywaliśmy największą łagodność, bośmy ich wzięli bezbronych do niewoli.

Projekt zaś podany przez Kraskowskiego, żeby ich śpiących zabić, projekt pastwienia się nad jeńcami odrzuciliśmy jako ubliżający prawom ludzkości.

Złowiliśmy też w owym czasie kuryera rosyjskiego z depeszami, którego razem z poprzednimi dwoma więźniami, trzymaliśmy pod strażą. Dnia 16. Maja doszła nas wiadomość, że Moskale są w Królowym Moście i że mają zamiar iść do Białowieży, wsi położonej we środku puszczy.

Kapitan nasz nie chciał wierzyć tej wieści, utrzymując, że Moskale nie odważyliby się tam iść nie wiedząc o sile naszego powstania i chciał spokojnie oczekiwać jej potwierdzenia. Jednakże w skutek nalegania wielu z nas wysłał na rekonesans oddział z 30 ludzi pod komendą Prokopowicza.

Ale ten nie dotarł do miejsca, kędy miał przechodzić nieprzyjacieli i z niczem powrócił do obozu, a tymczasem Moskale ów środkowy punkt opanowali.

Tegoż samego dnia o 6 wieczorem przyszedł do nas z Białowieży strzelec nazwiskiem Skoryk, oznajmując, że tam przybył batalion Muromskiego pułku z dwoma działami i nie wielkim oddziałem Kozaków. Zawiadomił też nas, że nazajutrz miało przechodzić przez Hwożnę 270 wozów pod eskortą.

Zważywszy że się nadarza sposobność spotkania się z nieprzyjacielem i podług wszelkiego podobieństwa do prawdy, porażenia go, postanowiliśmy udać się do Hwożny na zasadzkę.

Prawie każdy chciał do tej wyprawy należeć, ale nie każdy był jeszcze należycie w broń i amunicję opatrzony.

Wybrano nas przeto tylko 96. Dowództwo tego oddziału powierzył Żyliński Kazimierzowi Houwaltowi.

Ze zaś miejsce to było prawie o 5 mil od naszego obozu odległe, przeto nie tracąc czasu natychmiast wyruszyliśmy na całą noc i idąc forsownym marszem, przybyliśmy do Hwoźny o godzinie pół do czwartej z rana, gdzie rozstawieni na zasadce z jednej strony tej grobli, czekaliśmy na przybycie nieprzyjaciela.

Jakoż niebawem bo w pół godziny pokazał się ogromny szereg wozów, które chcieliśmy wpuścić pomiędzy siebie a posem je zatrzymać.

Lecz inaczej się stało jakeśmy sobie życzyli.

Pies bowiem będący przy tym transporcie, spostrzegł czy zwierzył naszą wedetę, chociaż dobrze ukrytą za drzewem i zaczął ujadać.

Żołnierze nie zważali na to, ale burlacy będący przy transporcie zaczęli na nich wołać, żeby się mieli na ostrożności, gdyż tu muszą być powstańcy.

Sami zaś wzięwszy broń żołnierzy, siedzących z niemi na wozach, zaczęli strzelać w tę stronę, w którą ich pies pobiegł, bo nas nie widzieli.

Myśmy przez ten czas siedzieli najspokojniej. W tem wozy się zatrzymały.

Czterech grenadyerów z nich zeskokczyło i wzięwszy broń do ataku szło prosto ku nam, a spostrzegłszy kupkę powstańców siedzących w krzakach, natarło na nich bagnietami.

Na ten czas każdy z naszych wziął na cel nacierającego nań Moskala i wszyscy czterej żołnierze upadli na ziemię bez duszy.

Wtedy cała ich kompania sformowała się na wzgórkę i zaczęła do nas dawać rotowego ognia.

Ale strzały nieprzyjaciela bynajmniej dla nas nie były szkodliwe; my też odpowiedzieliśmy mu naszymi strzałami, a te tak były celne, że go przeraziły i przymusiły do cofania się. Najpierwszy.... (nazwiska jego wymienić nie mogę, gdyż pozostał w kraju) spostrzegłszy postrach panujący pomiędzy Moskalami, wybiegł na trakt przeciwko nim.

W jego ślady poszli inni.

Moskale cofali się w porządku odstrzeliwając się, lecz kiedy nasi ze wszystkich stron bez porządku na gościniec wybiegać zaczęli, liczba powstańców zdała się Moskalom niezmierna; nią tedy przerażeni a bardziej jeszcze pewnością strzałów naszych poszli w rozsypkę i bez ładu uciekać zaczęli.

Wtedy to strzelaliśmy do nich jak do przepłzonego zwie-

rza; gnaliśmy ich przeszło przez pół godziny i tak przeradzaliśmy ich szyki, że oprócz trzynastu, których wzięliśmy w niewolę i pięciu czy sześciu, którzy przybiegli do Białowieży, dając znać o porażce, o czem tameczni mieszkańcy później nas zawiadomili, reszta w zabitych i rannych pozostała na pobojuwisku.

Najlepiej się odznaczyli zimną krwią i przytomnością umysłu w tej utarczce wyż wspomniany powstaniec, który pierwszy na trakt wybiegł, jakoteż Minuszyc, Antoni Szretter, Aleksander Antuszewicz i młody Bohuszewicz, który później walecznie zginął pod Wilnem i kilku jeszcze, których nazwisk wymienić nie mogę.

My nie mieliśmy żadnego zabitego ani nawet rannego. Moskali zaś rannych opatrzyłem i za zgodą komendanta wsadziwszy ich na wozy, odesłałem do szpitala Brzeskiego. Transport ten powierzony został samymże lekko-rannym Moskalom z poleceniem, aby mieli staranie o ciężko-rannych.

Okazanie bowiem ludzkości względem porażonych, dowodzi odwagi zwycięzców i przeciwnie.

Zabrane konie rozdaliśmy pomiędzy wieśniaków, resztę rozpuściliśmy po puszczy.

Wozy zaś kazaliśmy spalić, oddając na łup tamecznych i okolicznych mieszkańców, to co w nich znajdują i pokrywające je żelastwo; sami zaś zabrawszy jeńców, udaliśmy się napowrót do naszego obozu.

Przechodząc koło Białowieży widzieliśmy batalion moskiewski, stojący pod bronią i działa wyręchtowane w tę stronę, którąśmy przechodzili.

Nie dali do nas ognia z dział, oczekując zapewne z naszej strony zaczepnego kroku, jako w ich mniemaniu od przełamującej siły.

Słyszając bowiem od niedobitków o niezmiernej liczbie powstańców sądzili, że my byliśmy małym tylko oddziałem przeznaczonym do manewrowania w celu wprowadzenia ich w przygotowaną zasadzkę.

Ale wielce się omylili w domniemaniu, bo my z tak małą garstką atakować ich nie myśleli i przedelfilowawszy, najspieszniej pomaszerowaliśmy do *Z u b r o w o h o K u t a* dla zaopatrzenia się w żywność, na jakiej nam całkowicie zbywało.

O milę drogi przed dojściem do tego miejsca, nie będąc przyzwyczajony do odbywania podobnych na piechotę podróży i zgłodniały tak na siłach upadłem, że nie mogłem dalej ani kroku postąpić.

Dodano mi przeto 7 strzelców, którzy ściągnawszy mnie

w bok drugi, pozostali przy mnie. Cała zaś kolumna ku obozowi pomaszerowała.

Odpocząwszy z pół godziny, udaliśmy się za kolumną. Dochodząc do grobli będącej niedaleko naszego obozu, towarzysze moi zwrócili uwagę na ziemię niezwykajnie w tem miejscu udeptaną; ztąd wniesli, że musieli tu być Moskale w znacznej liczbie.

Nie chciałem wierzyć ich domysłom a raczej przypisywałem to udeptanie ziemi naszej kolumnie przed nami idącej.

Jednakże przybliżając się do grobli, podwoiliśmy ostrożność.

Z drugiej strony grobli było zwykle stanowisko wedety naszej; zbliżamy się do tego miejsca. nikt się nas nie pyta o hasło.

W tem spostrzegamy leżącego zabitego powstańca. Nie było jnż wtedy wątpliwości, że nieprzyjaciel na obóz napadł.

Zostawiwszy więc w gęstwinie drzewa pięciu mych współtowarzyszów, sam z dwoma strzelcami najlepiej znającymi położenie miejsca, udałem się na zwiady.

Tam gdzie nasza placówka stała, uikogośmy nie zastali, spostrzegliśmy tylko w tem miejscu mnóstwo odgryzionych ładunków, z czego wniesliśmy, że tam porządny ogień być musiał; opodal wozy nasze z żywnością dogorywały.

Ztamąd udaliśmy się manowcami ku samemu obozowi, który znaleźliśmy zniszczonym, baraki popalone, konie i rzeczy zabrane a nigdzie ani śladu powstańców.

Jednego tylko zastaliśmy tam starego strzelca, obdzierającego wóz z żelastwa. Od niego dowiedzieliśmy się, że tenże sam Skoryk, który nas wieczorem zawiadomił o przyjsciu Moskali do Białowieży i o przechodzeniu wozów przez Hwożnę, nazajutrz z rana tychże Moskale za cenę sześć rubli srebrnych na nasz obóz naprowadził, że nieprzyjaciel przyszedłszy na nasz obóz naprowadził, że nieprzyjaciel przyszedłszy na groblę zastał wedetę naszą spiącą, którą Kozak przyłowski pistolet do głowy zabił, że strzałem tym ostrzeżona placówka nasza o zbliżaniu się nieprzyjaciela, miała się na ostrożności a odstrzelując się, cofnęła się ku obozowi, a następnie ulegając znacznej sile moskiewskiej, wraz z będącymi w obozie poszła w rozsypkę, że żadnego powstańca Moskale nie zabrali, tylko odbili jeńców, zrabowali obóz, spalili żywność, że nakoniec do Białowieży powrócili.

Z tego wypadku następujące praktyczne nastęrczają się uwagi:

a) Żeby własnym nawet szpiegom nie ufać, a zatem nie

wprowadzać do obozu i nie pokazywać im istotnej siły, jakoteż nie zwierzać się z mającemi się przedsiębrać czynnościami, tak jak się stało ze Storykiem, który o naszych poruszeniach wiedział i jak się później pokazało, ufność w nim położoną zdradził.

b) Żeby wychodząc na wyprawę, każdy wziął z sobą na kilka dni żywności.

c) Żeby w powstaniu nie spuszczać się na czujność rozstawionych wedet, ale bezustannie pilne na nie dawać baczenie, gdyż powstaniec nie przyzwyczajony do żołnierskiej subordynacji i nie ulegając tak surowej jak w wojsku regularnem karze za uchybienie rozkazu, nie wypełnia go tak święcie jak żołnierz regularny; przeto w partyzantce czujność komendanta nadwyzczajną być powinna i każdy z nich powinien umieć wytłumaczyć powstańcom idącym na wedety ich obowiązki i obeznać ich z niebezpieczeństw, na jakie przez niedopełnienie rozkazu i siebie i cały obóz wystawić mogą.

d) Nareszcie żeby partyzanci jak najczęściej zmieniali swe stanowiska, przenosząc się z jednego miejsca na drugie o mil kilka odległe.

Wysłuchawszy opowiedziane mi przez owego starca przygody pozostałych w obozie, połączyłem się z pięciu moimi towarzyszami opodal zostawionymi, powtórzyłem im powyższą relacją i zaproponowałem, żebyśmy dla pokrzepienia sił po tak długim marszu udali się do ostępu na kilko-godzinny spoczynek a potem poszli szukać naszych rozpierchłych braci. Zaledwie trzech strzelców na mój projekt się zgodziło. Inni udali się do swych domów mówiąc:

— Nie mamy już co robić, wszystko skończone. Obóz zabrany! Przepadła ojczyzna!

Zaśmiałem się w duchu z ich prostoty, a z tymi trzema, którzy z powodu zabrania naszego obozu nie zwątpili jeszcze o losie ojczyzny, poszedłem w głąb puszczy.

Odpocząwszy na ustroniu do wieczora, wyszliśmy na drogę w celu znalezienia naszego powstania a przynajmniej połączenia się z którymkolwiek oddziałem. Zaledwie uszliśmy z wiorstę nadybaliśmy kilku naszych, prowadzących jeńców zabranych pod Hwożnią. Ci nas zawiadomili o miejscu pobytu Żylińskiego z oddziałem, który pozostał był w obozie.

Tamtędy ruszyliśmy i w krótcie z nim połączyliśmy się. Przybył też tam i Krzaskowski z kilku strzelcami a prawie cały oddział, który był pod Hwożnią poszedł z Kazimierzem Houwałtem do Łuki dla brónienia jego majątku od napadu Moskali.

Tym sposobem pozbawił nas ten człowiek kilkudziesięciu

dobrych partyzantów a sobie żadnej korzyści nie przyniósł, gdyż Moskale Łukę spalili a jego ukrywającego się na kępnach złowili, okuli w kajdany i na Syberya posłali.

Nauczeni doświadczeniem, że długi pobyt na jednym miejscu jest niebezpieczny dla partyzantów, nazajutrz opatrzeni w żywność, udaliśmy się ku Hwoźnie, gdzie przybyło do nas 60 ochotników z powiatów wołkowskiego i grodzieńskiego. Od nich dowiedzieliśmy się, że z powodu zabrania przez nas 270 wozów idących do Skidła po żywność i zniesienia eskortującej je kompanii piechoty, trakt na Brześć, idący przez puszcę Białowieską do czynnej armii rosyjskiej skasowany został, a na jego miejsce obrano trakt Białostocki.

Wiadomość ta później się sprawdziła, kiedy nam przywieziono z Brześcia pismo urzędowe ostrzegające mieszkańców — żeby przez puszcę Białowieską nie przejeżdżali z przyczyny bytności tam zbójców — (nie powstańców.)

W Wirach przyszło do nas 50 strzelców Białostockich, lecz spostrzegliśmy nieczynność naszą, zaproponowali udanie się z nimi do lasów białostockich dla zrobienia tam powstania. W istocie bytność nasza w puszczy białowieskiej od daty skasowania traktu przez nią idącego, okazała się bezskuteczną. Bo gdy główną czynnością partyzantów jest: zabieranie żywności prowadzonej do armii nieprzyjacielskiej, przejmowanie kuryerów z depeszami, alarmowanie nieprzyjaciela i znoszenie małych jego oddziałów, a my teraz dla braku zręczności nie mogliśmy dopełnić tych obowiązków, nie widzieliśmy tedy potrzeby pozostawiania dłużej beczynnie w tem miejscu.

Przystaliśmy z kapitanem Żylińskim na projekt strzelców białostockich i z nimi w towarzystwie jeszcze kilku ochotników udaliśmy się w obwód Białostocki zostawiwszy Ronkę z jego strzelcami i resztą powstania w puszczy białowieskiej.

Od tej daty nie słyszeliśmy nic o czynnościach powstania białowieskiego. Wiem tylko, że nic ważniejszego nad to, co już było dokonane, nie zrobiło, bo zrobić nie mogło i że w czasie przejścia tamtędy generała Chłapowskiego, z nim się połączyło i następnie los wojska polskiego, będącego na Litwie podzielało.

Za rzetelność faktów, przezemnie tu opisanych, zaręczam.

Jożef Szczapiński.



174365